

KRYMINAŁ Z KLASĄ



W POGONI  
ZA WIATREM

---

STEVE HAMILTON

W POGONI  
ZA WIATREM  
STEVE HAMILTON

Przekład  
DARIUSZ ĆWIKŁAK



Redakcja stylistyczna  
Dorota Kielczyk

Korekta  
Halina Lisińska Jolanta Kucharska

Projekt graficzny serii  
Małgorzata Foniok

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Foniok

Zdjęcie na okładce  
© Zbigniew Foniok

Skład  
Wydawnictwo Amber Jerzy Wolewicz

Skan i opracowanie wersji elektronicznej  
lesiojot

Tytuł oryginału The Hunting Wind

Copyright © 2001 by Steve Hamilton.  
All rights reserved.

For the Polish edition  
Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3429-8

Warszawa 2009. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27  
tel. 620 40 13, 620 81 62, 691962519

## Rozdział 1

KIEDY LEWORĘCZNY MNIE ZNALAZŁ, siedziałem w tym samym fotelu co zwykle, próbując ogrzać się przy kominku. Kalendarz wskazywał na kwiecień, ale w kwietniu w Raju wciąż można zamarznąć na kość i mróz szczypał mnie w ręce i twarz. Siedziałem przy ogniu, oglądając mecz baseballa w telewizorze nad barem, z zimnym piwem w ręku, podczas gdy leworęczny pokonywał drogę w ciemności. Znał trasę, bo w tylnej kieszeni miał ręcznie wyrysowaną mapę z małą gwiazdą po prawej stronie drogi do Raju od południa. Zmierzał do Glasgow Inn. Wiedział, że mnie tam zastanie. Bo gdzie indziej mógłbym być we wtorek, w zimny kwietniowy wieczór?

Podróż zaczął rano w Los Angeles. Wsiadł na pokład boeinga 747 i wylądował w Detroit. Musiał tam czekać dwie godziny, a dodatkowe trzy stracił na zmianie czasu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy w końcu wsiadł do małego dwusilnikowego turbośmigłowca razem z dwunastoma pasażerami, pilotem i drugim pilotem, który robił też za stewarda. Ten samolot zawiózł go najpierw do Alpeny, gdzie przez pół godziny leworęczny stał na płycie lotniska i czekał, aż połowa pasażerów opuści pokład. Drugi pilot oczyścił skrzydła z lodu, po czym znów wzbili się w powietrze. W środku było głośno i zimno, a maszyną rzucało na wietrze jak papierowym latawcem. Dopiero po jedenastej wieczorem przylecieli na okręgowe lotnisko w hrabstwie Chippewa. Lądują tu tylko dwa samoloty dziennie, takie małe jak ten, którym tego wieczoru przyleciał leworęczny. Zabawne, że te samolociki siadają na ponad czterokilometrowym pasie, jednym z najdłuższych w Stanach Zjednoczonych. W razie czego mógłby tutaj wylądować nawet prom kosmiczny. Leworęczny zapytał jednego z pasażerów, czemu pas jest taki długi. Cały on.

Zadaje nieznajomym pytania, jakby znał ich od dziecka. A oni zawsze mu odpowiadają, bo przy leworęcznym każdy czuje się swobodnie.

- Ano, kiedyś tu było lotnisko wojskowe - wyjaśnił z wiejskim zaśpiewem tubylec z Górnego Półwyspu. - Baza lotnicza Kincheloe, za drugiej wojny światowej. Wiesz pan, że służa w Soo była wtedy najlepiej pilnowanym miejscem w Ameryce? Ktoś wymyślił, że jeśli Japoncy czy Niemcy chcieliby nas zbombardować, to zaczęliby od służy i odciąliby nam dostawy rudy żelaza.

- Interesujące - odparł leworęczny. I na pewno powiedział to tak, że nieznajomy poczuł, że to naprawdę interesujące, i dlatego sam też musi być interesujący. Leworęczny świetnie to potrafił, wystarczyło mu jedno słowo.

Terminal lotniska w Chippewa to jednoizbowa chata obok tego długiego pasa. Leworęczny odebrał bagaż. Nie trwało to długo, bo drugi pilot po prostu sam przynosi po dwie walizki. Leworęczny nie musiał się też obawiać, że o jedenastej w nocy na takim lotnisku nie znajdzie wypożyczalni samochodów. Czekala już na niego Eileen. Taką miała pracę. Kiedy ktoś rezerwuje samochód, Eileen zostaje dłużej, żeby przekazać kluczyki. Leworęczny podpisał formularz i podziękował - takim uśmiechem, który Eileen na pewno zapamięta na długie miesiące.

Wypożyczony samochód stał na parkingu. Po drugiej stronie ulicy naprzeciwko lotniska jest zakład odzyskiwania części samochodowych pracujący całą dobę. Z komina fabryczki ciągle unosi się smuga dymu, który w świetłach lotniska srebrzy się na tle nocnego nieba. Leworęczny pewnie stanął tam i zapatrzył się na chwilę na dym, wdychając zimne powietrze. Kurtka, którą właśnie wyjął z walizki, to za mało. Rano wylatywał przecież z Kalifornii, gdzie było ponad dwadzieścia jeden stopni. Tu, na Górnym Półwyspie w stanie Michigan, w kwietniową noc, dobre trzy tygodnie po pierwszym dniu wiosny, temperatura spadła jedenaście kreszek poniżej zera.

Z lotniska jechał pustą nieoświetloną drogą. Pewnie pomyślał wtedy, że trafił na koniec świata. Po obu stronach jezdni wciąż piętrzyły się zasy py szarego śniegu, pozostałość po górach usypywanych co roku przez pługi. Potem autostradą 1-75 ruszył na północ w kierunku Sault Ste. Marie. Czyli Soo, jak mawiają tubylcy. Ale tej nocy nie zobaczył samego Soo, bo według mapy, którą rozłożył na siedzeniu obok, musiał skręcić na zachód w M-28, prosto do serca Rezerwatu Leśnego Hiawatha. Minął dwa miasteczka, Raco i Strongs, później M-123 pojechał na północ. Kilka kilometrów dalej w księżycowej poświacie widział jezioro Superior. Na brzegu leżał lód.

W końcu zobaczył znak: „Witamy w Raju!” Zatrzymał się na jedynym migającym czerwonym świetle pośrodku miasteczka, chwilę później odnalazł Glasgow Inn, sto metrów dalej po prawej. Zaparkował tuż obok mojego dwunastoletniego forda. Na pace furgonetki stał przykryty folią piec do palenia drewnem.

Wtedy oczywiście nie wiedziałem o tym wszystkim. Ani o samolocie do Detroit, ani o samolociku do hrabstwa Chippewa, ani o tym, co powiedział do nieznanego, ani nawet o uśmiechu do Eileen z wypożyczalni. W ogóle nie miałem pojęcia, że przejechał taki kawał drogi, żeby się ze mną zobaczyć tej nocy. Tygrysy z Detroit grały późny mecz na zachodnim wybrzeżu - tym samym, z którego Randy leciał tu cały dzień. Siedziałem sobie przy kominku w Glasgow Inn, oglądając mecz w telewizorze nad barem. Lokal urządono na szkocki pub. Stały tu nawet masywne fotele z podnóżkami. W Glasgow Inn jest o wiele przyjemniej niż w większości barów, w jakich bywałem. Jackie, właściciel, sam nic nigdy nie robi jak trzeba, więc uważałem za swój obowiązek, by bywać tu co dzień i obdarzać go własną mądrością. Jackie wcale się mnie nie słucha, ale ja i tak przychodzę do Glasgow Inn.

Mam trochę ziemi kawałek dalej, z sześcioma chatami, które zbudował mój ojciec w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Mieszkam w pierwszej z nich - tę sam pomagałem mu budować w 1968 roku. Pozostałych pięć

wynajmowałem w lecie turystom, jesienią myśliwym, a zimą fanom skuterów śnieżnych. Wiosna w Raju to okres poza sezonem, czas, by posprzątać chaty i poczekać, aż stopnieje śnieg.

Kiedyś wiosna miała dla mnie inne znaczenie. Przez cztery lata grałem jako łapacz w podrzędnych ligach baseballa. Wieki temu. Nie wracam do tamtych czasów. Wiele wody upłynęło, zdarzyło się mnóstwo rzeczy. Przez osiem lat pracowałem jako policjant w Detroit. Straciłem partnera, w piersi wciąż mam kulę. A potem piętnaście lat spędziłem tu, w Raju, wieczór w wieczór oglądając baseball w telewizji, nie myśląc nawet o dniach, kiedy sam biegałem po boisku. Z całą pewnością nie myślałem o Randym Wilkinsie, leworęcznym, z którym grałem w trzeciej lidze w 1971 roku. Kiedy wszedł do baru, wykrzykując moje nazwisko, nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę on. Nawet gdyby do Glasgow Inn wszedł papież w tiarze, nie zdziwiłbym się bardziej.

Leworęczny znalazł mnie prawie po trzydziestu latach.

## Rozdział 2

WILKINS - POWIEDZIAŁEM. - Randy Wilkins. Nie wierzę.

Wyglądał na jakieś dziesięć kilo więcej, a czarne kręcone włosy mocno się przerzedziły. Te, co zostały, miał krótko przystrzyżone. Na pocieszenie zapuścił wąsy i kocią bródkę.

Nie zmieniły się za to oczy. Wciąż miał w nich to coś. Czasami przypominało iskierkę, czasem - błysk szaleństwa. I nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, z której strony rzucał piłką. W baseballu obowiązuje kilka prostych prawd. Dziś można to uznać za brak poprawności politycznej, ale jedna z nich mówi, że leworęczni miotacze nie są normalni. Nie potrafią rzucić piłki prosto. Leworęczny zawsze rzuca trochę ją podkreconą, choćby nie wiem jak starał się rzucić prostą i szybką. Leworęczny, jako wybryk natury, jest delikatny i bardziej narażony na kontuzje. Wystarczy jeden niewłaściwy rzut i bark do niczego. Widziałem na własne oczy.

Leworęczni myślą też inaczej. Czasami są lekko rozkojarzeni. Albo ekscentryczni. Albo są po prostu wariatami.

- Alex McKnight! - Chwytał mnie za ramiona i nie puszczał. - Ile to już lat?

- No ile? Prawie trzydzieści. Skąd, u licha... Co ty tu robisz?

- Przejeżdżałem i pomyślałem, że cię odwiedzę - powiedział.

- Przejeżdżałeś, jasne. Wymyśl coś lepszego.

- A może najpierw dostanę coś do picia? Mam za sobą cholernie długi dzień.

- Coś do picia - powtórzyłem. - Oczywiście.

Przedstawiłem go Jackiemu.

- Wierz mi lub nie, ale ten facet grał ze mną w Toledo - wyjaśniłem. - Był miotaczem.

- Bardzo mi miło. - Jackie uściśnął mu rękę. - Czego się napi-



jesz?

- Tego co Alex - odparł Randy.

- On pije piwo - poinformował Jackie. - Z Kanady. Nie tknie butelkowanego w Stanach. Co tydzień muszę przeprowiać się przez most po skrzynkę dla niego.

- Oszczędź mu tej łzawej historii i przynieś piwo - przerwałem Jackiemu.

- Świetnie wyglądasz - skomplementował mnie Randy. - Ćwiczysz?

- He, he, ćwicz! - krzyknął Jackie zza baru. - Alex McKnight i ćwiczenia. To dobre.

- No, no, ten facet był fantastycznym łapaczem - zauważył Randy. - Nie przepuścił żadnej piłki.

- Szkoda, że nie grał we właściwej lidze - skwitował Jackie.

- Nie gadaj, tylko dawaj to piwo - uciałem. Posadziłem Randy'ego przed kominkiem i patrzyłem, jak pociąga prosto z butelki.

- Kanadyjskie piwko... - mruknął.

- Czujesz różnicę w smaku?

- Uhm, jasne.

- Kłamiesz - powiedziałem. - Minęło tyle czasu, a ja wciąż wiem, kiedy kłamiesz.

Roześmiał się.

- Nie mogę okłamywać własnego łapacza.

- Cholerna racja - odparłem. - Ale poważnie, miło cię widzieć. Nawet mimo tych wąsów i bródki.

- Elegancko wyglądam, co?

- Jak satanista albo seryjny morderca. A co zrobiłeś sobie tu na rękę? Tatuaż?

Spojrzał na lewy nadgarstek z trzema równoległymi liniami. Ta najbardziej oddalona od dłoni miała przerwę pośrodku.

- To trigram - wyjaśnił. - No wiesz, z I Ching. Ten nazywa się „jezioro radości”. Mnich z Tybetu wydziergał mi to igłą umoczoną w krwi pająka.

- Znowu kłamiesz. Daj spokój. Znam cię na wylot.

- No to inaczej: zabalowałem kiedyś w San Francisco. Obudziłem się bez portfela, bez butów, za to z nowiutkim tatuażem.

- Brzmi bardziej wiarygodnie - stwierdziłem.

Znów się roześmiał. Ten sam śmiech. Przez rok słyszałem go co najmniej dwadzieścia razy dziennie.

- No dobra, gadaj wreszcie - powiedziałem.

- O czym?

- Co słyszać? Skąd tu się wziąłeś?

- No cóż, od kilku lat mieszkam w Los Angeles - zaczął. - Kilka tygodni temu oglądałem mecz Ligi Kaktusowej i facet w telewizji powiedział, że dobry łapacz to najlepszy przyjaciel miotacza. Pomyślałem sobie: „Co racja, to racja”, i zacząłem wspominać stare czasy w Toledo. Zastanawiałem się, co u ciebie, więc zacząłem szperać w Internecie. Znalazłem twoją stronę i stwierdziłem, że cię odwiedzę.

- Chwila, nie tak prędko - przerwałem. - Moją stronę internetową?

- No tak. Wpisałem w wyszukiwarkę Alex McKnight i od razu wyskoczyła.

- Randy, ja nie mam strony internetowej. Nie mam nawet komputera.

- Mówię o stronie twojej firmy, Alex. Detektywi Prudell i McKnight.

Patrzyłem na niego dłuższą chwilę. I nagle mnie olśniło.

- O Boże, co on znowu wymyślił? - jęknąłem.

- Twój wspólnik Leon?

Zamknąłem oczy.

- Tak, mój wspólnik Leon.

- No co? Przygotował całkiem zgrabną stronę z reklamą waszych usług. Jest na niej rysunek dwóch pistoletów wymierzonych w siebie. Jakby do siebie strzelały.

- Tak... To samo wstawił na nasze wizytówki.

- Zadzwoń do Leona - ciągnął Randy. - Naprawdę miły facet. Powiedział mi, gdzie cię szukać. Prosiłem, żeby ci nie mówił, że przyjeżdżam. Chciałem zrobić niespodziankę.

- No i zrobiłeś. Ale dlaczego...

- Na tej stronie jest coś o tym, że masz kulę w piersi. To prawda?

- Zabiję go. Bóg mi świadkiem, zatłukę jak psa.

- Ale siedzi tam w środku kulka? - Ukradkiem zerknął na mój tors jak każdy, kto słyszy o tym po raz pierwszy.

- Tak - odparłem. - To długa historia.

- Dobra, to mi oszczędź. Masz żonę? Dzieci?

- Dwa razy „nie”. Byłem żonaty, rozwiodłem się. Nie dorobiłem się dzieci. A ty?

Przez chwilę patrzył w sufit.

- Ja też się rozwiodłem. Mam trójkę dzieciaków. Jonathan właśnie zdał egzamin adwokacki. Jest prawnikiem w San Francisco. A niedługo zostanę dziadkiem. Uwierzysz? Annie, żona Jonathana, jest szefową kuchni, właśnie dostała pracę w eleganckiej restauracji w San Diego. A Terry dopiero co poszedł na uniwersytet w Santa Barbara. Wiesz co? - Pochylił się i dał mi kuksańca w nogę.

- Au... Co?

- Terry gra w baseball. Jest w drużynie studentów pierwszego roku. Zgadnij, na jakiej pozycji.

- No pięknie. Kolejny miotacz. Założę się, że też leworęczny wariat.

- Jest łapaczem - poprawił mnie Randy. - Co ty na to?

- Jeszcze gorzej. Musi łapać piłki rzucane przez leworęcznych wariatów.

- Do tego potrafi uderzać obiema rękoma - dodał. - Boże, ależ on wali. Zupełnie takjak ty kiedyś.

- Widzę, że pamięć ci wyszła razem z włosami.

- Nic a nic się nie zmieniłeś, Alex. - Pociągnął kolejny łyk z butelki. - Kanadyjskie piwo. Nie do wiary: siedzę sobie w Michigan i popijam kanadyjskie piwo. A w ogóle dlaczego tu tak zimno? Nie macie tu wiosny?

- Jasne, że mamy. Wystarczy poczekać do czerwca.

- Hej, Jackie! - krzyknął. - Rusz się do nas, to opowiem ci

trochę o twoim kumplu Aleksie. Założę się, że sam się z tego nie zwierzał. A po drodze przynieś nam jeszcze piwa.

Każdy, kto podczas pierwszej wizyty odezwałby się tak do Jackiego, w dziesięć sekund znalazłby się na parkingu i otrzępywałby sobie tyłek ze żwiru. Ale Randy miał prawdziwy dar zjednywania sobie ludzi, nawet dopiero co poznani mieli wrażenie, jakby znali go od zawsze. Widziałem to nieraz, kiedy graliśmy, a jeszcze częściej, kiedy zaczęliśmy dzielić pokój. Zanim Randy trafił na mnie, miał już wcześniej dwóch innych kumpli z pokoju. Potrafił gadać całą noc, nawet kiedy następnego dnia musieliśmy wstać rano i cały dzień jechać autokarem na kolejny mecz.

Ale trudno było się za to na niego gniewać. Czasami miałem ochotę go zabić, ale zawsze powiedział coś, co mnie rozbijało. Co gorsza, obejmował mnie ramieniem i śpiewał do ucha: „Dobrze wiesz, że mnie kochasz, Alex. Lecisz na mnie. Całymi nocami o mnie śnisz. To dlatego doprowadzam cię do szafu”.

Do wyboru był cały autokar dwudziestokilkuletnich facetów, większość ze wsi albo małych miasteczek z całego Środkowego Zachodu, sami twardziele albo przynajmniej na takich pozujący. Aja zamieszkałem w pokoju z Randym Wilkinsem.

Minęło blisko trzydzieści lat i oto nagle we wtorek, w późny kwietniowy wieczór, pojawia się znienacka w Glasgow Inn. Wystarczyło mu dokładnie dwadzieścia minut, żeby poczuć się jak u siebie w domu. Cholera jasna, dwadzieścia minut i kupił wszystkich. Nawet ten stary cap Jackie traktuje go jak króla. Czekałem, aż Randy powie, po co po tylu latach przejechał taki kawał drogi, ale ten wciąż gadał o baseballu, o naszych meczach, o starych kumplach z drużyny, o których prawie zapomniałem.

- Powiedz mi, Randy - odezwał się Jackie. - Trafiłeś kiedyś do pierwszej albo drugiej ligi?

No i proszę. Wiedziałem, że do tego dojdzie.

Sam na pewno bym o tym nie wspomniał.

- A tak - odparł Randy. - Zagrałem w pierwszej lidze.

Rzuciłem w jednym meczu. – Wcześniej Jackie przysunął do kominka dwa stoliki i Randy'ego słuchało już co najmniej dwunastu chłopów. – Opowiesz o tym, Alex?

– Mnie przy tym nie było – wykręciłem się. Nie chciałem poruszać tego tematu. Nigdy nie słyszałem, jak o tym mówił, bo po tamtym wrzesniowym zaciągu do ligi więcej go już nie spotkałem. Aż do dzisiaj.

– Był wrzesień 1971 roku – zaczął. – Pamiętacie pewnie, panowie, że wtedy pierwszą ligę rozszerzono z dwudziestu pięciu do czterdziestu drużyn? Jesienią sezon w niższych ligach już się kończy i większość dużych klubów lubi wtedy ściągać zawodników z niższej ligi, żeby popatrzeli, jak się powinno grać. I żeby zobaczyć, co potrafią. A nuż przydadzą się w następnym sezonie? W 1971 roku ściągnęli mnie do Detroit. Aleksa też powinni, ale dali ciała.

Wszyscy popatrzeli na mnie.

– No już dobra. Mów dalej – mruknąłem.

– W Detroit mieli wtedy świetną drużynę. Ile wygrali? Coś z dziewięćdziesiąt dwa mecze. Ale to był rok chłopaków z Baltimore i Tygrysy już się nie liczyły, choć do końca sezonu zostały jeszcze dwa tygodnie. Więc Billy Martin, trener, stwierdził, że przyjrzy się nowemu leworęcznemu z Toledo. Wielu trenerów nawet by nie spojrzęło na kogoś z trzeciej ligi. Najpierw kazaliby mu grać ławkę przez kilka rund. Ale Martin dał mi szansę. – Przerwał, żeby nabrać powietrza i popić piwa. Kiedy odstawił pustą butelkę, Jackie na jednej nodze przyniósł następną. – Tak się złożyło, że graliśmy z Baltimore – ciągnął Randy. – Najlepsza drużyna w pierwszej lidze. Myślę sobie: „W porządku, dlaczego nie? Jeśli uda mi się powalczyć z tymi kolesiami, to w przyszłym sezonie miejsce w drużynie mam jak w banku”. Graliśmy w dzień. To była sobota. Jestem w strefie do rozgrzewki... kurczę, na stadionie Tygrysów nie ma nawet prawdziwej strefy rozgrzewkowej, tylko taki wydzielony kawałek pola przy trzeciej bazie, właściwie na boisku. No więc rozgrzewam się i po prostu nie mogę uwierzyć w to, co się

dzieje. Jakbym stał obok i patrzył na siebie z boku. Mecz się zaczyna, a ja od razu wychodzę na boisko. Gramy u siebie. Jeszcze kilka ostatnich wymachów. Moim łapaczem jest Bill Freehan. Pamiętacie Billa Freehana?

Jakże by inaczej. To najlepszy łapacz w historii Tygrysów. I kolejny powód, dla którego nie trafiłem do pierwszej ligi. Nie było tam dla mnie miejsca, skoro Bill Freehan łapał piłkę w stu pięćdziesięciu meczach co roku.

- No więc najpierw mam przed sobą Dona Buforda. Pierwszy rzut w pierwszej lidze, w sam środek. Punkt dla nas. Kolejna piłka, Buford wybija na aut. Drugi punkt. Próbuję go zaskoczyć następnymi dwiema piłkami, ale Buford wybija. Jest już dwa do dwóch. Freehan każe mi rzucić podkręconą. Ale go nie słucham. Teraz czas na zupełnie inny rzut. Mam rację, Alex?

Odchrząknąłem.

- Sprężynka.

- Sprężynka? - zdziwił się Jackie. - A co to za cudo?

- No dalej, Alex, opowiedz mi o sprężynce.

- To jego popisowy numer - wyjaśniłem. - Mocny płaski rzut, ale on puszczał piłkę trochę niżej i bokiem. Kiedy mu się udawało, leworęczni pałkarze byli ugotowani. Praworęczni też nie mieli lekko. Piłka leciała im prosto na ręce. - Przerwałem, bo nie chciałem psuć Randy'emu dalszej opowieści. Nie wspomniałem, że sprężynka była kiedyś moim największym koszmarem. Bo kiedy przestawała Randy'emu wychodzić, piłka zaczynała koziółkować półtora metra przed bazą.

- Buford macha kijem - podjął Randy. - A ja sobie myślę: łatwizna. Jeśli sprężynka się uda, facet nie ma szans odbić. Oczyma duszy już widziałem nagłówki w gazecie następnego dnia: „Nieznany żółtodziób rzuca piłkę nie do odbicia”. Coś w tym stylu.

- Nie podoba mi się to - wtrącił Jackie. - Mam złe przeczucie...

- Do bazy wchodzi Merv Rettenmund - ciągnął Randy. - Rzucam dwa razy na sam koniec kija, ale sędzia odgwiszduje punkty

dla nich. Przecież jestem nikim, nie pozwolą mi kombinować. Zaczynają mi puszczać nerwy. Znow próbuję sprężynki, ale tym razem piłka kołuje tuż przed bazą. Sprężynka nie jest łatwa. Czasami po prostu przestaje wychodzić.

Coś o tym wiem, pomyślałem.

- Jestem już roztrzęsiony. Tamci wygrywają trzy do zera. Widzę, że Rettenmund się przymierza, więc walę prosto w niego. Przynajmniej tak mi się wydawało. A tu gwizdek i czwarty punkt dla nich. Rettenmund idzie na pierwszą bazę. Zaczynam krzyczeć na sędziego, a ten ma ochotę zabić mnie wzrokiem. Puściłem już dwóch pałkarzy, zaraz zdejmie mnie z boiska. Więc Freehan podchodzi do mnie i mówi: „Wyluzuj, chłopie, spokojnie. Nie daj się sprowokować sędziemu”. I takie tam.

Ja akurat wiem, że tak się nie powinno mówić do Randy'ego. Ale skąd Freehan miał to wiedzieć? Widział go przecież pierwszy raz w życiu. Ja podszedłbym do Randy'ego, złapałbym za koszulkę i powiedział, żeby przestał pajacować. Bo trzeba go było wkurzyć, żeby znow zaczął myśleć.

- Następny pałkarz Boog Powell. Boże, wiedziałem, że to olbrzym, ale nie aż taki. Wyglądał jak jakiś wieżowiec. Ale kij trzymał w lewej ręce, więc myślałem sobie: Przecież sprężynka to mój popisowy numer. No to jedziemy. Freehan każe mi rzucić prostą. Aja kręcę głową. Każe mi rzucić podkręconą. Aja znow: nie. Chcę sprężynkę. Widzę, że zerka na ławkę trenerską i pyta wzrokiem: Co to za jeden?, ale w końcu zgadza się na sprężynkę. No i rzucam.

Przerwał i znow upił piwa. Urodzony showman.

- I co? - nie wytrzymał Jackie.

- Boog Powell wybił piłkę w kosmos. - Pociągnął kolejny łyk piwa. Przerwa na gremialne jęknięcie.

- Ściągnęli cię z boiska?

- Nie. Podszedł asystent trenera, żeby mi nagadać. Następny uderzał Frank Robinson. Aja znow: sprężynka. Freehan nawet mi nie powiedział, co rzucić. Po prostu rzuciłem. Robinson wybił wysoko na lewą stronę boiska. Freehan wyskoczył wściekły jak

osa. Powiedział, że jeszcze raz to zrobię, to mi nogi z dupy powyrywa. W strefie rozgrzewkowej ćwiczyło już dwóch następnych, aja byłem jak w transie. Oddałem pierwszą bazę Hendricksowi, potem Robinsonowi. Normalnie koszmar. Cały czas spoglądałem na ławkę trenera. Bałem się, że Billy Martin wyjdzie na boisko i mnie rozszarpie. Ale on tylko siedział i mi się przyglądał. Minę miał skwaszoną, jakby go ząb bolał. Oddałem pierwszą bazę Daveyowi Johnsonowi i na wszystkich bazach zrobiło się tłoczno. Ale Martin ani ruszył się z ławki. Następny podchodzi Mark Belanger. A ja sobie myślę: W porządku, w końcu jakiś zawodnik, który kiepsko uderza. Będzie dobrze, załatwię go i jakoś się wyratuję. Pierwszy rzut, Belanger odbija wysoko wzdłuż lewej linii boiska. Na każdym innym stadionie na świecie byłby aut jak nic. Ale to Detroit i piłka zostaje w polu. Wielki szlem. I to w wykonaniu pieprzonego Marka Belangera. Wtedy Billy Martin już wstał. I mówi do mnie: „Dobra, wystarczy, chłopcze. Bo nam piłek zabraknie”.

Kiedy przerwał, zapadła cisza. To było prawie trzydzieści lat temu. Billy Martin już nie żył. Ale można sobie wyobrazić, co wtedy czuł.

- W sumie oddałem siedem rund w jednej części meczu - podsumował Randy. - Właściwie to nawet w jednej trzeciej części. Pobitem życiowy rekord w średniej okrążeń oddanych przeciwnikowi - sto dziewięćdziesiąt osiem. Sprawdźcie sami.

A potem się roześmiał. Rozładował napięcie i dał znak, że inni też mogą się śmiać razem z nim. Wypiliśmy jeszcze po kilka piw. Pogadaliśmy o tym, co Randy robił po odejściu z drużyny. Mówił o sprzedawaniu nieruchomości, o posadzie trenera baseballu w miejscowym liceum. Opowiedział trochę więcej o rozwodzie, o dzieciach, a zwłaszcza o najmłodszym synu, łapaczu. Nawijał cały wieczór, a wszyscy się cieszyli, że mogą go słuchać. Zawsze był w tym mistrzem.

Ale wciąż nie zdradził celu swojej wizyty. Musiałem na to poczekać.

Kiedy pojechaliśmy do mojej chaty, Randy położył się na



kanapie, a ja na łóżku, bo nawet mu się nie śniło, żeby mnie z niego wykopywać. Zaproponowałem nocleg w innej chacie. Odmówił. Chciał spać na kanapie.

- Zupełnie jak za dawnych czasów - powiedział, kiedy pogasiłem światła. - Tylko my dwaj.

- Nie za wygodna ta kanapa, co?

- Doskonała. Zupełnie jak łóżka, w których spaliśmy w trasie.

Pamiętasz?

- Pamiętam. - Przez chwilę poczułem się jak w motelowym pokoju, słuchając nocnego gładzenia swojego kumpla wariata.

- Mam to w końcu powiedzieć? - zapytał.

- Po co tu przyjechałem.

- Skoro już do tego dojrzałeś...

- Ostatnio sporo myślałem o siedemdziesiątym pierwszym roku - zaczął.

Nie widziałem go w ciemności. Słyszałem tylko głos. Może tego właśnie chciał, żebym nie patrzył na niego.

- O tym meczu?

- Właściwie nie o meczu. O wszystkim innym, co się wtedy stało. To był najlepszy okres w moim życiu. Powołano mnie do pierwszej ligi, wkroczyłem na stadion Tygrysów w ich stroju, siedziałem na ich ławce. Te ławki w Detroit są cholernie ciasne.

- Tak, słyszałem.

- Przepraszam, nie chciałem...

- Mów dalej. Wyrzuć to wreszcie z siebie.

- W tantym tygodniu sporo się działo. Poza stadionem, oczywiście. W Detroit byłem po raz pierwszy. Miałem co zwiedzać.

- W Detroit?

- Łaziłem po całym mieście - opowiadał. - Jest tam świetne muzeum sztuki, całkiem ładne zoo. Statek wycieczkowy.

- Owszem jest - przytaknąłem.

- Pływałeś nim kiedyś?

- Jasne, jako dzieciak. - Statek był wielki, stylizowany na stary parowiec. Woził turystów w dół rzeki Detroit, do parku atrakcji

na wyspie.

- A Greenfield Village? A Muzeum Henry'ego Forda? Chodziłem tak wszędzie i czułem się fantastycznie. Pierwszoligowym zawodnikiem. To ja. Nikt, rzecz jasna, nie błagał mnie o autograf. Nawet nie rozpoznawał. Ale pierwszy raz w życiu czułem się kimś ważnym. Wszystko wtedy było... doskonale.

- Jak miała na imię? - zapytałem.

- Maria - odparł po długiej ciszy.

- Niech zgadnę. Te muzea, zoo, statek...

- Tak, wszędzie z nią.

- I co się stało?

- Kiedy dałem ciała w meczu, przez kilka dni nie byłem sobą.

Nie spotykałem się z Marią. Nikogo nie chciałem widzieć.

I zniknąłeś?

Uhm...

Minęło prawie trzydzieści lat...

Chcę ją odnaleźć.

Chyba nie mówisz poważnie.

Chcę ją odnaleźć, Alex.

Przyleciałeś tu taki kawał drogi...

Zęby prosić cię o pomoc. Musisz mi pomóc odnaleźć Marię.

### Rozdział 3

NASTĘPNEGO RANKA OMAL NIE ZABIŁ GO PIEC. Ćwierć tony żeliwa spadło z hukiem z paki mojej furgonetki, roztrzaskując w drzazgi prowizoryczną rampę z desek. Gdyby Randy był o pół sekundy wolniejszy, leżałby pod piecem płaski jak naleśnik.

- A mówiłem, że te deski nie wytrzymają - skwitował. - Całe szczęście, że wciąż jestem szybki.

Wcześniej wywlokłem i wywoziłem na wysypisko stary piec z drugiej chaty. Kiedy kupiłem nowy, w sklepie zażyczyli sobie trzysta dolców za dostawę i instalację. Kazałem im więc tylko wrzucić to żelastwo na pakę. Leżał tam przez dwa tygodnie pod plastikową folią i czekał, aż wymyślę, jak go przenieść. Jackie miał z tego niezły ubaw i ani razu nie przegapił okazji, by zapytać, czy nadal wożę ze sobą piec. Zaoferował nawet swoją pomoc - za drobną opłatą w wysokości trzystu pięćdziesięciu dolarów.

Kiedy w końcu zataszczyliśmy to cholerstwo do chaty, Randy stanął z rękoma na udach i łapał oddech.

- Widzisz, Alex - dyszał. - Wiedziałem, że ten przyjazd to dobry pomysł. Już ci się zaczęło opłacać.

Rano ani słowem nie wspomniał o Marii. Nie chciałem naciskać.

- Miłe uczucie, co? - zapytał.

- Jakie?

- No, kiedy człowiek znów zaczyna się ruszać.

- Tak, czuję się świetnie - odparłem, rozcierając bark.

- Masz jeszcze rękawicę?

- Jaką rękawicę?

- Baseballową.

- Tak, w szafie. A co?

- A piłkę?
- O nie. Nie ma mowy...
- No chodź, póki jesteśmy rozgrzani. Rzucimy kilka piłek.
- Chyba żartujesz.
- Kiedy ostatnio rzucałeś?

Musiałem się nad tym chwilę zastanowić. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Randy już wybiegł na dwór.

- Dawaj, McKnight! - Biegł wzdłuż drogi. - Kto pierwszy do twojej chaty.

- Wyluzuj, człowieku.

- No dobra, przejdziemy się - stwierdził. - Daleko to? Ze czterysta metrów?

- Coś koło tego.

- Ile masz tych chatek?

- Sześć. Ojciec je postawił.

Szliśmy przez sosnowy las drogą, którą kiedyś wożono drewno z wycinki. Słońce toczyło ciężką walkę, by trochę ogrzać ciężkie powietrze. Placki lodu powoli rozmarzały w ciągu dnia i na nowo ścinały się w nocy. Znikną dopiero w połowie maja.

- I kiedy tu się sprowadziłeś? - zapytał.

- W osiemdziesiątym czwartym - odparłem. - Po tym, jak odszedłem z policji.

Skinął głową.

- Po tym, jak cię postrzelili.

- Tak.

- I od tamtego czasu nigdzie się stąd nie ruszałeś?

- Zimy spędzam w Monte Carlo - zadrwiłem. - Mam tam rezydencję.

- Pytam poważnie. Cały czas tu siedzisz?

- Uhm. To takie dziwne?

Pokręcił głową.

- Masz jeszcze jedną rękawicę oprócz swojej?

- Tak, ale nie będziemy rzucać, Randy.

Pięć minut później wygrzebał z szafy moją rękawicę łapacza i rękawicę na pierwszą bazę. Każdy łapacz ma taką drugą

rękawicę do gry w polu, bo marzy o dniu, kiedy trener wypuści go na boisko bez ochraniaczy i maski. Stanęliśmy na drodze przed chatą, dwanaście metrów od siebie, i Randy rzucił mi piłkę.

- Tylko kilka razy - prosił.

- Zwariowałeś.

Kiedy odrzuciłem piłkę, miałem wrażenie, jakbym robił to po raz pierwszy w życiu.

- Od kiedy rzucasz jak baba? - droczył się.

- Wybacz, mistrzu. Jedną kulę wydułbali mi ze stawu barkowego, a drugą z obojczyka. Po czymś takim piłka traci trochę szwungu.

Odrzucił do mnie.

- Ale to fajne tak znów sobie porzucać, co?

- Nie - odparłem. - To mnie cholernie boli. - Starłem się nadać piłce pęd całym ciałem, by nie obciążać ramienia.

- Musisz się trochę rozgrzać - stwierdził.

- Z piwem przy kominku.

- Próbowałem ją odnaleźć - wyznał. - Przez komputer. Wpisałem: Maria Waleska.

- Randy, ona się tak nazywała prawie trzydzieści lat temu. - Odrzuciłem piłkę. Ból zaczął ustępować. Tylko trochę.

- Tak, wiem. Dziś może być mężatką.

- Jeśli ma męża...

- Alex, nie spodziewam się, że czekała na mnie przez te wszystkie lata. Wiem, że nie siedzi w wieży, wypatrując swojego królewicza.

- W takim razie...

- Królowny mają zwykle długie włosy, prawda?

Nie przestawaliśmy rzucać.

- Tyle że przeważnie blond, nie? - ciągnął. - A Maria miała kruczoczarne.

- Randy...

- Alex, zakochałeś się kiedyś w dziewczynie o ciemnych włosach i ciemnych oczach?

Odrzuciłem piłkę.

- A zielone się liczą?

- W Kalifornii wszędzie tylko blondynki. Boskie. Gapisz się na nie jak na słońce. Ale wystarczy mrugnąć, odwrócić wzrok i nie pamiętasz nawet, jak wyglądają. Za to dziewczyna o ciemnych oczach, które świdrują cię na wylot...

- Randy...

- Takiej nie sposób zapomnieć.

- Ona już nie jest dziewczyną - przypomniałem. - Ile teraz może mieć, czterdziestkę z hakiem?

- Coś koło tego - przyznał.

- Babka ma czterdziestkę na karku, pewnie od dawna mężatka, dzieciata... I co, staniesz w progu i zapytasz: Cześć, pamiętasz mnie?

- Na pewno pamięta - odparł.

- I co dalej?

- Nie wiem. Naprawdę, Alex.

- Randy, ty słyszysz, jak to brzmi? Przepraszam, ale to po prostu głupie.

- Tak, tak - zbył mnie. Cofnął się o krok i rzucił piłkę trochę mocniej. Uderzyła w rękawicę z takim głuchym łupnięciem, jakie kiedyś słyszałem tysiące razy dziennie. Dawniej to było całe moje życie: łapać piłkę i odrzucać, i tak w kółko.

- Ej, uważaj - upomniałem go. - Nie mam maski.

- Tylko pomyśl - mówił. - Szukałem jej i nie znalazłem, za to namierzyłem ciebie. I okazuje się, że jesteś prywatnym detektywem.

Znów odrzucił piłkę. Łup!

- No, nie do końca - odparłem. Ale Randy nie słuchał. Rzuciłem mu piłkę.

- I byłeś gliną w Detroit. A ona tam mieszkała.

- Dawno temu - dodałem.

- I wciąż mieszkasz w Michigan. - Kolejny rzut i łupnięcie w moją rękawicę.

- Randy, do Detroit jest stąd sześć godzin drogi.

- Zawsze mogłem na ciebie liczyć, Alex. Byłeś moim łapaczem. Słowo daję, rzucałem w parze z innymi zawodnikami, ale takiego łapacza jak ty nie miałem nigdy. - Znów odsunął się o krok i cisnął mocno.

Kiedy złapałem piłkę, lewa dłoń aż mnie szczypała.

- No dobra, dość już tego - powiedziałem. Powinienem schować piłkę, ale ją odrzuciłem.

- Nie wierzysz w przeznaczenie, Alex? Wiem, że się uda, kiedy mi pomożecie, ty i Leon.

- Leon - powtórzyłem. - Co do Leona...

- Tak przy okazji, jesteśmy dziś z nim umówieni - oznajmił Randy. - Możemy pojechać do niego po obiedzie.

- Umówieni? A po co?

- Żeby nam zreferował, co nowego w naszej sprawie - wyjaśnił Randy. - Rozmawiałem z nim kilka dni temu, kiedy mi tłumaczył, jak cię znaleźć.

- Zreferował co „nowego”? W jakiej „naszej sprawie”?

- Alex, czuję, że czas na sprężynkę.

- Randy, ani mi się waź.

- Muszę, Alex. Uwaga, leci. - Zamachnął się powoli.

- Randy, Bóg mi świadkiem, jeśli rzucisz sprężynkę...

- Przygotuj się, Alex. Sprężynka w drodze...

Mogłem podnieść ręce. Albo odwrócić się plecami. To by go pewnie powstrzymało. Nie wiem, dlaczego przyjąłem postawę łapacza, z rękawicą wystawioną przed siebie, z prawą ręką za plecami. Może to po prostu instynkt. A może w głębi duszy chciałem zobaczyć jeszcze raz, jak rzuca sprężynkę.

Rzucił. Tak jak za dawnych czasów.

I tak jak za dawnych czasów piłka zaczęła kozłować półtora metra przede mną.

Nie złapałem jej, ale przynajmniej zdołałem ją zatrzymać. W tym zawsze byłem dobry. Nieważne jak, nieważne, którą część ciała miałem potem obolałą - zawsze udawało mi się zatrzymać sprężynkę.

- Chyba zwichnąłem sobie bark - powiedział Randy.

Siedzieliśmy u Jackiego, przed nami stały dwa wielkie talerze z wołowiną z puszki. Jak co środę.

Nie odzywałem się. Trzymałem worek lodu pod prawym okiem.

- Naprawdę wyśmienite jedzenie - chwalił Randy.

Jackie spojrział na mnie po raz siódmy, od kiedy weszliśmy do baru, i pokręcił głową.

- Alex, powiedz jeszcze raz, co się stało.

Zmroziłem go wzrokiem, o ile to możliwe, kiedy człowiek ma za- puchnięte oko.

- Więc mówisz, Randy - ciągnął Jackie, wciąż patrząc na mnie - że ten facet zmusił cię, żebyś rzucił?

- Uparł się jak osioł - odparł Randy.

- I kazał ci wykonać ten twój popisowy rzut z dawnych czasów? Jak to się nazywało?

- Sprężynka. W chłodny dzień, bez rozgrzewki. Mogłem sobie zwichnąć bark.

- No to ma za swoje - stwierdził Jackie. - Dobrze mu tak.

- Skończyliście? To poproszę o jeszcze trochę lodu - warknąłem.

- Bierz się do tej wołowiny - ponaglał Randy. - Musimy wpaść do twojego wspólnika.

- Randy, powtarzam, to nie jest mój wspólnik. To znaczy... mamy pewną umowę. Leon całe życie chciał zostać prywatnym detektywem. Kiedy wyleciał z pracy, namówił mnie, żebym go zastąpił. Nawet nie chcę o tym gadać. Powiedzmy, że nie ułożyło się to najlepiej.

- Ale nadal jesteś prywatnym detektywem - stwierdził Randy.

- Wciąż mam licencję - przyznałem. - Leon pomógł mi się kiedyś wykaraskać z kłopotów, więc z wdzięczności zgodziłem się zostać jego wspólnikiem. Chodziło tylko o nazwisko na wizytówce.

- I w książce telefonicznej.



- No tak-przyznałem. - W książce też. Jakby to miało jakieś znaczenie.

- I na stronie internetowej.

- No właśnie, na stronie internetowej. Muszę z nim zamienić kilka słów na ten temat.

- Alex, mam forsy jak lodu - powiedział Randy. - Chcę ci dobrze zapłacić.

- Randy, nie chodzi o pieniądze. Słuchasz mnie w ogóle? Tak naprawdę nie jestem prywatnym detektywem. Dwa razy próbowałem kogoś odszukać iw obu przypadkach skończyło się katastrofą. Ja się nie nadaję.

- Alex, zawsze byłeś świetnym pałkarzem, zwłaszcza po dwóch kiksach.

Upuściłem woreczek z lodem na stół i popatrzyłem uważnie na Randy'ego.

- Ze co, proszę?

- Zawsze byłeś świetnym pałkarzem, zwłaszcza po dwóch kiksach.

- Stary, graliśmy razem cały sezon. Pamiętasz, jak wchodziłem do bazy?

- Oczywiście.

- Ile razy widziałeś, żebym spieprzył trzecią piłkę po dwóch kiksach?

- Tak od razu ci nie powiem.

- Co najmniej raz w meczu, czasami dwa razy, a nawet i trzy. Ba, kiedyś zdarzyło mi się to nawet cztery razy. Zamachnąłem się na piłkę, która przeszła prawie pół metra za bazą, i zaliczyłem kolejny kiks. Randy, gdybyś chciał znaleźć jeden powód, dla którego nigdy nie zostałem zawodowcem, to właśnie przez te kiksi.

Złe wspomnienia wróciły z całą siłą, a że jeszcze dostałem piłką w oko, nastrój wcale mi się nie poprawił. Dobrze się spisywałem na stanowisku za bazą, byłem świetnym łapaczem, zwłaszcza dla takich wariatów jak Randy, nieźle też dorzucałem do drugiej bazy. Ale nigdy nie udawało mi się wybić piłki poza pole

wewnętrzne, a to dlatego że za bardzo wywijiałem kijem. Miotacze szybko to wyczaili. Jeśli udało im się wymusić dwa kiks, było już po mnie.

To chyba o czymś świadczy. Dwa kiks i tak bardzo staram się chronić bazę, że biorę zamach na wszystko, co się rusza.

- No już dobrze - odezwał się Randy po dłuższej chwili. - Masz teraz szansę się poprawić.

- Mówię poważnie - nie dawałem za wygraną. - Posłuchaj...

- Chwileczkę. Zanim wyjdziemy, muszę skoczyć do kibelka. - Zsunął się ze stołka przy barze i zaczął śpiewać: L'amour, l'amour, oui, ta ta ti...

- Gdzie Jackie? - zapytałem. - Potrzebuję więcej lodu.

- Jak to leciało? - zastanawiał się Randy i znów zaintonował: L'amour, l'amour, oui, son coś tam, coś tam... Jak to dalej szło?

- Nie mam pojęcia.

- To aria Romea - wyjaśnił. - Z francuskiej opery. Piękna rzecz.

- Nie znam słów, Randy. Zwłaszcza po francusku.

- L'amour, l'amour... oui, sonardeur... tak jakoś?

- Nie wiem.

- Zastanów się, a ja skoczę do łazienki.

Kiedy zniknął, w końcu pojawił się Jackie z nowym woreczkiem lodu.

- Co ja mam z nim zrobić? - zapytałem.

- O co ci chodzi? - zdziwił się Jackie.

- On naprawdę chce znaleźć dziewczynę, którą poznał w 1971 roku. Nie uważasz, że to szalone?

- E tam, rzecz gustu - odparł. - Sam wiesz, że mu pomożesz.

- A niby dlaczego?

- Bo musisz - wyjaśnił. - Całe życie siedzisz w tej swojej chacie sam jak palec. Na litość boską, nie masz nawet telewizora. Tak bardzo brakuje ci kontaktu z ludźmi, że codziennie tu przyłazisz i zatruwasz mi życie. A skoro ktoś do ciebie zapukał i prosi o pomoc, to mu pomożesz, choćby nie wiem co. Już to widziałem. A w ogóle, wiesz co? Jeśli kiedyś tu na parkingu wyląduje

latający spodek i małe zielone ludziki wejdą do baru i poproszą, żebyś na innej planecie pomógł im walczyć z Obcymi, to ty oczywiście polecisz i dasz sobie skopać dupsko. W dwie minuty zadekujesz się na ich statku i już cię nie ma.

Patrzyłem na niego przez chwilę z woreczkiem przyciśniętym do oka.

- Niezła opowieść, Jackie. Małe zielone ludziki?

- Tak. Tu, na tym parkingu.

- I przylecą prosić o pomoc akurat mnie. Będą mówić po angielsku i tak dalej.

- Kiedy dotrą, owszem. Na razie nadal cię obserwują. Ale już zostałeś wybrany jako największy nieudacznik na Ziemi. Teraz muszą się dowiedzieć o tobie wszystkiego, zanim cię zabiorą. Założę się, że na pokładzie będzie na ciebie nawet czekała skrzynka piwa z Kanady.

Randy wyszedł z łazienki, wciąż podśpiewując arię.

- No i co, Alex, gotowy do drogi?

- Randy, zabieraj go stąd, i to migiem - powiedział Jackie. - Póki jest jeszcze do wzięcia.

Odszedł, śmiejąc się, a ja rzuciłem za nim woreczek z lodem.

Pojechałem za Randym na lotnisko, żeby zwrócić wypożyczony samochód. Potem wskoczył do mojego forda i ruszyliśmy do Leona.

Przez kilka minut milczał i patrzył przez szybę na drzewa.

- Nie ma tu za bardzo czego oglądać - odezwał się w końcu.

- Poza drzewami? Nie, nieszczególnie.

- Ale miło tu - przyznał. - Zupełnie inaczej niż w Los Angeles.

- Wyobrażam sobie.

- Zaraz, jedziemy w stronę Sault Ste. Marie?

- Tak. Leon mieszka w miasteczku Rosedale, kawałek na południe od Soo.

- Nigdy nie widziałem śluzy w Soo - powiedział. - Może wpadlibyśmy tam, póki jeszcze widno.

- Co? Wydawało mi się, że Leon na nas czeka.

- Nie ucieknie - odparł. - Musisz mi pokazać słynną na cały świat służę w Soo. Kiedy znowu będę miał okazję ją zobaczyć?

- Służę otwierają dopiero za tydzień.

- Jest jeszcze jeden powód, żeby trochę poczekać ze spotkaniem z twoim współnikiem - wydusił w końcu. - Chcę ci opowiedzieć trochę więcej o Marii.

- Dlaczego? O co chodzi?

- Są pewne... sprawy - zaczął. - Wolę ci sam o nich powiedzieć, żebyś nie nabrał uprzedzeń.

- No to wal.

- Zawieź mnie do służy, Alex. O niektórych rzeczach można mówić, tylko patrząc na wodę.

Pokręciłem głową i jechałem dalej.

- Co się ze mną dzieje? - pytałem sam siebie. - Czym sobie na to zasłużyłem?

Dwadzieścia minut później zatrzymałem się przed służą w Soo. Latem na parkingu jest tłoczno, a na tarasie widokowym stoi zwykle ze czterdzieści osób. W to pochmurne kwietniowe popołudnie, przy smagającym chłodnym wietrze znad zatoki, który pędził dalej wzdłuż rzeki St. Marys, mieliśmy całą okolicę dla siebie.

Randy spoglądał w dół na służę. Po wodzie wciąż pływały bryły lodu. Randy już drżał, wbity w lichą namiastkę kapoty. Sam tego chciał, wcale nie było mi przykro.

- To jest to? - zapytał. - Statki przepływają tędy, a potem co, gdzieś tutaj są obniżane?

- Obniżane, jeśli płyną na jezioro Huron - wyjaśniłem. - Albo podnoszone, jeśli na jezioro Superior. O sześć metrów trzydzieści centymetrów.

- Ile to trwa?

- Z dziesięć minut.

- Musi robić wrażenie.

- Kiedy przepływa dwustumetrowy frachtowiec, to i owszem.

- Mówisz, że otwierają za tydzień?

- Randy, opowiesz mi o Marii czy wolisz zamarznąć na śmierć?

Podszedł do betonowych ławek, przynajmniej choć trochę osłoniętych przed wiatrem.

- Może to zabrzmieć trochę idiotycznie - zaczął, siadając. - Cholera, odmrozę sobie tyłek na tym betonie.

- Idiotycznie? Jeszcze bardziej?

- Ano zobaczymy - odparł. - Pozwól mi najpierw opowiedzieć całą historię, zanim się odezwiesz, dobrze?

- Zamieniam się w słuch.

- W porządku. - Wziął głęboki oddech. - W 1971 roku trafiłem do Detroit razem z kilkoma innymi chłopakami. Pamiętasz Marvina Lane'a z głębi boiska? A Chucka Seelbacha, drugiego miotacza? Było też kilku facetów z drugiej ligi. Nie znaleźliśmy miasta, wszystko nas przytłaczało, więc spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Po prostu włączyliśmy się popołudniami. Pewnego dnia zjedliśmy obiad w klubie Lindell AC. Miłe wrześnieowe popołudnie w wielkim mieście, sam rozumiesz. Łaziliśmy po Corktown, podjarani jak jasna cholera, bo przecież za kilka godzin mieliśmy wieczorny mecz. I nagle zobaczyliśmy dom z szyldem. Wielka ręka i napis: „Madame Waleska, wróżka”. Dzisiaj pewnie nazwałaby się psychologiem, ale wtedy na szyldzie stało jak wół „wróżka”. To był taki domek ze schodami z boku. Wszyscy tam weszliśmy. Liczyliśmy, że poznamy przyszłość. Ze dowiemy się, czy tego wieczoru zagramy. No wiesz, szliśmy tak dla jaj. Mówię ci, Alex, niesamowite miejsce. Na ścianach czerwona tapeta i dziwne obrazy. Na jednym z nich facet wiszący głową w dół, jak na karcie do tarota, a na innym szkielet w czarnej szacie, z kosą do ścinania duszyczek.

A Madame Waleska siedziała w gabinecie z kryształową kulą. Słowo. Wróżyła jednemu po drugim. Wszystkim pięciu. Ja byłem na końcu. Ale zanim do niej wszedłem, zdążyłem się zakochać. W dziewczynie przy stoliku w korytarzu. Miała czarne włosy. I oczy, które... Boże, nie wiem, jak to powiedzieć. Ale kiedy na mnie spojrzała, miałem wrażenie, jakby świat się zatrzymał. Nie byłem w stanie nawet oddychać. W końcu zapytałem, jak ma na

imię. Odpowiedziała: Maria. I tyle. Tak się poznaliśmy.

Siedzieliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Wiatr się wzmagał i hulał po tarasie widokowym. Zimne powietrze aż szczypało w oczy.

- A co wywróżyła ci Madame Waleska? - zapytałem w końcu.

Roześmiał się.

- Nie słuchałem zbyt uważnie. Chociaż pamiętam, że mówiła naprawdę zdumiewające rzeczy. Wiedziała, że czeka mnie najważniejsza próba w życiu.

- Poszedłeś tam z bandą młodych baseballistów - przypomniałem. - Więc nic dziwnego.

- Nie, nie tylko o to chodziło. Chyba wiedziała, że próbuję udowodnić ojcu, że mogę sam odnieść sukces zamiast pracować w jego firmie.

- Syn, który chce zaimponować ojcu. Kolejne zaskoczenie.

- No dobrze, Alex. Rozumiem. Aleja wcale nie wierzyłem w to wszystko. I na pewno nie z tego powodu poszedłem tam następnego dnia.

- Ciekawe, z jakiego...

- Zostawiłem Marii liścik. Zupełnie jak sztubak z liceum. Miałem dwadzieścia lat. Ona dziewiętnaście.

- I często się widywaliście?

- Przez dziesięć dni codziennie. Dopóki mnie nie wywalili z drużyny i... nie zapadłem się pod ziemię na jakiś czas.

- I przez tych dziesięć dni dawałeś sobie wróżyć?

- Nie, tylko kilka razy. Madame Waleska chyba by mnie zabiła, gdyby dowiedziała się o Marii. Zresztą jej ojciec też. No i ten starszy brat. Leopold. Kiedyś zobaczył nas w centrum i omal mnie nie udusił na miejscu. Maria musiała go uspokajać. Kazała mu obiecać, że nie powie rodzicom. Cały czas spotykaliśmy się ukradkiem, w różnych miejscach. Czasem tylko na kilka minut przed meczem.

- Bzykałeś się z nią?

- Alex, daj spokój.

- Tak czy nie?

- Był 1971 rok. Wszyscy się wtedy bzykali.
- A więc tak.
- Tak. Chociaż właściwie tylko raz, bo reszta to...
- Dobrze, dobrze, oszczędź mi szczegółów. Jedźmy.
- Dokąd?
- Do Leona. - Wstałem. - Przecież na nas czeka, prawda?
- To znaczy, że mi pomożesz?
- Jakże mógłbym odmówić? To taka wzruszająca historia.
- Ha, wiedziałem. Zgoda, nie brzmi najlepiej, ale...

Poszedłem do schodów.

- Leon już nad tym zaczął pracować?

- Tak - przyznał, gdy mnie dogonił. - Sam sprawdzałem w kilku serwisach wyszukujących namiary na ludzi, ale dostałem tylko jakiś adres z siedemdziesiątego pierwszego roku. Nawet nie wiem, kiedy się urodziła. Leon twierdzi, że będziemy musieli połączyć trochę po Detroit. A w jego stanie...

- W jakim stanie?

- No, po wypadku. Nie wiesz, że twój wspólnik miał wypadek?

- Nie - odparłem.

- Spadł z dachu. Próbował oczyścić rynnę z lodu czy coś. Hm, macie nie po kolei w głowie, że tu mieszkacie.

- Tak, mamy nie po kolei w głowie - przyznałem. - Chodźmy zobaczyć, jakie kuku sobie zrobił. I czy ma jakiś pomysł, jak znaleźć tę twoją córkę wróżki.

## Rozdział 4

DRZWI OTWORZYŁA ŻONA LEONA, ELEANOR. Kiedy patrzy się na Eleanor, zwraca się przede wszystkim uwagę na to, jaka jest wielka. Dawno temu Leon mnie nienawidził, bo był głęboko przekonany, że to przeze mnie stracił posadę prywatnego detektywa. Ale wtedy, mówiąc szczerze, bardziej niż Leona bałem się Eleanor. Oboje są więksi od mnie, ale zawsze miałem wrażenie, że Eleanor jest znacznie szybsza od męża.

Od tamtego czasu lepiej poznałem Eleanor. To dobra i bystra kobieta z poczuciem humoru. Z anielską cierpliwością znosi też marzenia męża o zawodzie prywatnego detektywa. Gdybym potrzebował wsparcia podczas bójki w barze, wolałbym mieć ją pod ręką niż Leona.

Przedstawiłem ich sobie, a Randy ucałował Eleanor w dłoń. Owinął sobie wokół palca kolejną kobietę.

- Co, do diabła, wyprawia ten twój mąż? - zapytałem. - Podobno spadł z dachu.

Przewróciła oczami i wskazała palcem za plecy. Naprzeciwko kuchni widać było otwarte drzwi, a za nimi Leona w łóżku z poduszkami podłożonymi pod stopy. Obie kostki w gipsie.

- Alex! - krzyknął, kiedy mnie zauważył. - Wprowadź naszego klienta dalej!

Światło w sypialni było wyłączone. Leon leżał skąpany w niebieskawej poświacie bijącej od monitora komputerowego. Zmierzwiona ruda czupryna wyglądała w niej przerażająco. Miał na sobie kraciatą flanelową koszulę i szare spodnie od dresu. Na kolanach trzymał klawiaturę.

- Pan Wilkins, prawda? - Wyciągnął prawą rękę.

- Mów mi Randy. - Randy uściśnął Leonowi dłoń.

- Leon, naprawdę spadłeś z dachu i połamałeś obie kostki? -



zapytałem.

- Próbowałem oczyścić rynnę z lodu - wyjaśnił. - Ellie od tygodnia przerzuca mnie z miejsca na miejsce. Całe szczęście, że jestem lekki jak baletnica.

- Jak trzy baletnice - odezwała się Eleanor, wchodząc do pokoju. - Powinam go zostawić tam w śniegu. - Niosła dwa drewniane krzesła z taką łatwością, jakby to były dwa talerze. - Siadajcie tutaj, bo mój mąż nigdzie się stąd nie ruszy.

Kiedy zajęliśmy miejsca po obu stronach łóżka, Leon skończył coś pisać na komputerze. Gdzieś za moimi plecami ożyła drukarka.

- No, gotowe - zaczął. - Poświęciłem tej sprawie dobre dwadzieścia godzin i oto, czego się dowiedziałem.

- Dwadzieścia godzin? - zdziwiłem się.

- A co mam innego do roboty?

- Świetnie, że pilnujesz czasu - zauważył Randy. - Wynagrodzę wam te wysiłki.

- I mam nadzieję, że się opłaci - powiedział Leon. - Na pewno damy z siebie wszystko.

- Oszczędź sobie tej reklamy - przerwałem mu. - A właśnie, Í propos, przypomnij mi, żebym pogadał z tobą o stronie internetowej...

Leon spojrział na Randy'ego i nie odrywał już od niego wzroku.

- Jak mówiłem, oto plon mojej dotychczasowej pracy. Wiem, że próbowałeś już w kilku wyszukiwarkach adresowych. Szukałeś i Marii, i jej brata Leopolda. Te serwisy przekopują każdą dostępną bazę, ale my mamy za mało danych: tylko dwa imiona, dawne nazwisko, przybliżony rok urodzin Marii, około 1952, skoro w siedemdziesiątym pierwszym miała 19 lat, oraz bardzo stary adres, pod którym pracowała z matką... mówiłeś też, że tam mieszkały?

- Tak. Na najwyższym piętrze.

- I nie pamiętasz imion rodziców?

- Niestety, nie. Maria do matki mówiła po prostu „mamo”, a inni zwracali się do niej Madame Waleska. Imienia ojca nie

słyszałem chyba w ogóle.

- Twoim zdaniem miała tylko jednego brata? Żadnego innego rodzeństwa?

- Tak - odparł Randy. - Wspominała, że zanim rodzice przyjechali do Ameryki, było im ciężko. Kiedy urodzili się Leopold i Maria, mieli już ponad czterdzieści lat. Myślę, że dlatego tak ją chronili.

- I nie wiesz, ile lat miał wtedy Leopold?

- Na pewno był od niej starszy. Ale nie mam pojęcia, o ile.

- W tych wyszukiwarkach - ciągnął Leon - zwykle potrzebna jest data urodzenia, numer ubezpieczenia albo jakiś w miarę świeży adres. Bez tego ani rusz. Ale to już wiesz. Przecież dlatego przyjechałeś.

- Otóż to - przyznał Randy.

- Na początek dobra wiadomość: raczej nie umarła - oznajmił Leon. - Oczywiście o ile jest zarejestrowana w systemie ubezpieczeń społecznych. Od 1971 roku zmarły cztery kobiety o tym imieniu i nazwisku Waleska. Wszystkie były znacznie starsze od Marii.

- Super - odparł Randy. - To bardzo dobrze.

- W bazie zmarłych nie znalazłem też żadnego Leopolda Waleskiego, jeśli to ma jakieś znaczenie.

- Też dobrze - ucieszył się Randy. - Chociaż facet mnie nienawdził.

- Dalej, w więzieniu nie siedzi. Ani w stanowym w Michigan, ani w federalnym. To samo dotyczy Leopolda.

- Jasne.

- Nasz największy problem, to szmat czasu, jaki minął od waszego ostatniego spotkania. W ciągu prawie trzydziestu lat wiele się zmienia. Kobieta może wyjść za mąż, mieć inne nazwisko, wyprowadzić z tej okolicy. Ilu znasz ludzi, którzy od siedemdziesiątego pierwszego wciąż mieszkają na starych śmieciach? Musimy odbyć więc podróż w czasie i prześledzić jej losy od 1971 roku. Nie będzie to łatwe, ale da się zrobić. Sprzyja nam jej dawne nazwisko. Gdybyśmy szukali Marii Smith,

miałbym mniej optymizmu. Ale Maria Waleska to zupełnie inna sprawa. Wiesz, skąd przyjechali?

- Z Europy. Tylko tyle.

- Nie zapytałeś nawet, skąd pochodzą? - zdziwiłem się. - Pewnie byłeś za bardzo zajęty „robieniem tego, co wszyscy robili w siedemdziesiątym pierwszym”?

- Może i pytałem - mruknął. - Po prostu nie pamiętam.

- Alex - upomniał mnie Leon. - Randy jest naszym klientem, rozumiano?

- Właśnie - powiedział Randy. - Więc traktuj mnie z odrobiną szacunku.

- A co ci się stało w oko? - zapytał Leon.

Zanim się zdecydowałem, którego mam udusić najpierw, Randy kazał Leonowi mówić dalej.

- W wyszukiwarkach pewnie znalazłeś numery telefonów do każdej Marii Waleskiej wymienionej w którejkolwiek z książek telefonicznych. Przy pobieżnym sprawdzeniu znalazłem pięć takich kobiet.

- Tak, zdaje się, że mnie wyskoczyło siedem numerów. Obdzwoniłem wszystkie i pudło.

- A Leopold...

- Znalazłem dwóch - wyjaśnił Randy. - Żaden nie był tym właściwym.

- Nie ma lekko - odparł Leon. - Ale książki telefoniczne to dobry trop. Jeśli obdzwonimy wszystkich Waleskich w kraju, może znajdziemy jakiegoś krewnego.

- Wszystkich Waleskich? - zdziwił się Randy. - W całym kraju?

- Liczę tylko tych, którzy są wymienieni w książkach telefonicznych - doprecyzował Leon. - Czyli około trzystu. Przeszukałem krajowy spis numerów. Właśnie drukuję listę.

- Musimy obdzwonić ich wszystkich?

- Dokładnie trzydziestu jeden mieszka w Michigan, więc od tych zacząłem. Podawałem się za prawnika. Mówiłem, że prowadzę pozew zbiorowy i szukam Marii Waleskiej, która mieszkała w rejonie Detroit w 1971 roku. Zdradziłem, że może

jej się należeć część wysokiego odszkodowania.

- Nie mogłeś zapytać prosto z mostu? - zdziwił się Randy.

- Mogłem, ale dziś nigdy nic nie wiadomo. Ludzie są podejrzliwi. I tak nic nie wskórałem. Mamy jeszcze dwieście siedemdziesiąt nazwisk. To kupa roboty. Myślę, że najpierw powinniśmy zawęzić tę listę.

- Jak?

- Przydałby się akt urodzenia, wtedy mielibyśmy przynajmniej imiona rodziców. Jeśli byli imigrantami, znajdziemy jakieś dokumenty. Sęk w tym, że w Michigan bardzo trudno wydobyć akt urodzenia. W większości innych stanów wystarczy przejść się do archiwum i poprosić. W Michigan archiwum nie ma prawa wydać aktu nikomu poza rodzicami czy urzędnikami sądowymi. Chociaż... dlaczego nie spróbować? Jesteś pewien, że urodziła się w Detroit?

- W Detroit się wychowała - powiedział Randy. - Ale pewnie tam też się urodziła.

- Więc akt jest w archiwum stanowym w Lansing. Możecie tam zajechać po drodze do Detroit. Odpis będzie także w urzędzie miejskim.

- Mamy, ot tak, wejść do archiwum i prosić ojej akt urodzenia?

- Raczej błagać - odparł Leon. -1 musicie się modlić, żeby urzędnik miał dobry humor.

- Po prostu wykorzystamy nasz urok osobisty, co Alex?

Zbyłem to milczeniem.

- W Detroit najpierw idźcie pod ten adres przy Leverette Street - pouczał nas Leon. - W tym domu mieszka teraz... zaraz, jak on się nazywa? - Chwycił z łóżka notatnik z żółtymi kartkami i zaczął je przerzucać. - Mam. Henry Shannon.

- Jak się tego dowiedziałeś? - zdziwił się Randy.

- Zadzwońłem do tamtejszej biblioteki publicznej i poprosiłem, żeby sprawdzili. Bibliotekarze już tacy są. W przeciwieństwie do innych gryzpiórków naprawdę lubią swoją pracę, więc zwykle są pomocni. Dostałem wszystkie informacje o lokatorach z tego kawałka Leverette Street. Wydrukuję wam.

- A co z tym Shannonem? Dzwoniłeś do niego?

- Kilka razy - odparł Leon. - Nikt nie odbierał. Próbowałem dzwonić pod inne numery na tej ulicy, ale i tu poszło mi kiepsko. Wyobraźcie sobie, że ni z tego, ni z owego dzwoni do was ktoś i pyta o jakiegoś mieszkańca sprzed trzydziestu lat... przez telefon takich rzeczy się nie załatwia. Trzeba porozmawiać osobiście. Podejść do drzwi, miło się przedstawić, wyjaśnić sprawę.

- To na pewno zadziała - ożywił się Randy. - Damy radę.

- Dowiedziałem się, kto był właścicielem tego domu w 1971 roku - pochwalił się Leon. - Michael Kowalski. Bibliotekarka z działu biznesowego i finansowego przełączyła mnie do Kolekcji Historycznej Burtona. Mają tam wszystkie miejskie spisy od lat dwudziestych.

- Chwila - przerwał mu Randy. - To by się zgadzało. Musieli wynajmować górę tego domu. Pamiętam... - Zamilkł na dłuższą chwilę, zatapiając się we wspomnieniach. - Teraz sobie przypominam. Mówiła, że ojciec próbował odłożyć trochę pieniędzy, żeby kupić dom. Uwielbiał Amerykę, ale wszystko było takie drogie. Zwłaszcza jedzenie. Kielbasa. Tak, nie podobało mu się, że musi płacić całego dolara za kielbasę.

- Zapisz to - powiedziałem. - Kielbasa.

- Nie muszę mówić - odezwał się Leon, puszczając moje docinki mimo uszu - że w Detroit Kowalskich jest jak psów. Próbowałem wszystkich Michaelów, bez powodzenia. Chyba najlepiej pochodzić po okolicy i popukać do drzwi. Musicie znaleźć kogoś, kto mieszka tam od dawna albo kto przynajmniej kupił dom od starego mieszkańca.

- To jest jakiś plan - stwierdził Randy. - Szykuje się niezła zabawa.

- I takjak mówiłem, po drodze zajrzycie do archiwum stanowego albo miejskiego, może się wam poszczęści. Aha, musicie też wpaść do biblioteki. To nazwisko bibliotekarki z Kolekcji Historycznej Burtona. Obiecała, że pomyśli, jak jeszcze można by wytropić Marię. Przekażcie jej pozdrowienia ode mnie. I kupcie kwiaty czy coś.

- Załatwione - zapewnił Randy. - Leon, naprawdę masz głowę na karku. Jestem pod wrażeniem.

- Robię, co mogę. Tylko nie zapomnijcie, panowie, dzwonić do mnie co dzień i zdawać relację.

Randy wyjął zwitek banknotów.

- Zapłacę ci za to, co do tej pory już zrobiłeś - oznajmił.

- Nie musisz teraz - odparł Leon.

- Nalegam. Już się napracowałeś. Nie możesz czekać na pieniądze. Dwie stówy? Pięć? - Zaczął odwijać z pliku dwudziestki i rzucać je na łóżko.

- Przestań! - krzyknął Leon. Ale wiedziałem, że zasłużył na te pieniądze. Nie zamierzałem powstrzymywać Randy'ego od płacenia.

- A ty, Alex? - zapytał Randy.

- Ja nawet palcem nie kiwnąłem. A jeśli w ogóle tam pojedę i ci pomogę, to tylko dla zabawy, jasne? Nie wezmę ani grosza. Gdybyś mi płacił, to by znaczyło, że musiałbym słuchać twoich poleceń.

- Ale ze mną wspaniale się pracuje - zapewnił. - Zapytaj moją byłą żonę.

Ocaliła mnie dwójka dzieci Leona, dziewięcioletni Leon Junior i ośmioletnia Melissa. Stanęli w drzwiach i patrzyli na Randy'ego wielkimi oczyma, aż w końcu Leon junior zapytał:

- Naprawdę grał pan w pierwszej lidze baseballa?

- Jasne, że tak - potwierdził. - Wejdźcie.

Pół godziny później wszyscy jedliśmy pizzę wokół łóżka Leona. I słuchaliśmy opowieści Randy'ego.

Zastanawiałem się, co ja, u licha, tu robię, dlaczego następnego ranka wybierałem się na południe stanu, żeby pomóc Randy'emu szukać jakiejś kobiety. Mieliśmy się gonić za jego utraconą miłością życia niczym północny wiatr, „wiatr myśliwych”, jak mówią Indianie Ojibwa.

Jackie miał rację. Jestem największym nieudacznikiem na całej planecie.

Kiedy wyjechaliśmy od Leona, było już ciemno. Nawet jeśli Randy'emu dokuczalo zimno, nie dał tego po sobie poznać. Nucił coś pod nosem przez całą drogę do furgonetki.

- Naprawdę macie tu kasyna? - zapytał. - Prawdziwe?

- Indianie mają - odparłem. - Szczep Sault prowadzi tutaj kasyno Kewadin i w rezerwacie Bay Millsów są dwa.

- A co ty na to, żebyśmy wpadli tam na chwilkę?

- Musimy wstać wcześniej rano.

- Daj spokój, Alex. Tęsknię za domem. Uwielbiam jeździć przez pustynię do Vegas. Zawsze tak robię.

- Te kasyna wcale nie przypominają Vegas - ostrzegłem.

- Tylko jedna rundka - prosił. - Żeby nam się poszczęściło.

Jedna rundka, akurat. Dwie godziny później Randy wciąż uwodził tłumy przy stoliku. Poddąłem się i poszedłem po drinka. Bar w Kewadin ma chyba długość boiska piłkarskiego. Ponoć to jeden z najdłuższych barów w kraju. Pasuje do najdłuższego pasa na naszym lotnisku.

Siedziałem i modliłem się nad szkočką z wodą, z przewagą wody, żałując, że w barze nie ma telewizora. Przynajmniej zobaczyłbym, czy Tygrysy znowu dostają w skórę. W ostatnich trzech meczach grali jak ostatnie fajłapy.

Ale nie. Telewizora nie było. Nie było tu niczego, co przypominałoby o zewnętrznym świecie i o tym, że dochodzi północ. Tylko stoliki do gry, jednoręcy bandyci i o wiele więcej ludzi, niż można by się spodziewać w chłodny kwietniowy wieczór.

Minęła kolejna godzina. Tłum wokół stolika Randy'ego zgęstniał jeszcze bardziej. Słyszeć było ich aż przy barze.

Kiedy w końcu do mnie podszedł, miał minę zbitego psa. Już kiedyś ją widziałem. Choć minęło tyle lat, choć zapuścił wąsy i bródkę, mina się nie zmieniła. Kiedy nie zwracał uwagi na moje znaki i zaczynał się droczyć z pałkarzem, a pałkarz w końcu wybijał piłkę daleko i biegł zaliczać kolejne bazy, ja odrzucałem mu piłkę i patrzyłem na tę minę. W takich sytuacjach większość

facetów jest na siebie wściekła. Ale Randy po prostu patrzył na mnie jak pies, który narobił na nowy dywan.

- Przepraszam, stary - mruknął. - Trochę mnie poniosło.

- Ile wygrałeś? - zapytałem.

- Byłem już trzy stowy na plusie. A potem wszystko musiałem oddać.

- Zaboląło?

- Łatwo przyszło, łatwo poszło.

- Spadamy - powiedziałem.

Milczał całą drogę 1-75 aż do M-28. Kiedy wjechaliśmy między wielkie sosny, znów zaczął nucić, a potem się roześmiał.

- Będzie naprawdę świetnie - stwierdził. - Czuję się jak przed wielką przygodą.

- Randy, pozwól, że o coś zapytam - wtrąciłem. - Przemyślałeś to wszystko do końca? Powiedzmy, że dowiemy się, gdzie ona teraz mieszka. Podejdziesz do drzwi i zapukasz. W dłoni będziesz trzymał bukiet. Ona otwiera drzwi, za nią stoi trójka dzieci, przy stole siedzi mąż, właśnie jedzą kolację. Co wtedy powiesz?

Spojrzał przez okno na wielkiego jelenia. W reflektorach mignęło mi białe futerko na ogonie.

- Patrz, jeleni - zawołał.

- Randy, co jej powiesz?

- Jeśli otworzy drzwi, a ja zobaczę trójkę dzieci i męża, powiem tylko: „Cześć, pamiętasz mnie? Nie miałem okazji wręczyć ci kwiatów z okazji ślubu”. A potem poproszę, żeby przedstawiła mnie rodzinie.

- W porządku. Świetnie.

- Ale wiesz co?

- Co?

- Będzie zupełnie inaczej. Ona nikogo nie ma.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

- Randy, na litość boską.

- Zakład? - zaproponował. - O te trzy stowy, które właśnie



przegrałem. Na pewno wciąż jest samotna.

Pokręciłem głową. Cóż mogłem dodać?

- Chcesz wpaść do Jackiego na jednego przed snem? - zapytał.

- Musimy rano wstać. A przed wyjazdem chciałbym jeszcze zdjąć pług.

- Po co go zostawiłeś na tak długo? - dziwił się. - Kiedy ostatnio padał śnieg?

- Jak tylko zdejmę pług, w ciągu dwudziestu czterech godzin zacznie padać. Na bank.

- To go zostaw.

- Nie zamierzam jechać ze stukilowym pługiem śnieżnym aż do Detroit i z powrotem.

- To go zdejmij.

Zdjęliśmy pług. W świetle żarówki przed moją chatą odczepiliśmy go i zanieśliśmy za małą szopę na narzędzia, ustawiliśmy na drewnianych podstawkach, żeby ostrze nie stykało się z ziemią, a potem nakryliśmy wielką plastikową folią.

Kiedy kładliśmy się spać, w powietrzu już wirowały pierwsze płatki śniegu.

## Rozdział 5

NASTĘPNEGO RANKA LEŻAŁO DWADZIEŚCIA CENTYMETRÓW świeżego śniegu. Randy najpierw zaczął się w nim turlać, potem pomógł mi z powrotem założyć pług na furgonetkę. Wymaga to jakieś czterdzieści razy więcej wysiłku niż zdejmowanie tego cholerstwa. Trzeba ustawić żelastwo bardzo dokładnie, bo – technicznie rzecz biorąc – mój samochód nie jest przystosowany akurat do tego typu pługa. Mniej więcej po godzinie zabawy z tym kłosem w końcu udało się nam go założyć i odśnieżyliśmy drogę. Potem znów odczepiliśmy draństwo i odstawiliśmy za szopę. Kiedy skończyliśmy, słońce stało już wysoko.

- No dobra – powiedziałem po wszystkim. – Jedźmy, zanim znowu zacznie padać.

- Nie zjemy śniadania?

- Przekąsimy coś po drodze. Przecież musimy odnaleźć twoją dawną miłość.

Wskoczyliśmy do furgonetki i przejechaliśmy gazem przez Raj. Słońce odbijało się w świeżym śniegu i oślepiło nas.

- Śnieg w kwietniu! – dziwił się Randy. – Niesamowite! – A potem znów zaczął: *-L'amour, l'amour,... Oui, son ardeur...* Cholera, Alex, jak dalej leci ta piosenka?

- Śpiewaj tylko to, co pamiętasz – doradziłem. – Śpiewaj tak przez całą drogę do Detroit. Na pewno będę z tego powodu szczęśliwy.

O wpół do dziesiątej dotarliśmy do Mackinac i zahaczyliśmy o McDonalda. Po śniadaniu i gorącej kawie wjechaliśmy na 1-75, biegnącą przez środek Dolnego Półwyspu. Dziesięć minut drogi na południe od Mackinac nie było nawet śladu po śniegu.

- Co ty właściwie teraz porabiasz? – zapytałem. – Mówiłeś coś o nieruchomościach.

- No tak, biurowce, powierzchownie handlowe i takie tam. Ojciec założył firmę i nieźle mu szło. Nigdy nie przypuszczałem, że ją przejmę, ale kiedy zmarł... no wiesz, i tak już wtedy nie grałem.

- Ale ty budujesz te biurowce?

- Nie, tylko na nich zarabiam. Kupuję, sprzedaję, gadam przez telefon, jadam obiadki z inwestorami.

- Fascynujące.

- Różnie bywa - stwierdził. - I dobrze, i źle. A mówiłem ci o najmłodszym synu, Terrym? Jest łapaczem.

- Owszem, wspominałeś.

- Rany, Alex, powinieneś zobaczyć, jak uderza w piłkę. - Ależ on ma wybicie. Na pozycji łapacza też sobie nieźle radzi, ale nie jest takim człowiekiem gąbką jak ty.

- Aha.

- Naprawdę, Alex. Byłeś jak człowiek gąbka.

Potarłem opuchliznę pod prawym okiem. Rzeczywiście człowiek gąbka ze mnie.

- Daleko do Lansing? - zapytał.

- Jakies trzy godziny.

- Boże - mruknął. - Trzy godziny.

Oparł głowę o fotel, a po pięciu minutach już chrapał. Ja pilnowałem drogi.

- Wstawaj - odezwałem się.

- Co? Co się dzieje?

- Dojechaliśmy. Jesteśmy w Lansing.

- W Lansing?

- Tak, w stolicy Michigan. Nie uczyłeś się geografii w szkole?

Wyjrzał przez okno. Staliśmy na parkingu przed kompleksem wysokich szarych budynków.

- O rany - sapał. - Przespałem całą drogę? Trzeba było mnie obudzić i posadzić za kółkiem.

- Po raz pierwszy od dwóch dni miałem trochę ciszy i spokoju - odparowałem. - Chodźmy.

Skierowaliśmy się do pierwszego budynku.

- Dokąd idziemy?

Zerknąłem w papiery, które dał mi Leon.

- Stanowe archiwum - odparłem.

Spojrzelśmy na tablicę przy windzie: Archiwum, trzecie piętro.  
W windzie Randy zaczął nucić.

- Trzeba myśleć pozytywnie - wyjaśnił. - Zaufanie, urok.

- Dziękuję za radę

- Nie zapomnij powiedzieć, że jesteś detektywem. To powinno pomóc, co?

- Nikomu nie powiem, że jestem detektywem - zaparłem się.

- W takim razie spójrz jemu albo jej prosto w oczy i uśmiechnij się czarująco.

W archiwum rządziła kobieta, koło pięćdziesiątki, z okularami na łańcuszku. Wyglądała jak surowa nauczycielka z liceum.

- W czym mogę pomóc? - zapytała.

- Dzień dobry pani - przywitałem się. - Jestem prywatnym detektywem. Szukam pewnych informacji.

Wbiła we mnie wzrok.

- To moja wizytówka. - Wyjąłem jeden z kartoników, jakie przygotował mi Leon, tych z dwoma pistoletami. Położyłem przed urzędniczką.

Spojrzała na wizytówkę, potem znów na mnie.

- Co się panu stało w oko? - zapytała.

- Drobnny wypadek - wyjaśniłem.

- O jakie informacje chodzi?

- Szukamy pewnej kobiety - zacząłem. - Prawdopodobnie urodziła się w Detroit w 1952 roku. Nazywa się Maria Waleska. A raczej tak się nazywała. Wtedy.

- Ładne nazwisko - zauważyła urzędniczka.

- Owszem - przytaknąłem. - Czy moglibyśmy zerknąć na jej akt urodzenia? To niezwykle ważne.

- Akty urodzenia nie są dokumentami publicznymi - przypomniała. - Na pewno nie w stanie Michigan.

- No tak. Miałem nadzieję... - Nie odrywała ode mnie wzroku.

- Proszę zrozumieć, to bardzo ważne... - Nic. Była jak posąg. - Naprawdę musimy ją znaleźć...

Posąg wykuty w białym granicie. W niebieskim kaszmirowym swetrze.

- O ile wiem, akty ślubu są publicznie dostępne - wydukałem w końcu. - Moglibyśmy spróbować w ten sposób?

- Rok zawarcia małżeństwa - zażądała.

- Tego nie jestem pewien. - Obejrzałem się na Randy'ego.

- Po 1971 roku - przypomniał.

- Po 1971 roku - powtórzyłem.

- Przeszukanie jednego roku kosztuje siedemnaście dolarów - wyjaśniła. - Cztery dolary za każdy dodatkowy rok. - Położyła na blacie jakiś formularz. - Proszę to wypełnić.

- Dziękuję. - Wziąłem formularz. W pierwszym polu trzeba było podać nazwisko panny młodej, w drugim nazwisko pana młodego. - Nazwisko pana młodego też jest potrzebne?

- Tak - odparła. - Potrzebne.

- Ale my nie znamy - powiedziałem. - Nie jesteśmy nawet pewni, czy wyszła za mąż w Michigan. I czy w ogóle wyszła za mąż. Mieliśmy tylko nadzieję...

Urzędniczka znów przyjęła posagową postawę.

- Jeśli nic nie może pani dla nas zrobić, proszę powiedzieć.

- Nic nie mogę dla panów zrobić.

Wyszliśmy. Zostawiłem wizytówkę na blacie, żeby torturować kobietę poczuciem winy.

- Szkoda, że ani trochę mi nie pomogłeś - burknąłem, kiedy jeździliśmy windą. - Dlaczego nie wykorzystałeś słynnego czaru Randy'ego Wilkinsa.

- Nic by to nie dało - stwierdził. - Ta kobieta była odporna na nasz urok. Ale tobie dobrze poszło. Niezły z ciebie bajerant.

- Bo ci przyłożę - ostrzegłem.

Roześmiał się.

- Chodź, postawię ci obiad. Uczcimy naszą pierwszą totalną porażkę i ruszamy do Detroit!

Do Detroit dotarliśmy prawie o trzeciej po południu. Autostrada międzystanowa dochodzi do samego centrum miasta, później odbija mocno na zachód, tuż za stadionem Tygrysów, a potem – jakby nagle sobie przypominała właściwy kierunek – wraca znów na południe i biegnie w stronę Toledo. Tak przynajmniej było kiedyś, zanim zaczęto wszystko rozbierać, żeby zrobić miejsce na nowy stadion. Spory fragment 1-75 został zamknięty, więc w Gratiot musieliśmy kluczyć bocznymi uliczkami, żeby dotrzeć do Michigan Avenue. Dziwnie się czułem, jeżdżąc po dawnym rodzinnym mieście. Na Górnym Półwyspie nie ma korków ani dróg obstawionych budynkami ciągnącymi się kilometrami po obu stronach.

- Tu ma być nowe kasyno – powiedziałem, kiedy przejeżdżaliśmy przez First Street.

- Kasyno w Detroit? Poważnie?

- Niejedno. Ale pierwsze rusza dopiero latem, więc się nie ciesz za bardzo.

- I będzie też nowy stadion?

- W przyszłym roku – przytaknąłem.

- Mam wrażenie, że burzą całe miasto i budują od nowa – powiedział Randy.

- Możemy zatrzymać się w jakimś motelu w Corktown, skoro gdzieś tam stał dom Madame Waleskiej.

- Znajdź coś przytulnego – poprosił.

- Chcemy tylko się przespać, to nie musi być Hilton.

- Jedź do Hiltona – zażądał. – Zapłacę.

- W porządku – odparłem, ale kiedy tylko zobaczyłem stadion, zjechałem do pierwszego motelu, jaki zobaczyłem. Motor City Motor Court.

- Co to ma być? – zapytał Randy.

- Hilton w Detroit – odparłem. – Zamelduj nas.

Randy wszedł do recepcji, a ja stałem na parkingu i rozprostowałem kości po sześciogodzinnej jeździe samochodem. Po drugiej stronie ulicy, przecnicę dalej, wzbijał się w popołudniowe niebo róg stadionu Tygrysów, niczym szary okręt

wojenny. Tygrysy wciąż przegrywały mecze na Zachodnim Wybrzeżu, potem czekało ich kilka kolejnych przegranych w Minnesocie, a w końcu drużyna miała wrócić do domu, by i tu przegrać pierwszy mecz.

- Oto i on - powiedział Randy, kiedy wrócił na parking. - Nie zburzą go, co?

- Chyba nawet nie mogą - stwierdziłem. - To narodowy pomnik. Ale w baseball nikt już tam nie będzie grał.

Randy pokręcił głową.

- Najlepszy stadion, jaki widziałem.

- Wiem.

Stadion Tygrysów nie robi wrażenia z zewnątrz. Po prostu szare mury zaokrąglone na rogach. Ale w środku - zupełnie inny świat. Jest całkowicie odgradzony. To jedyny stadion w pierwszej lidze, gdzie górna trybuna biegnie wokół całego boiska. A po prawej stronie, gdzie grał Al Kalinę, zwisa nawet nad murawą. Słupy oświetleniowe na dachu, gdzie Reggie Jackson wybił piłkę w meczu gwiazd w 1972 roku. Stanowiska komentatorów na tyłach bazy głównej są tak blisko boiska, że dziennikarze wręcz słyszą rozmowy sędziego z łapaczem. Jeszcze osiemdziesiąt jeden meczów i stadion przejdzie do historii.

- Chodźmy - powiedziałem. - Pokaż mi, gdzie mieszkała. Póki widno.

Szliśmy Michigan Avenue na wschód. Naprzeciwko stadionu stał wielki komis samochodowy, dalej mały bar i pralnia. Minęliśmy uliczkę domków z cegły, gdzie w sezonie właściciele siadywali na trawnikach i patrzyli na ludzi ciągnących na stadion. Niektórzy pewnie dorabiali sobie, pozwalając parkować samochody na swoich podjazdach. W następnym sezonie, kiedy powstanie nowy stadion, wszystko to się skończy.

- Leverette Street - oznajmił Randy. - To tam. Boże, Alex, dziwnie się czuję.

- Ciekawe dłaczego.

- Lindell AC jest przy następnej ulicy, prawda? Może wpadniemy tam najpierw na drinka? Co ty na to?

- Później. Pokaż mi ten dom.

Szliśmy na południe po Leverette, do centrum starego Corktown. Kiedyś to była polska dzielnica, a ta ulica zapewne dochodziła do rynku. Większość domów to piętrowe budynki w stylu wiktoriańskim, a każdy wyremontowany i świeżo pomalowany. Znak na rogu głosił: „Corktown, najstarsza dzielnica Detroit”.

- Boże, gdzie jest ten dom? - niecierpliwił się Randy. - Miał numer 241. To pamiętam. Gdzieś tu po lewej, pośrodku, na tyle blisko Michigan Avenue, że widać było szyld.

Minęliśmy mężczyznę z kosiarką. Sądząc po wielkości trawnika, koszenie powinno mu zająć trzy minuty. W całym Detroit i na przedmieściach były setki takich uliczek. Na działce mieścił się zwykle dom, podjazd, z pięćdziesiąt metrów kwadratowych trawnika od frontu i sto metrów za domem. Ja też wychowałem się w takim domku w Dearborn. I kupiłem podobny w Redford, kiedy się ożeniłem. Gdybym tam został, wciąż pewnie miałbym taki sam domek.

Dzieci bawiły się w berka. Jedno jeździło na rowerze. Na ulicy przeważali czarnoskórzy, po polskich imigrantach nie został nawet ślad. Jak okiem sięgnął, byliśmy jedynymi białymi, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Randy szedł powoli. Próbował odtworzyć sobie tę okolicę sprzed blisko trzydziestu lat.

Numery rosły - najpierw 235, potem 237, wreszcie 239. Aż w końcu stanęliśmy przed 241. Randy patrzył na dom. Kolejny wiktoriański budynek, taki jak inne. Pomalowano go na jaskrawy róż z zieloną ob-ramówką.

- To nie tu - stwierdził.

- Słucham?

- To nie ten dom. Na pewno. Po prawej były zadaszone schody z oddzielnymi drzwiami.

- Wydawało mi się, że taki adres podawałeś - powiedziałem.

- Zgadza się. Taki przynajmniej był kiedyś. Leverette numer 241. Na pewno.

Z domu obok wyszła Murzynka, pchając wózek z dzieckiem.



Wyglądała na góra siedemnaście lat.

- Przepraszam! - zawołałem. - Czy to dom pana Shannona?

Obrzuciła nas wzrokiem.

- Tak - odparła w końcu.

- Mogę pani zadać dziwne pytanie?

- Jak dziwne? - zapytała.

- Czy w tym domu była kiedyś zewnętrzna klatka schodowa?

- Co pan wygaduje?

Podszedłem bliżej.

- Przepraszam, że panią niepokoiimy. Jestem prywatnym detektywem. - Zacząłem szukać wizytówki.

- A co, ktoś ukradł schody? - prychnęła.

- Nie, proszę pani. Szukamy kogoś, kto mieszkał tu mniej więcej trzydzieści lat temu. Naszym zdaniem wtedy na zewnątrz były schody.

- Nie mam bladego pojęcia - odparła.

- Rozumiem. - Pokiwałem głową. - A pan Shannon może to wiedzieć? Próbujemy się z nim skontaktować.

- Wyjechał do syna do St. Louis. Ale chyba dzisiaj wraca. Naprawdę jesteście prywatnymi detektywami?

- Tylko on - zastrzegł Randy. - Ja jestem normalnym obywatelem.

- No to powodzenia w szukaniu schodów. - Uśmiechnęła się pod nosem i ruszyła dalej.

Klepnąłem Randy'ego w ramię.

- Hej, Alex, chodź tutaj - powiedział. - Zobacz.

Zaprowadził mnie z powrotem przed dom Shannona.

- Widzisz? Po prawej jest trochę więcej miejsca. Podjazd leży kawałek dalej od domu.

- Myślisz, że zlikwidowali schody?

- Niewykluczone. - Wszedł na podjazd i stanął na małej cementowej werandzie. Spojrzał na drzwi, potem na okno na piętrze. - To tu - oznajmił. - To ten dom. Maria mieszkała... o, tam.

- Świetnie.

- Alex, nie mogę uwierzyć. Znów stoję tuż pod jej oknem.  
- Jasne, rozumiem. Ale zjeżdż z werandy, zanim ktoś zadzwoni po policję.

- No i co teraz? - zapytał, kiedy wrócił na chodnik. - Zaczynamy pukać do sąsiadów?

- Możemy - powiedziałem. - Albo zaczekajmy na Shannona, a resztę domów obejdziemy jutro, jeśli będzie trzeba.

- Która jest? Chyba dochodzi czwarta? Skoczmy do ratusza? Może tam nam się poszczęści z aktem urodzenia. A nuż tym razem trafimy na jakiegoś człowieka?

- Nie liczyłbym na to - ostudziłem jego zapał. - Ale warto spróbować.

- Proponuję też zajrzeć do biblioteki - przypomniał. - Wiesz, gdzie jest?

- Randy, przez osiem lat byłem tu gliniarzem.

- No to prowadź.

Pojechałem na wschód, do śródmieścia. Kiedy skręciłem w Woodward Avenue, znaleźliśmy się dokładnie w sercu mojego dawnego rejonu policyjnego.

Woodward Avenue. Kiedy powiedziałem to sobie w myślach, poczułem ukłucie. Woodward Avenue. Nic dziwnego. Ot, po prostu reakcja sentymentalna. Można z tym walczyć, ale to walka z góry skazana na przegraną.

Woodward Avenue.

- Wszystko w porządku? - zainteresował się Randy.

- Tak. Tylko wspominam stare dzieje. No, jesteśmy na miejscu. Oto ratusz.

Ratusz stał na końcu Woodward, na nabrzeżu. Z naszego miejsca widać było pięć wieżowców Renaissance Center, wielką metalową pięść Joego Louisa i fontannę na Hart Plaza. W ładny dzień chodniki aż kipią od spacerowiczów. Dziś było tu pusto. Weszliśmy do budynku, mijając posąg zwany Duchem Detroit. Albo jak mawiał mój dawny partner z policji: posąg wielkiego zielonego faceta trzymającego słońce w jednej ręce, a ludzi w drugiej. Kiedy drużyna Red Wings zdobyła w końcu Puchar

Stanleya w 1997 roku, założyli mu na moment gigantyczną koszulkę. Mojemu partnerowi bardzo by się to podobało, gdyby tylko tego dożył.

- Może ja tym razem spróbuję? - zaproponował Randy.

- Proszę cię bardzo.

- Patrz i ucz się, przyjacielu.

Kiedy dotarliśmy do archiwum w ratuszu, stwierdziłem, że Randy będzie miał o wiele łatwiej. Przez wielkie okna wpadało tu popołudniowe słońce, na ścianach wisiały plakaty Tygrysów i Red Wingsów. W tej sali było po prostu o wiele przyjemniej niż w archiwum stanowym. Młoda kobieta za biurkiem wyglądała wręcz na szczęśliwą, że tu pracuje.

- W czym mogę pomóc? - powitała nas z uśmiechem.

- Dzień dobry - odezwał się Randy. - Wreszcie dotarliśmy! Ma pani pojęcie, ile tu jechaliśmy?

Znów się uśmiechnęła.

- Co mogę...

- Co się dzieje w tym mieście? - ciągnął Randy. - Wszystkie drogi pozamykane! Wszędzie roboty!

- Wiem coś o tym - mruknęła. - Teraz rano jadę do pracy ponad godzinę. - Ta kobieta była za uprzejma na urzędniczkę. Jak, do diaska, przeszła przez sito kwalifikacyjne w ratuszu?

- Nie byłem w Detroit od 1971 roku - zagaił Randy. - Grałem wtedy jako miotacz w Tygrysach.

- Naprawdę? - Aż oczy jej się zaświeciły.

- Długo nie zagrałem miejsca w pierwszej lidze - zaznaczył. - Ale przynajmniej poznałem jej smak.

- Poważnie? Naprawdę grał pan w Tygrysach?

- Wieki temu - odparł. - Tyle się tu zmieniło. Zdaje się, że będziecie mieli kasyna, zgadza się?

- Ech. - Machnęła ręką. - Proszę nawet nie mówić. Tylko tego nam trzeba.

- Widzę, że nie ma pani duszy hazardzistki. - O, przepraszam. To mój przyjaciel Alex.

Wyrwałem się z transu. Słuchałem nawijki tego faceta jak

zahipnotyzowany.

- Dzień dobry - przywitałem się.

- Alex był policjantem w Detroit przez... ile? Osiem lat?

- Tak.

- Jeszcze w latach osiemdziesiątych - wyjaśnił Randy. - Nawet on nie poznaje swojego dawnego miasta. Nie tak, Alex?

- Pozmieniało się - przyznałem.

- Zdradzę pani, po co tu przyjechaliśmy. - Randy podszedł bliżej do biurka i ściszył głos. - Mój przyjaciel jest teraz prywatnym detektywem. Alex, daj pani wizytówkę.

Randy wziął ode mnie kartkę i położył ją na biurku, a ja szybko rozejrzałem się po sali.

- Szukamy pewnej osoby - ciągnął Randy. - Wie pani, próbujemy jej pomóc. To może być sprawa życia lub śmierci.

- Rozumiem...

- Nazywa się Maria Waleska - wyjął i zawiesił głos, jakby chodziło o międzynarodową agentkę.

- Ładne nazwisko - zauważyła urzędniczką.

- Istotnie. Sęk w tym, że poza nazwiskiem mamy tylko jej stary adres. I wiemy, że prawdopodobnie urodziła się w Detroit w 1952 roku.

- Nie rozumiem. W takim razie, jakich akt panowie szukają? Mamy tu cztery rodzaje: akty urodzenia, zgonu, ślubu i rozwodu.

- Akt urodzenia bardzo by nam pomógł - rzekł Randy. - Gdybyśmy mogli...

- Aktów urodzenia nie udostępniamy - ucięła. - Chyba że jesteście rodzicami albo...

- ...urzędnikami sądowymi - dopowiedział Randy. - Wiem, wiem. Broń Boże, nie namawiam pani do łamania prawa. Ale ponieważ to naprawdę ważna sprawa, miałem nadzieję, że może pani zajrzałaby do aktu i powiedziała nam, kiedy Maria Waleska się urodziła.

- No... sama nie wiem - zaczęła się wahać.

- I jak nazywali się jej rodzice.

- Och, naprawdę nie...

- Tereso, nie proszę, żeby przyniosła nam pani kopię aktu urodzenia. Nawet bym nie śmiał.

Tereso? Skąd zna jej imię?

- Proszę tylko - ciągnął - nie, błagam, żeby pani sama rzuciła okiem na ten akt. Żadnego z nas przy tym nie będzie. Poczekamy w korytarzu.

Aha, wystarczyło zerknąć na biurko. Stał tam kubek do kawy z imieniem urzędniczki. Dupa ze mnie, nie detektyw.

- Jestem tu nowa - bąknęła. - Nie wiem, czy mogę to zrobić.

- Maria Waleska - nie dawał za wygraną Randy. - Prawdopodobnie urodzona w 1952 roku. W Detroit. - A potem tylko na nią spojrział. Nie widziałem jego twarzy, więc nie wiem, co dokładnie zrobił, ale kobieta wstała zza biurka.

- Zaraz wrócę - powiedziała.

- Zaczekamy - obiecał Randy.

- Zaczekajcie - powtórzyła.

- Będziemy tutaj - zapewnił mój przyjaciel.

Urzędniczka zniknęła na zapleczu.

Odwrócił się i mrugnął do mnie.

- I co ty na to, Alex?

- Jesteś mistrzem - przyznałem.

Mistrzowskim tytułem Randy cieszył się tylko przez półtorej minuty. Z zaplecza wypadła przełożona Teresy, kobieta, która wyglądała dokładnie jak Alex Karras, dawny obrońca z drużyny Lwy z Detroit. Konkretnie jak Alex Karras z kiepską fryzurą.

Kiedy kończyła rozprawiać się z Randym, ja na wszelki wypadek się zmyłem.

Wyszliśmy z powrotem na Woodward Avenue. Dochodziła piąta. Korki w godzinie szczytu były ogromne, tym bardziej że połowę dróg rozkopano.

- Nic nie mów, Alex.

- Przecież nic nie mówię.

- Prawie się udało - sapnął.

- „Prawie” to duża różnica.
- Idziemy do biblioteki? Powinna być jeszcze otwarta.
- Przekonamy się - powiedziałem.

Jechaliśmy na północ po Woodward. Woodward Avenue. Biblioteka stała przy Kirby Street. Czułem, jak ściska mnie w dołku. Jeszcze kilka przecznic na północ i przejechalibyśmy tuż obok. Obok budynku, gdzie to się stało.

Minęliśmy nowy stadion, dokładnie naprzeciwko ulicy ze starym kinem Fox. Teraz miał się nazywać Comerica Park. To już nie to samo, co stadion Tygrysów.

- Proszę bardzo, nowy stadion - odezwałem się.
  - O rany, widać wszystko w środku.
  - Tak się je teraz buduje - wyjaśniłem. - Zęby w czasie meczu można było też popatrzeć na miasto.
  - Nie łapię. Jakie miasto? Przecież to Detroit, na litość boską.
- Nie skomentowałem tego. Kiedy dojechaliśmy do biblioteki, pocałowaliśmy kławkę.

- Jak to? O piątej biblioteka już zamknięta? - zdziwił się Randy.
- Cięcia budżetowe - stwierdziłem.
- Może kiedy powstaną kasyna, ratusz będzie miał więcej pieniędzy - zauważył Randy.
- Masz rację. Kasyna uratują bibliotekę.

Spojrzał na mnie.

- Dobrze się czujesz?
  - To był długi dzień - stwierdziłem. - Napiłbym się i zjadł coś.
- Nadal masz ochotę wpaść do Lindell?
- Chodźmy. A potem oprowadzisz mnie po okolicy.
  - Po jakiej okolicy?

- Po Detroit - wyjaśnił. - Po twoim Detroit. Przecież to twoje rodzinne miasto, tak? Na pewno masz stąd mnóstwo wspomnień.

Jechałem na południe, do motelu. Nie odezwałem się ani słowem.

Wspomnienia. „Na pewno masz stąd mnóstwo wspomnień”. Gdyby tylko wiedział...

## Rozdział 6

PEŁNA NAZWA BRZMI LINDELL ATHLETIC CLUB - czyli Klub Sportowy Lindell - ale nie słyszałem, by ktoś jej kiedykolwiek używał. Wszyscy mówią Lindell AC. Kiedyś mieścił się kilka przecznic na wschód, przy starym domu towarowym Hudsona. Potem został przeniesiony na parter dziwnego trójkątnego budynku na rogu Cass i Michigan Avenue. Ktoś, kto nie widział go w starym miejscu, w życiu by nie przypuszczał, że kiedyś Lindell AC mógł stać gdzie indziej. Sam budynek wygląda, jakby nikt nie zmieniał tam nic od drugiej wojny światowej, ma nawet stare metalowe markizy nad oknami. Obok mieści się salon fryzjerki, gdzie wciąż można zamówić golenie brzytwą.

Już od progu w Lindell wszędzie widać zbiór pamiątek i fotografii z ostatniego półwiecza. Po prawej nad drzwiami wisi wielka czarno- -biała fotografia bójki hokeistów w starym dobrym stylu, kiedy każdy zawodnik mógł wstać z ławki i się włączyć. I podpis: „Detroit kontra To’ronto, 1938”. Wiele sportowych barów próbuje się upodabniać do Lindell AC, ale żadnemu to nie wychodzi. Nie wystarczy otworzyć lokal i okleić go sportowym badziewiem, którego wszędzie pełno. Ozdób musi przybywać stopniowo. W jednym tygodniu pojawia się kij, w kolejnym piłka. W następnym - spodenki. A dwa tysiące tygodni później powstaje z tego Lindell AC.

Usiedliśmy przy stoliku w rogu, tuż pod zdjęciem Mickeya Stanleya. Zjedliśmy słynne hamburgery z grilla, oglądając zachód słońca.

Niewiele mówiłem. Randy tak bardzo chłonął atmosferę baru, że nawet tego nie zauważył.

- Jezu, nic się nie zmieniło - powiedział. - Za barem Johnny Butsakaris. Myślisz, że mnie pamięta?

- Byłeś tu ze dwa razy prawie trzydzieści lat temu - przypomniałem.

- No tak. - Poglądził wąsy i bródkę. - A mój zmieniony wygląd na pewno mu nie pomoże.

- Sprawdzę, czy Shannon już wrócił. - Miałem jego numer zakreślony na jednej z kartek od Leona.

- Zadzwoń do niego?

- Nie, przejdę się pod dom - burknąłem.

- Ktoś tu jest zgryźliwy. - Przyniosę ci jeszcze jedno piwo. A potem pokażesz mi to i owo, dobrze? Obiecałeś.

- Niczego nie obiecywałem, Randy.

- Chcę zobaczyć, gdzie dorastałeś, Alex. Na którym parkingu straciłeś dziewictwo.

- Idę zadzwonić.

- Idź, czyn swoją powinność.

Podszedłem do automatu, wykręciłem numer i po dwóch dzwonekch usłyszałem w słuchawce szorstki głos.

- Pan Shannon? - zapytałem.

- Przy telefonie.

- Nazywam się Alex McKnight. Jestem prywatnym detektywem. Mam do pana pytanie, które może zabrzmieć dziwnie...

- Prywatny kto? O co chodzi?

- Próbuję odnaleźć kogoś, kto mieszkał w pana domu w 1971 roku. Zapewnie nie wie pan, kto był wtedy właścicielem budynku.

- W siedemdziesiątym pierwszym? Poważnie pan mówi?

- Owszem. Przepraszam, że pana niepokoję. Ci państwo nazywali się Walescy.

- W siedemdziesiątym pierwszym w ogóle mnie nie było w okolicy. Jestem tu dopiero dwa lata.

- To może poprzedni właściciel coś wie?

- Nie, on mieszkał tu tylko przez... chyba rok. I pamiętam, mówił, że wcześniej dom długo stał pusty...

- Rozumiem. Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Nie wie



pan, czy kiedyś po prawej stronie domu były zewnętrzne schody?

- Rzeczywiście. Zdaje się, że tak. Ale cały dom wyremontowano. Przebudowali wtedy też schody.

- To by się zgadzało - odparłem. - Tak właśnie sobie pomyśleliśmy.

- Skoro wie pan o starych schodach, to faktycznie szuka pan kogoś sprzed lat - stwierdził Shannon. - Naprawdę jest pan prywatnym detektywem?

- Owszem. Już ostatnie pytanie...

- Wal pan.

- Czy przy pańskiej ulicy jest ktoś, kto mógł mieszkać tam w 1971 roku?

- Nie sądzę. Sporo się tu zmieniło.

- Cóż, w takim razie dziękuję za...

- Ale głowy nie dam, że nikt taki już tu nie mieszka. Niech pan popyta.

- Tak zrobię.

- A przy okazji proszę wpaść. W życiu nie widziałem prywatnego detektywa. Zwykle jestem w domu już po trzeciej po południu.

- Postaram się. I dziękuję raz jeszcze. - Odwiesiłem słuchawkę. Kiedy wróciłem do stolika, coś się zmieniło. Wieczna wesołkowata

mina zniknęła Randy'emu z twarzy. Oczy miał szeroko otwarte.

- Co się stało?

- Przyniosłem następne piwo. - Przesunął szklankę w moją stronę. - Nic się nie stało.

- A jednak... - nie dawałem za wygraną. - O co chodzi?

- O nic.

- Kłamiesz - odparłem. - Mówiłem ci, mnie nie okłamiesz. Jesteś najgorszym łgarzem pod słońcem.

- Wdałem się w małą dyskusję i wynikła drobna różnica zdań i tyle. Rozejrzałem się po lokalu. Przy barze siedzieli dwaj

młodzieńcy

i gapili się na nas. Białe chłopaki z przedmieść, na gościnnych występach w Motor City.

- Z tymi tam? - Panowie przy barze nie wyglądali na zadowolonych. Ani na cherlaków.

- To miejscowi dzentelmeni, którzy się mylą w pewnych sprawach - wyjaśnił. - Opowiadali, jak bardzo do dupy grają Tygrysy, z czym w tym roku trudno się nie zgodzić. Ale potem zaczęli mówić, że to i tak bez znaczenia, bo baseball to żaden sport i każdy głupi potrafi w to grać.

- Niech zgadnę. Próbowales im przemówić do rozsądku?

- Zapytałem po prostu, kiedy ostatnio ktoś rzucił w nich piłką lecaącą sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nic więcej. A potem spokojnie zapłaciłem za piwo.

- Zapomniałem ci powiedzieć, w Detroit lepiej się nie afiszować ze zwitkami banknotów.

- Byli ciekawi, kto mi zrobił tatuaż na ręku. Powiedziałem, że koleś z celi, kiedy ostatnio siedziałem. I że nauczył mnie, jak zabić człowieka palcem wskazującym. - Wycelował palec w sufit, oczywiście palec lewej ręki, a potem stuknął nim w blat z taką siłą, jakby zamierzał go rozpołowić. O dziwo, stół stał, jak stał.

- Niezła historia - przyznałem. - Założę się, że to ich usadziło.

- Myślę, że usadziła ich sprężynka. - Machnął ręką, potem upił łyk z wysokiej szklanki. Nie wiem, co pił, ale było to brązowe i z pianką.

- Opowiedziales im o swoim rzucie?

- Nie, to drink, który wymyśliłem - wyjaśnił. - Rzucanie mi nie idzie, może z piciem będzie lepiej.

- Pewnie tego pożałuję, ale co to za drink?

- Wódka z piwem korzennym. Chcesz spróbować?

- Raczej nie.

- Spróbuj - zachęcał. - Będziesz zaskoczony.

- Nie, Randy, mnie już nic nie zaskoczy. Do końca życia.

- Wiesz, do czego się przydaje ten drink?

- Do trucia szczurów?

- Wyobraź sobie, że widzisz przy barze atrakcyjną kobietę. Wstajesz, podchodzisz obok i zamawiasz „sprężynkę”. To zawsze działa.

Nic nie odpowiedziałem.

- Barman nie wie, co to za drink, więc muszę mu podać przepis. Najlepsza wódka, jaką masz, na przykład charodei, której nie filtruje się przez węgiel jak inne. A kobitka stoi i słucha tego wszystkiego. Wódka i piwo korzenne? Co za facet pije wódkę z piwem korzennym?

Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, aja tylko się uśmiecham. Daję do zrozumienia, że piję najlepszą wódkę w tym lokalu, bo jestem wyrafinowanym człowiekiem sukcesu, a piwo korzenne dlatego, że w sercu pozostałem małym chłopcem. A kiedy pyta, skąd nazwa „sprężynka”, wyjaśniam, że kiedyś byłem miotaczem w pierwszej lidze i tak się nazywał mój popisowy rzut. Każda na to leci.

- Aha. A jak znajdziesz Marię, spróbujesz tego samego? Zamówisz „sprężynkę”?

- Daj spokój, Alex. Po prostu sobie żartuję. Piję to, bo lubię ten smak. No spróbuj.

- Nie, dzięki. - Wzdrygnąłem się. - Wódka i piwo korzenne, na litość boską. Randy, co jeszcze ci przyjdzie do głowy? Cały czas tak świrujesz? Nigdy nie odpuszczasz?

- Ale pomógłbyś mi, gdyby ci kolesie zaczęli się stawiać, prawda? Jak za dawnych lat. Pamiętasz tę bójkę w czasie meczu? Gdzie to było? W Evansville?

- W Savannah - odparłem. I zacząłem sobie wszystko przypominać.

Wtedy zobaczyłem Randy'ego Wilkinsa z drugiej strony. Rzadki widok, bo naprawdę trzeba było się postarać, żeby stracił nad sobą panowanie. Ale kiedy już tracił, to do końca.

- Uderzyłeś w głowę dwóch pałkarzy. Czego się spodziewałeś?

Pociągnął długi łyk i odstawił szklanę.

- Chyba już wiem, jaki masz problem - powiedział innym głosem.

- Ze co? - zdziwiłem się. - Nibyjaki?

- Ano taki, że ja dostałem szansę gry w lidze, a ty nie. I co gorsza, zagrałem na stadionie Tygrysów. Ile razy jako dzieciak przychodziłeś tu na mecze? Ile razy marzyłeś, że kiedyś zagrasz na tym boisku?

- Randy, naprawdę uważasz, że jestem wkurzony, bo ty zagrałeś u Tygrysów, aja nie?

- Musi cię to boleć - odparł. - Widzę przecież, że coś cię boli.

- Chodźmy. - Wstałem.

- Dokąd?

- Chciałeś pozwiedzać, prawda? Zobaczyc, gdzie dorastałem i gdzie w ogóle żyłem? Nie ma sprawy.

W drodze do wyjścia usłyszałem, jak Randy rzuca jakiś tekst do chłopaków przy barze. Stałem na dworze przy Michigan Avenue i wdychałem nocne powietrze. Wiosenny wieczór w Detroit, chłodny, ale nie mroźny. Oczekałem dwadzieścia sekund i ruszyłem z powrotem do środka. Najwyraźniej było mi pisane wziąć udział w bójce. Ale oto Randy wypadł przez drzwi, omal mnie nie tratując. Sam i nawet niedraśnięty. Albo się jakoś wyłgał, albo zabił obu palcem wskazującym. W zasadzie wszystko jedno. Cała ta eskapada z każdą chwilą okazywała się coraz większą pomyłką. Patrzyłem na niego dłuższą chwilę w milczeniu, a potem zacząłem iść po Michigan Avenue. Randy dogonił mnie i też szedł bez słowa.

Minęliśmy Leverette Street, gdzie w 1971 wyróżzył sobie przyszłość, poznał Marię i się w niej zakochał. Czy jakoś tak. Pan Shannon pewnie siedział teraz w salonie kawalek dalej i oglądał w telewizji mecz Tygrysów. Randy spojrział w bok na ulicę, ale nie zwolnił nawet o pół kroku. Nic nie powiedział.

Stadion roznosił się nad naszymi głowami. Był ciemny, jeśli nie liczyć niebieskiego neonu na samej górze: Tygrysy z Detroit. Niebieski to ich kolor. Pod spodem na jarzącym się na biało szyldzie widniał czarny napis: „Mecz otwarcia, 19 kwietnia, Indianie z Cleveland”.

Kiedy dotarliśmy na parking przy motelu, wsiałem do

furgonetki i odblokowałem drzwi Randy'emu. Wyjechałem w prawo, potem zawróciłem na zachód. Bo dawno temu ktoś zdecydował, że na głównych drogach w okręgu Detroit nie można skręcać w lewo. Mieszkałem tu trzydzieści cztery lata i pewnie z tego cały rok zajęło mi skręcanie w prawo i zwracanie.

Pojechałem Michigan Avenue na przedmieścia Detroit. Za Roosevelt Park, przy Dearborn skręciłem w Ford Road, minąłem River Rouge Park i Dearborn Country Club. Dotarłem aż do Telegraph Road, gdzie znów skręciłem w prawo i zawróciłem. Odnalazłem starą uliczkę i skręciłem w lewo – tym razem naprawdę w lewo, bo zjechałem z głównej drogi. Potem przejechałem jeszcze dwie i pół przecznicy i zatrzymałem furgonetkę.

Domy z cegły. Takie jak w Detroit. Może trochę schludniejsze. Trawniki mniej wysuszone, podwórka większe. Ale zamysł architektoniczny ten sam: rząd ceglanych domów, oddalonych od siebie na tyle, żeby dało się przejechać samochodem do garażu na tyłach.

- Tu się wychowałem – westchnąłem.

Randy wyjrzał przez okno.

- W tym domu?

- Tak.

- Ładnie wygląda.

- Bo to ładny dom – przyznałem. – Kiedy miałem siedem lat, matka zachorowała na raka trzustki. Wytrzymała półtora roku.

Nic nie mówił. Cały czas patrzył na budynek.

- Myślisz, że siedmiolatek kapuje, co to rak trzustki? Albo co to w ogóle jest ta trzustka? Gdzie się mieści w ciele?

Milczał.

- Wiedziałem tylko, że matka chudła, była coraz bardziej schorowana, a ja nie mogłem nic na to poradzić.

- Przykro mi.

- Ojciec pracował w zakładach Forda – ciągnąłem. – Tak jak wtedy większość ludzi. Wstawał co rano o piątej, zajmował się

matką, robił śniadanie i wyprawiał mnie do szkoły. Chodziłem na piechotę. Po powrocie do domu siedziałem z matką sam przez kilka godzin. Po prostu siedziałem. Patrzyłem, jak z każdym dniem umiera coraz bardziej. A potem wracał ojciec i robił kolację. Przez całą jej chorobę nie byłem na żadnym meczu baseballa. Nie zagrałem też ani razu. Dwa miesiące po jej śmierci ojciec w końcu wyjął z garażu mój sprzęt do gry. Rękawica okazała się już za mała. Musiał mi kupić nową.

Obok przejechał samochód. Na chwilę oślepił nas światłami i znów zapadła ciemność.

- Kiedy chodziłem do liceum, ojciec fundnął działkę w Raju. Zastanawiałem się, po jaką cholere wydaje tyle forsy na kawałek ziemi sześć godzin drogi na północ, pośrodku niczego. Raz mnie tam zabrał, - wszędzie tylko sosny. Nic więcej. W końcu zapytałem go, po co kupił tę ziemię. Wiesz co odpowiedział? Dlatego że matka uwielbiała zapach choinki w święta.

Wróciłem na Telegraph Road. W świetle latarni widziałem twarz Randy'ego. Patrzył prosto przed siebie.

- Rozumiem, że nie chcesz zobaczyć mojej szkoły - mówiłem dalej. - Ani boiska, na którym zdobyłem pierwsze punkty. Po szkole trafiłem od razu do drugiej ligi, ale to już wiesz. W tamtym sezonie w Toledo byłem najbliższej pierwszej ligi w życiu. Co za rozczarowanie, kiedy we wrześniu nie dostałem powołania. Przyznaję, zazdrościłem ci, Randy. Ale mi minęło. Szczerze mówiąc, przełknąłem to bez większego bólu. W następnym roku, kiedy sprzedano mnie do Piratów i spędziłem cały sezon w Columbus, wiedziałem, że mam dość. Pod koniec tamtego sezonu dotarło do mnie, że czas coś zrobić z własnym życiem. Ostatecznie, ile czasu można uganiać się za marzeniami?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Wiedziałem, że jeszcze przez sześć lat tknął się po drugo- i trzecioligowych drużynach, jeździł rozklekotanymi autokarami i sypiał w podłych motelach. Z Tygrysów go wyrzucono, ale potem przygarnął go klub Athletics, później Dodgers, a w końcu White Sox.

Ja byłem łapaczem, który dobrze współpracował z miotaczami,

ale nie potrafiłem porządnie uderzać, więc mój los był przesądzony. Za to Randy miał niezaprzeczalny talent. Udanym rzutem potrafił zabić leworęcznego pałkarza. Zawsze znalazła się drużyna, która chciała go przygarnąć.

Kierując się Telegraph Road na północ, dotarłem aż na skraj hrabstwa Wayne. Tu znów zrobiłem nawrót i pojechałem Seven Mile Road na zachód. Kolejna boczna uliczka. Znów rząd domów z cegły. Standard tego osiedla był gdzieś między Detroit a Dearborn.

- Tu zamieszkałem po ślubie - oznajmiłem. - Moja żona miała na imię Jean. Hm, nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio wypowiedzia-łem jej na głos. Kiedyś obiecywałem jej, że spędzimy ze sobą całe życie. Dziś nawet nie wiem, gdzie mieszka.

- Też byłem żonaty, Alex - odezwał się po raz pierwszy od godziny. - W małżeństwie bywa różnie.

W porządku - odparłem. - To akurat wiesz.

Spojrzałem w okno. W salonie świeciło się światło. W środku siedziała jakaś rodzina, oglądali telewizję. Może jedno z dzieci odrabiało lekcje. Drugie leżało już w łóżku. Nie mieli pojęcia, że stoimy przed domem i się przyglądamy. Ze kiedyś to był mój dom.

- Mieszkaliśmy tu dziewięć lat - podjąłem. - Przez większość tego czasu pracowałem jako policjant w Detroit. Chcieliśmy mieć dzieci, zabierać je latem do Raju, pokazywać im chaty, które zbudował dziadek.

- I co się stało?

- Raz była w ciąży. Poroniła. Miałem wtedy służbę. Nocna zmiana. Mogła do mnie zadzwonić. Zawiozłbym ją radiowozem. Ale nie zadzwoniła. Do szpitala pojechała sama, cały czas krwawiąc.

- To nie twoja wina - stwierdził Randy.

- Wiem. Śmierci matki też nie byłem winien, prawda?

- Prawda, Alex.

Znów dodałem gazu i pojechałem Seven Mile Road z

powrotem do Telegraph.

- Tędyjeździłem do pracy - ciągnąłem. - Rano, w nocy, o różnych porach. - Dojechałem już do autostrady 1-96, która biegnie z południa na wschód aż do Detroit. - Moim partnerem w policji był Franklin. Wielki Murzyn, grał w futbol na Uniwersytecie Michigan. Cały czas kłóciliśmy się o sport... no wiesz, która piłka jest trudniejsza.

- Z całą pewnością baseball - stwierdził Randy.

- O dziwo, Franklin miał inne zdanie. Cóż począć. Pewnej nocy dostaliśmy wezwanie na oddział pogotowia w Detroit Receiving Hospital. Kręcił się tam... jakiś dziwny facet. Zaczepiał ludzi, krył się po kątach. Napastował lekarzy i pielęgniarki. Nosił wielką blond perukę. Jeden ze szpitalnych ochroniarzy wyszedł, gdzie facet mieszka.

- I? - zaciekał się Randy.

- Zapomniałem, że ten kawałek 1-75 jest zamknięty - mruknąłem. - Tędy dojechałbym na posterunek. Ale muszę wrócić na Michigan Avenue.

- I co się stało?

- Pokażę ci swój dawny posterunek.

- Powiesz wreszcie, co się stało?

- Przez osiem lat gliniarz może się napatrzeć różnych rzeczy w tym mieście - zacząłem. - Widziałem kobiety mordowane przez mężów. Przez chłopaków. Przez różnych ludzi. Widziałem wiele prostytutek. Boże, niektóre miały góra czternaście lat. Mnóstwo dealerów handlujących prochami. A część z nich to dzieciaki.

Randy usiadł wygodniej w fotelu. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Widziałem dzieci molestowane przez rodziców - mówiłem dalej. - Albo przez gachów matki. Albo przez starszych braci. Cholera, najgorszy był chyba przypadek chłopca, którego molestowała starsza siostra. Malec miał zaledwie cztery miesiące...

- Dobra, Alex - przerwał mi. - Nie musisz mi tego wszystkiego mówić.



- Randy, przyjechałeś tu na miesiąc. Włożyłeś koszulkę pierwszoligowej drużyny i grałeś na stadionie Tygrysów. Poszedłeś sobie wróżyć do Madame Waleskiej, a potem tak bzykałeś jej piękną córkę, że do dziś to pamiętasz, choć minęło trzydzieści lat.

Nic nie powiedział.

- Dla ciebie Detroit to sen sprzed lat. Disney World i Fantasy Island w jednym.

- Dobra, Alex. Rozumiem.

- Nie sędzę.

- Owszem. Rozumiem. Detroit to okropne, gówniane miasto. Pełne prochów, zbrodni i morderstw oraz nudnych jak flaki z olejem ceglanych domków. Zgadza się? Dotarło do mnie.

Odczekałem chwilę. Jechałem Michigan Avenue wśród koszmarnych ruin starego dworca kolejowego. Budynek wysoki jak hotel odznaczał się na tle wieczornego nieba, czarniejszy niż sama czerni nocy.

- Randy - odezwałem się w końcu. - Jeszcze raz powiesz coś takiego o Detroit, to dostaniesz w ryj. Poważnie.

Popatrzył na mnie.

- Ale zdaje się, że zafundowałeś mi tę sentymentalną wycieczkę właśnie po to, żebym sobie wyobraził, jak strasznym miastem jest Detroit?

- Nie.

- To po co to robisz?

Jechałem dalej, prosto w stronę świateł śródmieścia.

- Nie wiem - odparłem w końcu. - Po prostu muszę. Muszę ci to pokazać. Wszystko.

- Kurczę, a może musisz to pokazać sobie. Spojrzęjesz raz na własne życie?

- Dziękuję panu, doktorze Freud.

- Mówię serio, Alex. Byłeś tu od czasu, kiedy cię postrzelili?

Minąłem stadion Tygrysów, nasz mały motel i Lindell AC, gdzie zaczął się ten wieczór.

- Gdzie to się stało? - zapytał. - Tam właśnie jedziemy?

- Ten facet ze szpitala - zacząłem - mieszkał kawałek dalej, przy Woodward. Poszliśmy mu powiedzieć, żeby nie nękał ludzi. Tylko tyle zamierzaliśmy zrobić. - Jechałem Woodward na północ, mijając ratusz, w którym byliśmy po południu, aż dotarłem na skrzyżowanie Woodward i Seward. - Zaczął do nas strzelać - ciągnąłem. - Najpierw do Franklina. Potem do mnie. Patrzyłem, jak Franklin wykrwawia się na śmierć obok mnie na podłodze. - Przejechaliśmy przez Grand Circus Park, pusty w zimną kwietniową noc. - Powiniennem szybciej wyciągnąć broń. Nie zdażyłem. - Zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle na Adams Street. - Wyjęli ze mnie dwie kule, trzecią musieli zostawić - wyjaśniłem. - Franklin miał żonę i dwie córki. Nie byłem na pogrzebie. Leżałem w szpitalu. Kiedy wyszedłem... - Zapaliło się zielone. Nie ruszyłem. - Dużo piłem. Jean się ze mną rozwiódła. Dostałem rentę, przeniosłem się do chat ojca w Raju. Dopiero po czternastu latach udało mi się zasypiać bez pigułek. - Ktoś za nami zaczął trąbić. - W końcu zobaczyłem tego, kto do nas strzelał. W więzieniu. Stałem z nim twarzą w twarz. - Znow klakson. Zdjąłem nogę z hamulca i wcisnąłem gaz. - Grand Boulevard. Jeszcze tylko kilka przecznic. Ścisnąłem mocno kierownicę. - Mogłem wyciągnąć broń, Randy, strzelić, zanim on strzelił. Przeze mnie zginął Franklin.

Dojechaliśmy na Seward Street. Zatrzymałem się pośrodku skrzyżowania. Znow ten sam klakson za nami. Niech sobie trąbi.

Tam, gdzie stał kiedyś blok, teraz był teren budowy. Za ogrodzeniem leżały gruzy.

- Nie ma go - powiedziałem. - Nie ma bloku, do cholery.

Zaledwie dwie przecznice dalej budowano nowy stadion. Cały ten

róg zrównali z ziemią. Wyburzyli całą przecznicę. Wyglądało, jakby w sumie pół miasta. Robili miejsce pod nowy stadion, kasyna i Bóg wie co jeszcze.

Klakson wciąż trąbił.

- Możemy się ruszyć, zanim ktoś nas zatłucze? - zapytał Randy.

Przejechałem przez skrzyżowanie, zjechałem w lewo w Euclid i dalej znów w lewo w Cass, dzięki czemu znów znalazłem się na Michigan Avenue. Trzeba wracać do motelu i Lindell AC. Tym razem usiadziemy przy barze. Jeśli ci dwaj nadal tam są, postawimy im z Randym po drinku. Jeśli będziemy mieli szczęście, Johnny Butsakariss spojrzy na nas, zawołamy go, a Randy znów opowie swoją historię.

- Alex, przepraszam za to, co mówiłem.
- Nie przejmuj się.
- Przepraszam, że okłamałem cię w barze. To się już nie powtórzy.
- W porządku.
- Przykro mi, że nie potrafiłeś podkręcić piłki kijem.
- Randy... Mam pytanie.
- Strzelaj, przyjacielu.
- Naprawdę piłeś piwo korzenne z wódką?
- No, to była „sprężynka”.
- Jesteś stuknięty, wiesz? Mówiłem ci to milion razy, ale ty naprawdę masz nierówno pod sufitem.
- Oczywiście, że tak - zgodził się. - A niby dlaczego tu przyjechałem?

## Rozdział 7

NASTĘPNEGO DNIA NIE WSTALIŚMY TAK WCZEŚNIE, jak planowaliśmy. Ale też nie planowaliśmy siedzieć do tak późna w Lindell AC. Łeb mi rozsadało, a Randy wcale nie wyglądał lepiej. Na szczęście nie dałem się namówić na spróbowanie tej idiotycznej „sprężynki”. Przynajmniej nie będę przez cały dzień czuł w ustach smaku wódki i piwa korzennego.

A to, co zaszło między nami poprzedniego wieczoru - było, minęło. Zapomnieliśmy, tak jak przed kolejnym wyjściem na boisko zapomina się o ciężkim meczu poprzedniego dnia.

Po dwóch gorących prysznicach i kilku tabletkach aspiryny doszliśmy do siebie i ruszyliśmy stawić czoło kolejnemu kwietniowemu dniu w Michigan. Niebo zasnuły szare chmury, a po Michigan Avenue hulał chłozszący zimny wiatr. Pojechaliśmy na wschód, w stronę Woodward, a potem na północ do biblioteki. Zatrzymaliśmy się przy kwaciarni. Randy poszedł wybrać coś ładnego dla bibliotekarki, która pomogła Leonowi. Wrócił z bukietem dobrym na ślub.

- Jak szaleć, to szaleć - powiedział.

Tylko pokręciłem głową. Kilka przecznic dalej zaparkowaliśmy przed biblioteką publiczną w Detroit. Mieściła się w masywnym budynku z kamienia w tym samym odcieniu szarości co niebo. Kiedy weszliśmy do głównego holu i zapytaliśmy o Kolekcję Historyczną Burtona, odesłano nas na drugą stronę budynku, do drzwi od strony Cass Avenue. Skręciliśmy w prawo i znaleźliśmy właściwą salę. Sama kolekcja, głównie materiałów referencyjnych z całego stulecia, znajdowała się na regałach na parterze i na antresoli biegnącej wzdłuż trzech ścian. Czwarta ściana była całkowicie przeszklona. Po drugiej stronie ulicy widać było Instytut Sztuki w Detroit. Na flagach reklamowano wystawę

van Gogha. Gdzieś czytałem, że van Gogh był leworęczny. Kolejny szalony mańkut.

Odnaleźliśmy bibliotekarkę od Leona. Szczupła Murzynka koło pięćdziesiątki, w okularach, z włosami związanymi w kucyk – obowiązkowa fryzura tutejszych pracownic. Ale w oczach miała iskierki, które kontrastowały z surowym wizerunkiem. Randy obsypał kobietę kwiatami, zanim zdążyłem wyjaśnić, kim jesteśmy.

Kiedy wydostała się z tej gęstwiny, przedstawiłem nas i przekazałem najcieplejsze pozdrowienia od Leona.

- Przemily pan - powiedziała. - Przykro mi, że nie mogłam bardziej pomóc.

- Nonsens - odparłem. - Przekazała mu pani mnóstwo informacji.

- Tak, ale obiecałam, że jeszcze pomyślę. Potraktowałam to jako osobiste wyzwanie. Odnaleźć kogoś po trzydziestu latach... Byłam przekonana, że coś znajdę. Waleska to rzadkie nazwisko. Obawiam się jednak, że mogę już tylko przeglądać stare gazety w poszukiwaniu informacji o urodzinach.

- Próbowaliśmy znaleźć jej akt urodzenia - przyznał się Randy. Bibliotekarka wybuchnęła śmiechem.

- Nie w tym stanie. Tylko zmarnowaliście czas.

Kilka minut później obaj siedzieliśmy w sali mikrofilmów, przeglądając wszelkie informacje o narodzinach dzieci od września 1951 roku do października 1952. We wrześniu 1971 roku miała dziewiętnaście lat, więc oszacowaliśmy, że musiała się urodzić w tym okresie. Ja zabrałem się do „Detroit News”, a Randy do „Detroit Free Press”.

Dwie godziny później wyszliśmy na światło dzienne, mrużąc oczy jak krety. Niczego nie znaleźliśmy.

Wróciliśmy do biurka, żeby podziękować bibliotekarce. Gdzieś znalazła kilka wazonów i dzieliła właśnie kwiaty od Randy'ego.

- Nadal będę nad tym myśleć, chłopcy - zapewniła nas. - Dobra bibliotekarka nie spocznie, póki nie znajdzie tego, czego szuka.

W drodze na obiad zadzwoniłem do Leona. Nie miałem mu wiele do powiedzenia, ale na pewno siedział sześć godzin stąd na północ i zachodził w głowę, co robimy.

- Shannon mieszka pod tym adresem od niedawna - poinformowałem go. - I nie ma żadnych tropów, które prowadziłyby dalej niż dwa lata wstecz. Po obiedzie popytamy w innych domach.

- Na pewno świetnie się bawicie - jęknął. - Odnajdywanie wskazówek, szukanie tropu sprzed trzydziestu lat. Boże, jak ja żałuję, że z wami nie pojechałem.

- Rzeczywiście jest czego żałować - powiedziałem zgryźliwie. - Właśnie skończyliśmy przeglądać cały rocznik starych gazet, a teraz będziemy łązić od drzwi do drzwi i wypytywać o wróżkę i jej rodzinę z 1971 roku.

- Tak właśnie pracują prywatni detektywi, Alex. Grzebią w ziemi, póki nie dokopią się do kości.

- Piękny tekst, Leon. Chyba go sobie zapiszę.

- Szukaj, współniku. Szukaj tej kości.

I z tymi słowami inspiracji dźwięczącymi mi w uszach byłem gotów stawić czoło reszcie dnia.

- Chodźmy, Randy. Pogrzebiemy w ziemi.

Przekąśliśmy szybki obiad w małej restauracji w pobliżu, a potem wróciliśmy na Leverette Street, gdzie zaparkowałem furgonetkę.

- Jak wolisz? - zapytałem. - Rozdzielamy się czy chodzimy razem?

- Rozdzielmy się. Ja biorę ten rząd. - Wskazał stronę ulicy, po której mieszkała Maria. - Z sentymentu.

- Nie ma sprawy. Do domu obokjuż nie musisz pukać.

- A, tam mieszka dziewczyna, która sądziła, że poszukujesz zaginionych schodów? Była świetna.

- Więc idź do niej na herbatkę. A ja pochodzę po okolicy i pogadam trochę głupot. Gdyby mnie ktoś zapytał, czy pamiętam

wróżkę, która trzydzieści lat temu mieszkała naprzeciwko, trzasnąłbym mu drzwiami przed nosem.

- Alex, ale ty mieszkasz w chacie w środku kniei.

- Robisz to specjalnie, co? - zapytałem.

- Idź już.

Poszedłem na koniec ulicy i zapukałem do pierwszych drzwi. Otworzył mi czarnoskóry nastolatek w słuchawkach na uszach. Zacząłem mówić. Kiedy zadałem pierwsze pytanie, ten tylko stał i patrzył na mnie. W końcu zdjął słuchawki. Zacząłem od początku:

- Szukam kogoś, kto mieszkał przy tej ulicy w 1971 roku. Wiem, że wtedy nie było cię jeszcze na świecie, ale może jest z tobą ktoś, kto pamięta tamte czasy?

- Dopiero co się wprowadziliśmy - odpowiedział. - W zeszłym roku.

- Mógłbym zapytać twoich rodziców, czy pamiętają, kto mieszkał tu wcześniej?

- Nie ma nikogo. Wyjechali do poniedziałku.

- Rozumiem - poddałem się. - Zostawię wizytówkę, dobrze?

- Jasne. - Wziął ode mnie kartonik i spojrzął na niego. - Jest pan detektywem?

- Takjakby - mruknąłem.

- Nosi pan gnata?

- Nie.

- A na wizytówce ma pan dwa.

- To nie był mój pomysł - wyjaśniłem. - Słuchaj, już nie przeszkadzam, szykuj się do imprezki. Dzięki.

- Imprezki? - zdziwił się. - Jakiej imprezki?

- Przecież mówiłeś, że rodzina wyjechała do poniedziałku. Nastolatek sam w domu równa się impreza. Pewnie zaczyna się pod wieczór, co?

- Kurde - obruszył się. - A więc o to chodzi? Mama nasyła na mnie prywatnego detektywa, żeby sprawdzić, czy urządzam bibkę, kiedy jej nie ma?

- Nie - zapewniłem. - Uwierz mi, po prostu szukam pewnej

osoby. Przysięgam.

Kiedy odchodziłem, nie wydawał się przekonany. Impreza zapowiadała się kiepsko, bo pewnie spodziewał się, że będę obserwował dom. Zepsułem dzieńjednej osobie i już pukałem do następnych drzwi.

Tym razem otworzył starszy Murzyn i poczułem, że mam większe szanse. Z całą pewnością wyglądał na tyle lat, że mógł tu mieszkać w 1971 roku. Okazało się jednak, że wprowadził się w 1994. I nie pamiętał poprzedniego lokatora. Podziękowałem i poszedłem dalej. Kiedy skończyłem rozmawiać w kolejnym domu, zacząłem dostrzegać pewną prawidłowość. Wszyscy byli tu nowi. Sprowadzili się w ostatniej dekadzie. Przed 1990 rokiem nikt nie miał związku z tą okolicą.

Kiedy obszedłem całą swoją stronę ulicy, wróciłem do furgonetki i czekałem na Randy'ego. Jemu obchód zajął dłużej, bo na pewno z każdym postać chwilę i pogawędził o pogodzie, tatuażu na ręce i Tygrysach z Detroit. I zakład, że każdej napotkanej osobie opowiadał o swoim jedynym występie na tutejszym stadionie.

Rozejrzałem się, ale nie było go widać. Pewnie wszedł do kogoś i popija zimne piwko, pomyślałem. Mógłbym się ruszyć i go znaleźć. Razem dokończylibyśmy rundkę po domach. Ale wciąż bolały mnie oczy po przeglądaniu mikrofilmów. Siedziałem więc w aucie i czekałem. W końcu się zdrzemnąłem. Wystraszył mnie jak diabli, kiedy wrócił i zapukał w szybę.

- Co tak długo? - zapytałem. - Nie musiałeś przecież wysłuchiwać wszystkich życiorysów.

- Pogadaliśmy sobie trochę - wyjaśnił. - Mieszka tu mnóstwo miłych ludzi.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- O Marii?

- Randy, bo cię walnę.

- Nie, Alex. Niczego. Żadna z tych osób nie mieszka tu długo.

A ty?

- Też nic - skwitowałem. - Chociaż powstrzymałem nastolatka



przed urządzeniem imprezy i rozniesieniem chałupy.

- Nie zachodziłem do domu Marii. To znaczy Shannona. I wjed- nym z domów nie było nikogo...

- Shannon chciał, żebyśmy go odwiedzili. - Zerknąłem na zegarek. - Mówił, że będzie po trzeciej. Wpadnijmy, przy okazji, co?

- Jasne - odparł. - Może pozwoli nam wejść na górę. Pokażę ci, gdzie to się stało.

- Teraz pewnie jest tam inaczej - uprzedziłem go.

- Nie wątpię, ale na pewno to poczujesz. No wiesz, magię tego miejsca. Założę się, że Shannon czuje ją cały czas. Pewnie wchodzi na górę, bo trzyma tam kosz na pranie czy coś, i nagle zatrzymuje się pośrodku i mówi do siebie: „Cholera, w tym pokoju zawsze dopada mnie to dziwne uczucie. Jakby zdarzyło się tu kiedyś coś cudownego i zadziwiającego”.

- Sam go o to zapytasz - powiedziałem. - Chodźmy już.

Kiedy wysiedliśmy, minął nas samochód i skręcił w jeden z podjazdów.

- Patrz, to ten dom, w którym nikogo nie było - ucieszył się Randy.

Z auta wysiadł mężczyzna i trzasnął drzwiami.

- Zdaje się, że nie jest w nastroju do rozmowy - stwierdziłem.

Ale Randy już biegł chodnikiem w jego stronę.

- Przepraszam pana! - krzyknął.

Mężczyzna przystanął na werandzie. Odwrócił się i spojrzał na nas bez słowa.

- Mogę zadać panu błyskawiczne pytanie? - wysapał Randy.

Facet skrzyżował ręce na piersiach.

- Przepraszam, że zawracam panu głowę - ciągnął Randy, stojąc na podjeździe.

W końcu go dogoniłem.

- Czego chcecie? - zapytał nieznajomy. - Niczego od was nie kupię, więc szkoda czasu.

- Mam tylko jedno pytanie - zapewnił Randy. - Mieszkał pan tu może w 1971 roku?

- A co was to obchodzi? - obruszył się.

- Szukamy kogoś, kto wtedy mieszkał przy tej ulicy - wyjaśnił Randy. - Może pamięta pan pewną kobietę... O ile oczywiście w siedemdziesiątym pierwszym pan tu był. Jeśli nie, to proszę powiedzieć i znikamy.

- Więc znikajcie. Nie mieszkałem tu w 1971 roku. W tamtych czasach pewnie nawet nie pozwolono by mi chodzić tą ulicą.

- Dzięki - krzyknął Randy. - Przepraszamy za kłopot. Miłego dnia.

Randy odwrócił się. Spojrzałem jeszcze raz na faceta, a potem ruszyłem za przyjaciелеm.

- Panowie, chwila - zawołał nieznajomy. Zszedł do nas z werandy.

Zatrzymaliśmy się na chodniku.

- Przepraszam - powiedział. - Miałem zły dzień, ale nie powinienem się na was wyżywać.

- Nie ma sprawy - odezwał się Randy.

- Mieszkam tu dopiero od 1993 roku - wyjaśnił. - Nie pomogę wam w szukaniu kogoś z 1971. Chociaż...

- Tak?

- Kupiłem ten dom od pewnego małżeństwa. Dość dobrze ich pamiętam. Oboje byli już starzy, chyba ostatni biali na tej ulicy. Ona nie chciała się wyprowadzać, ale mąż... długo się o to spierali. Kiedy podpisywaliśmy umowę, myślałem, że się pozabijają przy stole.

- Orientuje się pan, gdzie ich można znaleźć? - zapytałem.

- Mówili, że przeprowadzają się do mieszkania w Westland. Na takie specjalne osiedle z opieką dla starszych ludzi. Coś jak dom starców. Boże, pani Meisner zgrzytała zębami na myśl, że ma tam mieszkać.

- Nazywali się Meisner?

- Fred i Muriel Meisnerowie - potwierdził. - Wyobraźcie sobie, że bierzecie ślub i musicie zmienić nazwisko na Meisner.

- Nie pamięta pan, gdzie jest to osiedle?

- Nie, ale na pewno w Westland. Powtarzałem sobie wtedy w

duchu: „Ludzie z Westland, uważajcie, nadciąga huragan”. Jeśli z nimi porozmawiacie, sami się przekonacie, że miałem rację.

Podziękowaliśmy i ruszyliśmy do Shannona. Kiedy otworzył, przedstawiliśmy się i zaczęliśmy odpowiadać na pytania. Owszem, jestem prywatnym detektywem. Nie, nie noszę splawy. A Randy? Nie, nie jest prywatnym detektywem, ale był miotaczem u Tygrysów. Kiedy Shannon usiadł, żeby posłuchać tej historii, zapytałem, czy mógłbym skorzystać z książki telefonicznej. I telefonu.

Na żółtych stronach zjrzałem pod „Pensjonaty dla starszych osób”. Znalazłem odsyłacz do działu „Domy opieki”. W Westland były dwa: Azelia Park i osiedle dla seniorów Brzoskwiniowe Drzewo. Najpierw zadzwoniłem do Azelia Park i zapytałem o państwa Meisnerów. Nie ma takich. Próbowałem dalej: czy wciąż ostatnich kilku lat mieszkali tam jacyś Meisnerowie? Niestety, moja rozmówczyni nie dała się przekonać. Zacząłem w duchu złorzeczyć ludziom, którzy nie udzielali informacji tylko dlatego, że akurat nie mają na to ochoty.

Zadzwoniłem do osiedla dla seniorów Brzoskwiniowe Drzewo i poprosiłem o połączenie z Meisnerami. Trzy sekundy później mnie przełączono, a po sześciu dzwonek usłyszałem w słuchawce głos mężczyzny.

- Halo.

- Pan Meisner? Fred Meisner?

- Przy telefonie! Kto mówi?

- Nazywam się Alex McKnight. Jestem prywatnym detektywem.

- Prywatnym czym? Muriel, na litość boską, wyłączysz to wreszcie?!

- Prywatnym detektywem. Czy mógłby mi pan pomóc? Szukam...

- Muriel, słyszysz mnie? Mówię do ciebie!

- Proszę pana...

- Przepraszam, kim pan jest?

- Prywatnym detektywem.

- Muriel, rany boskie, wyłączże to cholerstwo na sekundę! Rozmawiam przez telefon! Nie widzisz, że stoję ze słuchawką przy uchu? Myślisz, że robię to, bo lubię sobie przykładać plastik do ucha?

- A może wpadlibyśmy? Tak będzie wygodniej. Mieszkacie państwo przy ulicy Wiśniowe Wzgórze, prawda?

- Nie, w Brzaskwiniowym Drzewie. Osiedle nazywa się Brzaskwiniowe Drzewo! Brzaskwinia, nie wiśnia!

- Wiem, ale mieści się przy ulicy Wiśniowe Wzgórze. Tak piszą w książce telefonicznej.

- Osiedle dla seniorów Brzaskwiniowe Drzewo! Ładne miejsce! Muriel, chcesz, żebym skonał? Przysięgam na Boga, że jak nie wyłączysz tego draństwa, to dostanę zawału, i to na twoich oczach!

- Panie Meisner! Będziemy za dwadzieścia minut!

- Przyjedzie pan tu? Wie pan, jak dojechać? To przy ulicy Wiśniowe Wzgórze!

- Do zobaczenia za dwadzieścia minut!

Odłożyłem słuchawkę. Wróciłem do Randy'ego i Shannona, ale gdzie zniknęli. Nagle z góry dobiegł mnie głos:

- Tu jesteś, Alex!

Poszedłem na piętro. Stali w sypialni dla gości.

- To tu, Alex. W tym pokoju poznałem Marię. Proszę mi powiedzieć szczerze - zwrócił się do Shannona. - Nie ma pan czasem dziwnego uczucia, kiedy pan tu wchodzi?

- Na przykład teraz? - uniósł brwi.

- Randy, musimy jechać - ponagliłem go. - Znalazłem Meisnerów. Czekają na nas.

- Znalazłeś ich? - zdziwił się. - Tych ludzi, którzy mieszkali dwa domy dalej?

- Tak.

- Dawni sąsiedzi. Na pewno pamiętają Marię. Musieli ją zapamiętać. I całą rodzinę.

- Zobaczymy - powiedziałem.

Randy objął mnie, uściskał i zakręcił mną po pokoju gościnnym Shannona. Po chwili ruszył, by to samo zrobić gospodarzowi, ale przerażenie malujące się na twarzy Shannona go przed tym powstrzymało.

Podziękowaliśmy i wyszliśmy. Wolę nawet sobie nie wyobrażać, co facet o nas pomyślał.

Kiedy tylko wsiedliśmy do furgonetki, Randy znów zaczął podśpiewywać:

- *L'amour, l'amour... Oui, son ardeur...*

- Randy, albo przypomnij sobie resztę słów, albo przestań to w kółko śpiewać.

- Jesteśmy coraz bliżej, prawda? Coś mi mówi, że tak.

Wtedy tego nie wiedziałem, ale rzeczywiście, byliśmy coraz bliżej. Jednak pod koniec dnia ten dobry nastrój miał prysnąć.

## Rozdział 8

OSIEDLE DLA SENIORÓW BRZOSKWINIOWE DRZEWO mieściło się przy ulicy Wiśniowe Wzgórze, tak jak mówił pan Meisner. Randy i ja weszliśmy głównymi drzwiami prosto do wielkiej sali z kominkiem i mnóstwem porozstawianych kanap i krzesel. W sali siedziało może z pięćdziesięcioro staruszków. Jedni grali w karty, inni rozmawiali. Kiedy weszliśmy, wszyscy odwrócili się w naszą stronę.

- Miło tu - powiedziałem.

- Prawie jak w barze u twojego przyjaciela Jackiego - przyznał Randy.

- Nie widzę podobieństw.

- Parę osób siedzi przy kominku. Powinieneś sobie zarezerwować tu miejscówkę, Alex. Jeszcze ze dwa lata i będziesz mógł się przeprowadzić. Poza miejscem pobytu niczego nie zmienisz w życiu.

Rozmyślałem o tym, kiedy Randy chodził po budynku i szukał kierownika. W końcu znalazł pielęgniarkę. Czytała „Detroit News” przy lampce.

- Szukamy państwa Meisnerów - powiedział.

- Dwieście siedemnaście. Prosto w tamtą stronę.

Poszliśmy we wskazanym kierunku. Skrzydło budynku przypominało hotelowy korytarz z drzwiami po obu stronach. Minęła nas kobieta z balkonikiem. Uśmiechnęła się do nas.

- Dobry wieczór - przywitał się Randy.

- Co za mili panowie - zdziwiła się staruszka.

- Popatrz, Alex, ciebie pani też uwzględniła.

Spojrzałem na niego.

- Dwieście siedemnaście to tutaj - powiedziałem tylko.

Zapukaliśmy. Ze środka dobiegł nas krzyk, w końcu drzwi się

otworzyły. Stał w nich mężczyzna koło osiemdziesiątki. Może dzie- wiećdziesiątki. Chciałbym sam mieć kiedyś tyle szczęścia i samodzielnie się poruszać w takim wieku.

- Pan Meisner? - zapytałem. - Nazywam się Alex McKnight. A to Randy Wilkins. Rozmawialiśmy przez telefon.

- To pan jesteś ten prywatny coś tam - powitał mnie.

- Ee... prywatny detektyw - wyjaśniłem.

Gdzieś zza jego pleców rozległ się głos:

- Kto to?

- Ten człowiek, co dzwonił - odpowiedział pan Meisner.

- Co za człowiek?

- Muriel, człowiek, który... - Przewrócił oczami. - Zapraszam, panowie.

Weszliśmy do mieszkania. Było dobrze wyposażone. Do salonu przylegała mała kuchenka. Państwo Meisner mieli też osobną sypialnię. W ramkach na ścianach, półkach i stoliku do kawy tłoczyła się co najmniej setka zdjęć. Pani Meisner siedziała w wózku przed telewizorem. Na kolanach trzymała pilota.

- Muriel, wyłącz ten telewizor! Mamy gości.

- Kto to?

- Pan... - Spojrzał na mnie.

- McKnight - powtórzyłem. - Proszę mówić mi Alex.

- To Alex. - powiedział. - 1... - Spojrzał na Randy'ego.

- Proszę mówić mi Randy.

- I Randy. Alex i Randy.

- Bardzo mi miło! - powiedziałem.

- Niech pan nie krzyczy - upomniała mnie. - Przecież nie jestem głucha!

- Przepraszam - stropiłem się.

- Podać panom coś do picia?

- Nie, dziękujemy - odparłem.

- W lodówce mamy piwo - zaproponowała pani Meisner.

- Nie, naprawdę dziękujemy. - Z uśmiechem pokręciłem głową.

- Piwo się skończyło! - stwierdził pan Meisner. - Chciałem im

zapropnować kawę!

- Mężczyźni nie piją kawy - zauważyła pani Meisner. - Daj im piwo!

- Ależ nie trzeba... - broniłem się.

- Oczywiście, że mężczyźni piją kawę! - obruszył się pan Meisner. - Sam co dzień piję kawę, do cholery! Wyłącz już ten telewizor!

- Na pewno woleliby piwo! - upierała się pani Meisner.

- Nie mamy piwa!

- Proszę państwa - wtrąciłem się. - Nie chcemy sprawiać kłopotu. Przyszliśmy tylko zapytać o Leverette Street.

- Kiedyś tam mieszkaliśmy! - powiedział Meisner. - Usiądźcie wreszcie! Wprowadzacie nerwową atmosferę! Muriel, wyłącz ten telewizor!

Usiedliśmy na kanapie. Pan Meisner zajął krzesło obok wózka żony.

- Szanowni państwo - zacząłem. - Mieszkaliście przy Leverette Street w 1971 roku, prawda?

- Tak - przytaknął pan Meisner. Kiedy usiadł, zaczął mówić kilka tonów ciszej. - Kupiliśmy tam dom w 1934 roku, uwierzycie? Tuż po ślubie. - Wyciągnął rękę i ścisnął dłoń żony. - Wychowaliśmy czterech synów. Chcecie zobaczyć zdjęcia?

Przez następnych kilkanaście minut oglądaliśmy synów, ich żony, siódmkę wnuków i jedenaścioro prawnuków.

- Ten stary dom zrobił się dla nas za duży - podjął pan Meisner, kiedy już odłożyliśmy zdjęcia. - Musieliśmy go sprzedać i przeprowadzić się tutaj.

- Ale chrzanisz - skwitowała pani Meisner.

- Muriel, proszę cię, mamy gości.

- Nie znoszę tego mieszkania - burknęła kobieta. - Osiedle dla seniorów Brzoskwiniowe Drzewo? Nie ma ani jednej brzoskwini w promieniu stu kilometrów. Osiedle dla seniorów? Czemu po prostu nie nazwą tego domem starców?

- To nie jest dom starców, Muriel. To osiedle z usługami dla seniorów. Wolalabyś nadal mieszkać u siebie i kosić trawnik?



Albo odgarniać śnieg?

- Za koszenie i odśnieżanie i tak płaciłeś dzieciakom!

- Lód zamarzał w rynnach, pamiętasz? Wiosną musiałem wchodzić na dach i go kruszyć!

- Wspólnik Aleksa też walczył z lodem na dachu. I spadł - zauważył Randy. - Złamał sobie obie kostki.

- Widzisz? - podchwycił pan Meisner. - Widzisz, czym to grozi? Chciałabyś, żebym zleciał i pogruchotał sobie kości?

- Drodzy państwo - wtrąciłem się. - Czy pamiętacie może rodzinę, która mieszkała niedaleko was? Nazywali się Walescy?

- Walescy? - powtórzył Meisner. - Muriel, pamiętasz Waleskich? Wynajmowali piętro nad Kowalskimi.

- Kowalscy - odezwała się pani Meisner. - Znamy Kowalskich.

- Mickey Kowalski - sprecyzował pan Meisner. - Ma żonę Marthę. Wciąż dostajemy od nich kartki na święta.

- Zdaje się, że on choruje, prawda?

- Kto, Mickey Kowalski? Nie choruje.

- Właśnie, że tak.

- Nie choruje. Nie słuchajcie mojej żony.

- A państwo Walescy? - dopytywałem się. - Ci, którzy wynajmowali piętro. Pamiętacie ich państwo?

- Ja nie pamiętam - przyznał Meisner. - Muriel, a ty?

- Walescy, Walescy... - powtarzała. - Nie, nie kojarzę.

- Pani Waleska była wróżką - podsunął Randy. - Przepowiadała przyszłość.

Jakby strzelił w nich piorun.

- Wróżka! - prawie krzyknęła pani Meisner. - Mój Boże, Fred! Wróżka!

- Tak! Tak! - przytakiwał Meisner. - I ta rodzina. Jak oni się nazywali?

- Walescy - podpowiedziałem. - Pamiętacie ich państwo?

- Na Boga, tak! - zawołała pani Meisner. - Cóż to były za czasy, kiedy oni tam mieszkali. I ten szyld na chodniku! Pamiętasz tę wielką rękę?

- A jakże! - prychnął pan Meisner. - Mickey wynajął im piętro.

Siedzieli tam chyba dziewięć, może dziesięć miesięcy. A potem zniknęli! Nagle! Mickey uważał, że to Cyganie.

- Ale czynsz płacili - przyznała pani Meisner. - Martha o tym mówiła. I mieli czysto.

- Mimo wszystko byli dziwni - stwierdził pan Meisner. - Jak miał na imię jej mąż?

Zaczynamy, pomyślałem. Po to tu przyjechaliśmy.

Randy i ja czekaliśmy w napięciu.

- Nazywał się tak jakoś egzotycznie - wspominała.

- Cała ta rodzina była egzotyczna. Jak oni się nazywali?

- Mąż miał na imię... - zaczęła. Wstrzymaliśmy oddech. - Gregor! - powiedziała. - Tak, nawet zastanawiałam się, gdzie zniknęło „y” z końca imienia!

- Tak, Gregor - potwierdził pan Meisner. - A ona... Boże, jakżeż się nazywała?

- Arabella. - O właśnie. Ładne imię, prawda?

- Owszem. - Spojrzałem na Randy'ego. Zatopił się we własnym świecie, zwłaszcza teraz, kiedy poznał te imiona.

- Mieli chłopca i dziewczynkę - przypomniał pan Meisner.

- Chłopak nazywał się....

- Leopold - wtrącił Randy. - Prawda?

- Właśnie - zgodziła się pani Meisner. - Tak miał na imię. Wyglądał na twardziela, co?

- Ha! Teraz sobie przypomniałem! - wykrzyknął pan Meisner.

- Pomalował nam pokój, pamiętasz Muriel? Tym się zajmowali. On i ojciec. Byli malarzami!

- Zgadza się! - powiedział Randy. - Ze też o tym zapomniałem!

- Znali się na swojej robocie. Bardzo dobrze pomalowali ten pokój. Ajak skończyli, powiedziałem: „Dziękuję, Leo!” I wiecie, co odpowiedział? „Mam na imię Leopold! Nie Leo! Leo każą mówić na siebie Amerykanie, którzy siedzą w gaciach na werandach i piją piwo”. Boże, że też to jeszcze pamiętam.

- Dziwny chłopak - stwierdziła pani Meisner.

- Ale córka...

- Maria - odpowiedział Randy takim głosem, że aż zaniemówili.

- Tak, Maria - odezwała się w końcu pani Meisner. - Piękna dziewczyna.

- Szukamy jej - wyjaśnił Randy. - Dlatego tu przyjechaliśmy.

Oboje tylko skinęli głowami. Najwyraźniej pomysł nie wydawał im się taki szalony. A może, kiedy przeżyje się już tyle lat, nic człowieka nie dziwi.

- Nie wiecie państwo, dokąd mogli wyjechać, po tym jak wyprowadzili się od Kowalskich? - zapytałem.

- Nie - odparł pan Meisner. - O tak, zniknęli. Zostawili czynsz za poprzedni miesiąc pod drzwiami Mickeya i po prostu się rozplynęli.

- Cóż, przynajmniej znamy teraz ich imiona - stwierdziłem. - A to może nam bardzo pomóc. Chwileczkę, jeszcze coś... wspominali państwo, że Kowalscy wciąż wysyłają wam kartki na święta?

- Mickey i Martha? Owszem, co roku - przytaknął starsuszek. - Nie dzwonimy do siebie, ale co święta dostajemy kartkę.

- Mówię ci, on jest naprawdę chory - przypomniała sobie pani Meisner. - Gdzieś o tym słyszałam.

- Nonsens, Muriel!

- A może mają państwo ich adres? - zapytałem.

- Jasne - prychnął pan Meisner. - My też co roku rewanżujemy się kartką. Przecież niegrzecznie byłoby nie odpowiadać.

- Mogę więc prosić o ten adres? - napomknąłem.

- Pewnie. - Trochę to trwało, ale w końcu wstał z krzesła. - Przepraszam panów. W przyszłym miesiącu kończę dziewięćdziesiąt dwa lata.

- Ile lat są państwo małżeństwem? - zaciekał się Randy.

Meisner patrzył na żonę. Dotknął jej włosów.

- Siedemdziesiąt.

- Kiedyś się rozwiedziemy - stwierdziła pani Meisner. - Czekaemy tylko, aż dzieci poumierają.

- Ha! To dobre - powiedział gospodarz. - No, gdzie odłożyłaś te adresy?

- Są w pudełku.

- Wiem, że w pudełku! A gdzie jest pudełko?

- Tam gdzie zawsze je kładziesz! W sypialni, na komódce!

- Nie, to tyje tam zawsze kładziesz! Zresztą, nieważne. Sam znajdę! - Zniknął w sypialni.

- Nawet pani nie wie, jak bardzo jestem państwu wdzięczny - powiedział Randy.

- Miło z kimś porozmawiać - odparła pani Meisner. - Dawno już nie wspominałam starej dzielnicy.

- Mam! - zawołał pan Meisner z pokoju obok. - Było tam, gdzie je zostawiłem.

Pani Meisner uśmiechnęła się do nas i pokręciła głową.

- Proszę. - Przydreptał z powrotem do salonu. - Przeprowadzili się do Arizony. Uwierzycie? Na koniec świata, gdzie tylko pustynia i kaktusy. Popatrzmy, Kowalscy... - Przeglądał karty segregujące zawartość pudełka. - Mam, Mickey i Martha Kowalscy. Mieszkają w Tucson.

Przepisałem adres. Nie było numeru telefonu, ale to da się znaleźć.

Zostaliśmy jeszcze pół godziny. Słuchaliśmy innych opowieści o dawnej dzielnicy i o tym, jak cudowne albo koszmarnie jest nowe osiedle - wszystko zależało od tego, kto mówił. Kiedy wychodziliśmy, pan Meisner wstał i uściśnął nam ręce. Obaj pochyliliśmy się do wózka i na pożegnanie pocałowaliśmy panią Meisner. Obiecaliśmy, że kiedyś jeszcze ich odwiedzimy.

W drodze do motelu Randy nie odrywał wzroku od kartki z adresem w Arizonie, chociaż był w stanie czytać tylko, kiedy przejeżdżaliśmy pod latarniami. Ale pewnie i tak znał już wszystko na pamięć.

- Jesteśmy blisko, co? - zapytał. - To oni. Ludzie, którzy wynajęli piętro rodzinie Marii.

- Może się okazać, że niewiele nam pomogą - ostudziłem jego zapal. - Sam słyszałeś, że Walescy wyjechali nagle. Kowalscy

pewnie nie mają pojęcia, dokąd poniosło ich lokatorów.

- Wiem - przyznał. - Ale i tak dobrze będzie z nimi porozmawiać. Może coś mi jeszcze zaświta. U Meisnerów przypomniałem sobie, że Leopold i jego ojciec byli malarzami. Trochę jakby rozmazany obraz się wyostrzał, rozumiesz?

- Obraz sytuacji z 1971 roku - nadmienilem. - Nie zapominaj o tym, Randy.

- Wiem, wiem - odparł.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, usiadłem na jednym łóżku, a Randy na drugim. Zadzwoiłem do informacji w Tucson i dostałem numer do Kowalskich. Zanim zdążyłem go wystukać, Randy wyrwał mi telefon.

- Ja to zrobię - powiedział.

- Proszę bardzo.

- Która jest? Około dziewiątej? Czyli w Arizonie siódma? To spokojnie możemy dzwonić.

Odczekał dwa sygnały i odezwał się:

- Witam! Szukam pana Michaela Kowalskiego! Zdaje się, że wszyscy mówią na niego Mickey! - Szczerzył zęby w zabójczym uśmiechu, choć przy rozmowie telefonicznej ta technika działa nieszczególnie. Uśmiech nagle zniknął, Randy nie powiedział już ani słowa, tylko popatrzył na słuchawkę, jakby ta ugryzła go w ucho. - Rozłączyli się - wyjaśnił. - Powiedzieli, że Mickey nie żyje i już.

- Chyba pani Meisner miała rację - stwierdziłem. - Mickey był chory.

- I co ja teraz zrobię?

- Zadzwoisz jeszcze raz i przeprosisz?

- O właśnie, tak zrobię. - Znów wystukał numer. - Proszę pani, bardzo mi przykro. Proszę się nie rozłączać. Przykro mi z powodu straty, jaka państwa dotknęła, i przepraszam, że zakłócam spokój. Właśnie byłem u państwa Meisnerów w Michigan. Przyjaźnili się z... przepraszam, czy rozmawiam z panią Kowalski?... Z córką. Rozumiem. Naprawdę jeszcze raz przepraszam. Meisnerowie nie mieli pojęcia... Tak, w Michigan.

Z Meisnerami. Mieszkali w sąsiedztwie, przy Leverette Street... Tak... Tak... Prosimi, żeby odezwać się do pani rodziców i... Och, pani matka jest w pobliżu? Czyli...

Spojrzał na mnie z błyskiem paniki w oczach.

- Martha - przypomniałem.

- Martha - powtórzył. - Martha Kowalski. Tak, tak... Och, oczywiście. Jeśli mógłbym zamienić z nią choćby kilka słów... Jestem niezmiernie wdzięczny. Dziękuję...

Słuchałem, jak rozmawia z Martha Kowalski. Zaczęło się od Meisnerów i dawnej dzielnicy, potem powiedział, jak mu przykro z powodu śmierci Mickeya. Kiedy przeszedł do Waleskich, twarz mu się zachmurzyła. Przynajmniej kilka razy powtórzył: „Jest pani tego pewna?” W końcu podziękował, rozłączył się i siedział na skraju łóżka, patrząc na mnie.

- Co się stało? - zapytałem.

- Pamięta ich doskonale - odparł. - Tak jak mówili Meisnerowie. Mieszkali tam przez dziewięć miesięcy, a potem w połowie dziesiątego miesiąca zniknęli.

- Więc w czym problem?

- Tak naprawdę nie nazywali się Walescy. Tylko Valenescu.

- Valenescu?

- Uhm. Taki był podpis na czekach. Owszem, matka Marii napisała na szyldzie „Madame Waleska”, bo to nazwisko łatwiej wymówić Amerykanom.

- No tak. To ma sens.

- Owszem, i wyjaśnia, dlaczego wcześniej nie mogliśmy znaleźć ani Marii, ani rodziców, ani brata. Mieliśmy niewłaściwe nazwisko.

- Randy, czy to ci czegoś nie uświadamia?

- Niby czego?

- Nie znałeś jej prawdziwego nazwiska.

- No i?...

- Spędziłeś z nią tydzień, prawie trzydzieści lat temu, i nawet nie wiedziałeś, jak się nazywa.

- Dziesięć dni - poprawił mnie. Wziął książkę telefoniczną De-

troit. – Nie widzę tu żadnych Valenescu. I co teraz?

– Nie wiem. Ale Randy...

– Chwila! – krzyknął. Chmura z oblicza odplynęła. – Zadzwońmy do Leona!

Wpuściłem powoli powietrze i wystukałem numer swojego „partnera”. Podałem mu nowe nazwisko. Maria Valenescu. Córka Gregora i Arabelli.

– Fantastyczna robota! – pochwalił mnie Leon. –1 spróbuj jeszcze kiedyś powiedzieć, że nie jesteś prywatnym detektywem!

– To nie było trudne.

– Sprawdzę te wszystkie nazwiska. O rany, jesteśmy coraz bliżej. Wy to macie fajnie.

– Sam nie wiem... – Zerknąłem na Randy’ego.

– A co się dzieje?

– Muszę zabrać Randy’ego na kolację, postawić mu „sprężynkę” i poważnie z nim pogadać.

– Co to jest „sprężynka”, Alex?

– Wódka z piwem korzennym. Nie każ mi wyjaśniać. – Pożegnałem się i odłożyłem słuchawkę.

– No i? – zapytał Randy.

– Leon sprawdzi te nazwiska.

– Świetnie. Znów jesteśmy na tropie. No to chodźmy do Lindell.

– Zabieram cię gdzie indziej – oznajmiłem. – W spokojniejsze miejsce.

– To twoje miasto. Ty tu rządzisz.

Poszliśmy do restauracji przy Telegraph. Miałem nadzieję, że sam się zorientuje, jak idiotyczne się to wszystko robi. Czekałem, aż przejrzy na oczy. Ale się nie doczekałem.

Odwiozłem go do motelu. Kiedy wyłączyłem światło, Randy leżał i wpatrywał się w sufit. Zza okna dobiegał hałas samochodów jadących po Michigan Avenue. W końcu Randy znów zaczął mówić. W ciemności słyszałem tylko jego głos, tak jak pierwszej nocy, kiedy przeleciał pół świata aż do Raju. Wtedy w końcu mi wyjaśnił, po co przejechał taki kawał drogi.

- Dzień przed meczem - zaczął. - Wynajęliśmy z Marią pokój w hotelu. Powiedziała rodzicom, że będzie spała u koleżanki. Kochaliśmy się. Po raz pierwszy tak naprawdę. Po raz pierwszy i jedyny. Ale potem... I to pamiętam dokładnie, Alex. Siedziałem na łóżku, myśląc o meczu następnego dnia. Czuję, że od tego zależy cała moja przyszłość, rozumiesz? Wiedziałem, że tej nocy nie zmruję oka. A Maria siedziała w fotelu i rysowała mnie. Uwielbiała rysować. Mówiłem ci?

- Nie - odparłem.

- Chciała zostać malarką. Wciąż nosiła wielki szkicownik i małe płócienne pudełeczko z ołówkami i węglem. Czasami chodziliśmy nad wodę, siadaliśmy przy brzegu, a ona rysowała. Ale do tamtej nocy nigdy nie narysowała mnie. Tak byłem nakręcony przed meczem, że w ogóle o tym nie myślałem, dasz wiarę? Po prostu siedziałem w milczeniu, a ona rysowała. - Przerwał. Ulicą przejechała ciężarówka. Zdjęcia na ścianach zadrżały. - Widziałeś kiedyś taki obraz... kto go namalował? Chyba Toulouse-Lautrec. Dziewczyna siedzi na ławce pod ścianą w barze. Wokół trwa jakieś przyjęcie, a ona patrzy gdzieś w dal, jakby zanurzona we własnym świecie. Wiesz, o którym obrazie mówię?

- Chyba tak.

- Niesamowite, wystarczy spojrzeć na tę kobietę i człowiek czuje, jaka jest zmęczona. Samotna. Kurczę, gdyby wtedy mieli aparaty i po prostu zrobili jej zdjęcie, nie byłoby tego efektu. A on tak to namalował. .. Przepraszam, żaden ze mnie krytyk sztuki.

- W porządku - powiedziałem. - Rozumiem, o co ci chodzi.

- No więc Maria pokazała mi swoje dzieło. Kiedy spojrzałem na szkic, to... mój Boże, aż oniemiałem. Narysowała mnie tak, że czuło się, jak bardzo jestem przestraszony. Całkowicie przerażony myślą o tym, co się wydarzy następnego dnia. Nie mogłem w to uwierzyć. - Zamilkł na dłuższą chwilę. - Nie chodzi tylko o to, że była dobrą artystką - odezwał się w końcu. - Narysowała to, bo mnie znała. Rozumiesz, Alex? W tamtej



chwili znała mnie lepiej niż ja sam siebie. Nie wiedziałem, że siedzi we mnie strach, póki nie spojrziałem na rysunek. Ile razy w życiu zdarza się, że ktoś cię tak dobrze pozna? Chcesz wiedzieć, ile razy mi się to przydarzyło?

- Ile? - zapytałem.

- Dwa - odparł. - Najpierw z tobą. Potem z Marią. Z żoną już nie, choć spałem obok niej co noc przez jedenaście lat. Rodzice też nie poznali mnie tak dobrze. Ani moje dzieci. Tylko ty i Maria. Wy dwoje przejrzelście mnie na wylot. Wszystkie żarty, mecze i takie tam. Graliśmy razem raptem jeden sezon, ale kiedy rzucałem, a ty łapałeś, miałem wrażenie, że dokładnie widzisz, co się dzieje w mojej głowie. Wiesz wszystko. Nawet to, o czym ja sam nie wiem. Doskonale się orientowałaś, jak będę rzucał. I dlatego z nikim już potem nie rzucało mi się tak dobrze. Przejechałem pół świata i spotkałem cię po tylu latach, a jakbyśmy widzieli się zaledwie wczoraj. No tak?

- Nie mam pojęcia. Może.

- A Maria... - podjął po chwili. - Przysięgam na Boga, Alex, znała mnie równie dobrze, jak ty. To nic, że spędziliśmy razem tylko półtora tygodnia. Nieważne, jak dawno temu. Ani nawet to, że nie znałem jej prawdziwego nazwiska. - Znów chwila milczenia i kolejna ciężarówka gnająca przez noc. - Bez obrazy, Alex. Oboje znaliście mnie na wylot, ale jeśli chodzi o prezencję w koszuli nocnej, nie masz przy niej szans.

Parsknąłem śmiechem. Co innego mogłem zrobić?

- Myślisz, że ją znajdziemy? - zapytał.

- Nie wiem - odparłem. - Na razie bym się o to nie założył.

- Powinniśmy przestać szukać?

- Nie zadawaj mi takich pytań. Chyba że chcesz usłyszeć prawdę.

- Mów.

- Randy, cały czas ci uświadamiam, że to szalony pomysł. Wiem, że nie chcesz tego słyszeć. I wiem też, że gdybym został w domu, sam byś tu przyjechał. W porządku, pomyślałem. Nie mam nic do stracenia. Pokręcę się przez dwa dni z dawnym

kumplem z drużyny i zobaczymy. Ale teraz uważam, że powinieneś dać sobie spokój. Naprawdę.

Kolejna długa chwila ciszy. Kolejna ciężarówka za oknem, a potem jego miarowy oddech w ciemności.

## Rozdział 9

KIEDY OBUDZIŁEM SIĘ RANO, RANDY'EGO NIE BYŁO. Jego torba leżała w pokoju, a przez okno zobaczyłem, że mój ford wciąż stoi na parkingu. A więc Randy nie zwiął.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i zbiegłem do holu. Przez chwilę siedziałem tam, czytając gazetę. W końcu miałem dość czekania i wyszedłem na dwór. Niebo było zachmurzone, drobna mgiełka dostawała się do płuc i przenikała przez ubrania.

Znalazłem go na Michigan Avenue. Na ławce naprzeciwko stadionu Tygrysów.

- Dzień dobry. - Usiadłem obok. - Kiepski dzień sobie wybrałeś na kontemplację.

- Chciałem jeszcze raz na to spojrzeć - mruknął.

- A wybierasz się gdzieś?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Pozwolę ci wrócić do domu, Alex. I tak już za długo zawracam ci głowę.

- Coś mi mówi, że Jackie radzi sobie dobrze i beze mnie - powiedziałem. - Ba, pewnie czuje się jak na wakacjach.

Randy spojrzął na szarą ścianę stadionu.

- Gdybym załatwił wtedy Rettenmunda, zamiast oddać mu bazę, miałbym dwóch pokonanych pałkarzy, kiedy do gry wchodził Boog Powell. Byłbym w zupełnie innym nastroju. Cały mecz potoczyłby się po mojej myśli.

Nie odzywałem się. Nie zamierzałem się z nim sprzeczać.

- A potem, po meczu poszedłbym świętować z Marią - ciągnął.

- Randy...

- Marią Valenescu - mówił dalej. - Ale przecież przeszłości nie da się zmienić, co? Tylko głupi mógłby próbować.

- Chodźmy, Randy.

Zabrałem go do motelu, żeby przebrał się w suche ubranie. Kiedy weszliśmy do pokoju, zobaczyliśmy, że w telefonie pulsuje lampka- ktoś zostawił wiadomość. Wystukałem numer do recepcji. Tak, dzwonił pan Leon Prudell i prosił o kontakt.

- Co dla nas masz, Leon? - zapytałem, kiedy odebrał.

- Niewiele. W całym kraju znalazłem zaledwie troje Valenescu. Wszyscy mieszkają w Nowym Jorku. Nie widzę żadnego Gregora, Arabelli, Leopolda ani Marii. Chociaż warto podzwonić, może są spokrewnieni. Sam z nimi pogadasz czyja mam to zrobić?

- Nie wiem, czy to będzie konieczne - powiedziałem.

- Go ty wygadujesz?

- No dobra, mów te numery - poddałem się. - Później do ciebie dryndnę.

- Tak, obowiązkowo daj znać, jak wam idzie!

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. Randy wyszedł z łazienki z ręcznikiem na szyi.

- Znalazł troje Valenescu - poinformowałem. - Zadzwoń?

- Jak chcesz. - Klapnęła na łóżko.

Wystukałem pierwszy numer i wymieniłem rozmówcy cztery imiona. Nikt takich osób tam nie znał.

Drugi numer. To samo pytanie. I znów nic. Zadzwoń pod trzeci. Ten, kto odebrał, nie znał za dobrze angielskiego. Wolno i wyraźnie przekazałem pytanie, ale w odpowiedzi usłyszałem zdecydowane „nie”.

- Nic z tego - powiedziałem, kiedy się rozłączyłem.

- W porządku. Trzeba sobie dać spokój. Skontaktuj się z Leonem, chcę mu osobiście podziękować.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem ze słuchawką w ręku.

- To już koniec - powiedział. - To była nasza ostatnia karta. Nic więcej nie zrobimy.

- Chwileczkę. Daj mi minutkę. - Chwyciłem książkę telefoniczną. - Ile mogą mieć teraz jej rodzice?

Spojrzał na mnie.

- Co ty wyprawiasz?
  - No dalej - ponaglałem. - Ile?
  - Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt?
  - Jak Meisnerowie - powiedziałem. - Więc może też mieszkają na takim osiedlu.
  - Tak, o ile oczywiście wciąż żyją i są w tej okolicy.
- Znów zerknąłem pod „Domy opieki”. Przeglądałem te same strony co dzień wcześniej, kiedy znaleźliśmy osiedle dla seniorów Brzoskwiniowe Drzewo.
- Alex, sam mówiłeś, że to zły pomysł.
  - Wiem - przyznałem. - Chcę tylko jeszcze czegoś spróbować. Inaczej będzie mnie to gryzło.
  - Obdzwonisz wszystkie, Alex? Ile jest tych domów opieki?
  - Mnóstwo, więc to trochę potrwa. Może zorganizujesz w tym czasie śniadanie?

Dwie godziny później wykręcałem ostatni numer. Po raz setny powtarzałem to samo. Pytałem o panią Valencescu, bo uznałem, że jeśli któraś z nich jeszcze żyje, to raczej ona. W nekrologach zwykle to kochające żony żegnają mężów. Kobiety umierają samotnie. Nawet jeśli bym się mylił, personel domu opieki pewnie by powiedział, że wprawdzie nie ma pani Valencescu, ale jest pan Valencescu. Takie nazwisko zapada w pamięć.

- No dobrze, dziękuję. - Odłożyłem słuchawkę. Wstałem i przeciągnąłem się.
- Nie poznaję cię, Alex.
- Warto było spróbować - stwierdziłem.
- Dzięki. Teraz dajmy sobie spokój.
- Nie tak szybko. Mam jeszcze jeden pomysł.
- Jaki znowu?
- Jej brat... Czym się zajmował w 1971 roku?
- Malowaniem ścian. Jak ojciec.
- I robił to dobrze, prawda?
- No tak, więc...

- Jak myślisz, czym się teraz zajmuje?
- Pewnie nadal jest malarzem.
- Założmy, że tak. I że wciąż mieszka w okolicy.
- No, niewykluczone.

Znów wziąłem książkę telefoniczną.

- Nie widzę go w dziale „Malarze”, ale to jeszcze nic nie znaczy. Większość takich fachowców znajduje zajęcie z polecenia i nie reklamuje się na żółtych stronach. Przypuśćmy, że tak właśnie jest w jego przypadku. I co może teraz robić?

- Maluje?
- Dobrze - odparłem. - Sądysz, że nadal zmusza ludzi, żeby mówili do niego Leopold?
- Założę się, że tak.
- Więc co się dzieje, kiedy Leopoldowi brakuje farby?
- Dokupuje ją.
- Dokupuje - powtórzyłem. - A gdzie?
- W sklepie z farbami?
- A potem, kiedy potrzebuje jeszcze więcej farby?
- Też w sklepie z farbami?
- W tym samym sklepie z farbami - poprawiłem go. - Mam tu ze czterdzieści takich sklepów w Detroit i okolicach. Idź skombinuj coś na obiad, dobrze?

Zacząłem obdzwaniać te numery. Strzelałem w ciemno, ale gdybym nie spróbował, nie dawałoby mi to spokoju.

Wybrałem pierwszy numer i zacząłem gadkę:

\_ - Witam, nie było tam u was może Leopolda? - Dzięki Bogu za nietypowe imię. Gdyby nazywał się Al, nie miałbym najmniejszych szans.

- Leopolda? Nie znam nikogo takiego, proszę pana.

- O, chyba pomyliłem numer. Przepraszam.

Potem dziesiąta rozmowa. Dwudziesta.

A za dwudziestym pierwszym razem...

-Leopolda?- usłyszałem w słuchawce. - Dzisiaj nie. Był... w poniedziałek.

Zamarłem. Boże, udało się.

- Halo? Proszę pana?

Chciałem wyjaśnić prosto z mostu, kim jestem i dlaczego szukam Leopolda. Ale zaraz przypomniało mi się, co opowiadał Randy. O tym, jak bardzo Leopold go nienawidził. I o tym, że omal nie zabił go na ulicy w 1971 roku. Miałem dwie sekundy na decyzję, który wariant wybrać. Postanowiłem grać.

- Aha, przepraszam - odezwałem się. - Wie pan co, będę z panem szczerzy. - Akurat, szczerzy jak cholera, pomyślałem. - Pożyczyłem od Leopolda sześciometrową drabinę. Jeśli mu dzisiaj jej nie oddam, to mnie udusi. Wie pan, jaki on jest.

- Ba, jasne - odparł. - Dziwne, że w ogóle coś panu pożyczył.

- Podobno ma teraz jakąś fuchę, tylko zapomniałem gdzie. Wie pan może? Podskoczyłbym do niego i po sprawie.

- Nie, nie mówił, gdzie robi.

Cholera! Myśl, myśl, Alex.

- No to po mnie - jęknąłem. W porządku, teraz spróbujmy strzału w dziesiątkę. - Mam! Podjadę do niego do domu, co? Zostawię mu drabinę w ogródku i już. Może w ogóle zapomni, że ją brałem. Jak pan myśli, uda się?

- Ze też on cokolwiek panu pożyczył. Nie do wiary.

- Prawda? Musiałem trafić na jakiś dobry dzień. Kiedyś byłem u niego w domu. Kurczę, gdzie to jest. Przy... - Zawiesiłem głos. Oblewał mnie pot. No już, chwyc przynętę.

- Przy Romney Street - dopowiedział.

- Właśnie, racja! Przy Romney Street. Podjadę tam zaraz i podrzucę mu drabinę.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- To nie przejdzie, przyjacielu.

- Chyba ma pan rację - odparłem. - Ale spróbuję.

- Powodzenia.

- Chwileczkę, dziękuję za pomoc. A ten dom... to taki biały, co?

- Nie mam bladego pojęcia. W życiu u niego nie byłem. Adres znam z faktur.

- A, no jasne. Dobra, nie ma co. Jakoś znajdę.

- Moment, poszukam - zaoferował się sprzedawca. - Romney Street 1740.

- Właśnie, jakoś tak - zawołałem podekscytowany. - Człowieku, życie mi uratowałeś. Wielkie dzięki.

- Nie ma sprawy. Tylko proszę nie mówić, że to ja pomogłem panu podrzucić drabinę.

- Ha! Jasne. Dzięki raz jeszcze.

Odłożyłem słuchawkę i powoli wypuściłem powietrze.

Kiedy Randy wrócił zjedzeniem z McDonalda, ja zdążyłem już znaleźć ulicę na mapie. Leżała w Farmington Hills, przedmieściu klasy średniej na północny zachód od Detroit.

- Wygląda na to, że Leopold awansował - powiedziałem.

- O czym ty mówisz?

Podniosłem kartkę z zapisanym adresem.

- Chodź, to ci pokażę.

Farmington Hills było kiedyś jednym z ładniejszych przedmieść Detroit. Taka prawie wieś, z wielkimi domami na dwudziestoarowych działkach. Przy ulicy stały tradycyjne skrzynki na listy z chorągiewką. Nie mogłem uwierzyć, jak bardzo wszystko się tu zmieniło.

- Pamiętam to skrzyżowanie - powiedziałem, kiedy przejeżdżaliśmy obok centrum handlowego. Miało wszystkie sieciowe placówki: wypożyczalnię filmów Blockbuster, bar kanapkowy Subway, lodziarnię TCBY. - Przysięgam, stała tu tylko stacja benzynowa.

- Tak, a właściciel sam wychodził nalewać benzynę, umył szybę i jeszcze zakręcił korbą w samochodzie.

- Randy, upłynęło zaledwie piętnaście lat.

- Postęp, stary.

Na Halstead Road panował ogromny ruch. Kiedyś to była senna dwujezdniowa droga wijąca się pośród zielska i piachu. Znaleźliśmy właściwy kwartał obok pięciu innych nowych kwartałów. Minęliśmy kilkadziesiąt domów, najwyraźniej dopiero



co zbudowanych. Przecięliśmy Corriedale Street i w końcu dotarliśmy do Romney.

- Owce - powiedział nagle Randy.

- Co?

- Corriedale i Romney. To rasy owiec. Chyba kończą im się pomysły na nazwy ulic.

Sprawdzaliśmy numery na skrzynkach, aż dojechaliśmy do 1740. Dom w wiejskim stylu z półpiętrem stał ze trzydzieści metrów od drogi.

- Ładny trawnik - zauważył Randy.

- Nie widzę nazwiska na skrzynce.

- To co robimy?

- Zapukamy i zapytamy o Leopolda - odparłem. - Wielkie mi co.

- No tak, masz rację - stwierdził. - Wielkie mi co.

Skręciliśmy na podjazd - asfaltowy z niedawno odnowioną nawierzchnią. Zatrzymałem furgonetkę przed małym czerwonym autkiem.

Szliśmy do drzwi, mijając rząd rododendronów, które długo będą odzyskiwać formę po ostrej zimie. Zadzwoniliśmy.

Drzwi otworzyła dziewczyna - szesnaście, siedemnaście lat, ubrana w strój do softballu. Na koszulce widniała litera „F”. Liceum w Farmington. Uśmiechnęła się do mnie. Spojrzała na Randy'ego i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Cześć - przywitałem się. - Czy to dom państwa Valenescu?

Uśmiech zniknął jej z twarzy.

- Nie, przykro mi. Nikt taki tu nie mieszka.

- I nie masz w rodzinie nikogo, kto by tak się nazywał? Na przykład Maria Valenescu? Kiedyś mieszkała w Detroit. Córka Gregora i Arabelli.

- Nie, przykro mi - powtórzyła.

Uniosłem oczy ku niebu.

- W porządku. - Nagle poczułem się bardzo zmęczony. - Przepraszamy za najście. Grasz w softball?

- Tak. Jestem miotaczem.

- Patrz. - Walnąłem Randy'ego w tors. - Kolejny miotacz na chwałę świata. - Kiedy zobaczyłem jego minę, znieruchomiałem.

- Randy?

Wpatrywał się w dziewczynę.

Spojrzałem na nią i znów na niego.

- Randy, co się dzieje?

Nie odrywał od niej wzroku.

- Jak masz na imię? - wykrztusił w końcu.

Przełknęła ślinę.

- Delilah.

- Pięknie - wymamrotał.

- Dziękuję. - Ukradkiem zerknęła na kłamkę.

- Delilah - odezwał się Randy. - Mogę cię o coś zapytać?

- Spieszę się na trening. Wpadłam tylko po strój.

- Jesteś córką Marii, prawda? - Randy nie dawał za wygraną.

Delilah pokręciła głową.

- Mówiłam, nikt taki tu nie mieszka.

- W takim razie córką Leopolda - stwierdził. - To możliwe.

Jesteś bratanicą Marii.

- Nie - upierała się. - Nazywam się Delilah Muller i nie mam pojęcia, o czym panowie mówią. - Wyglądała na lekko przestraszoną.

- Przepraszam. - Stanąłem krok przed Randym. - Wybacz mojemu koledze. - Odwróciłem się do niego. - Co ty, do cholery, wyprawiasz?

- Ta dziewczyna... - Spojrzał na nią przez moje ramię. - Ten piękny anioł...

- Nie jest tym, kim myślisz - odpowiedziałem. - Sam słyszałeś. Co ty kombinujesz?

- Alex, wiem, że to ona.

- Chodź. - Złapałem go za ramię i zacząłem ciągnąć do samochodu. Kiedy odwróciłem się, żeby znów przeprosić, drzwi były już zamknięte.

Randy strząsnął moją rękę i usiadł w fotelu pasażera. Zająłem miejsce za kierownicą, trzasnąłem drzwiami i przejechałem na

wstecznym cały długi podjazd aż do głównej drogi.

Dopiero na 1-275 w końcu spojrzałem na Randy'ego. Siedział z rękoma między kolanami. Wpatrywał się w maskę auta.

- Co z tobą, do cholery? - zapytałem. - Wystraszyłeś tę dziewczynę. Siedzi sama w domu, a ty przyłazisz i ją nękasz.

Nic nie mówił, to i ja zamilkłem. Autostrada międzystanowa zwęziła się do jednego pasa, więc wlekliśmy się w korku. Kolejne roboty drogowe.

- To jej córka - odezwał się w końcu.

- Słyszalesz, co mówiła?

- Mam gdzieś, co mówiła. To córka Marii.

Gdybym mógł, zjechałbym na pobocze, ale i tak ledwo się poruszaliśmy. Autostrada 1-275 ma pięć pasów na północ i pięć pasów na południe. W kierunku południowym czynny był jeden. Resztę przeorali robotnicy.

- Randy, skąd taka pewność, że to dziecko Marii?

- Alex, sam znalazłeś ten dom. Mieszka tam malarz pokojowy Leopold. Czy to tylko zbieg okoliczności?

- W gruncie rzeczy tak.

- Nie - upierał się. - Nie.

- Ile ona ma? Szesnaście, może siedemnaście. A ty nie widziałeś Marii od 1971 roku, zgadza się?

- Uhm.

- I nie odzywała się do ciebie ani ty nic nie słyszałeś o niej, tak? Nie wiesz, co się z nią działo po 1971 roku?

- No tak.

- A ta dziewczyna urodziła się około 1983 roku.

- No tak, nie ma innej możliwości - przyznał. - Maria musiała ją wtedy urodzić.

Podjechałem o kolejny metr. I znów stanąłem. W tym tempie do września nie zjedziemy z 1-275.

- To czemu ona o tym nie wie? Myślisz, że nie zna własnej matki?

- Owszem zna - upierał się Randy. - Ale kłamała.

Milczałem. Brakowało mi słów.

Temu facetowi odbiło. Przejechałem kolejny metr.

- Alex, musimy wrócić.

- Boże miłosierny - jęknąłem. - Nie wierzę własnym uszom.

- Musimy. Zawróć.

- Nic z tego.

- Zawracaj.

- Randy, Bóg mi świadkiem, nie zawrócę za żadne skarby.

Zresztą i tak tkwimy tu jak kołki w płocie.

Mógłbym wysiąść z samochodu i spokojnie wysikać się pod tylnym kołem. Robotnicy drogowi mijali nas na piechotę.

- Muszę z nią jeszcze raz porozmawiać - upierał się. - Muszę jej coś jeszcze powiedzieć.

- Ciekawe, co takiego.

Milczał przez chwilę.

- Ze nie mam żalu, jeśli kłamie, bo tak kazała jej matka. Zrozumiałem. To wszystko.

- Zaraz, myślisz, że Maria kazała córce uważać na ciebie, na wypadek gdybyś wrócił po trzydziestu latach? Wtedy dziewczyna ma ci powiedzieć, że nie jest jej córką, żeby zmylić pogoń.

- To nie do końca tak.

- Dlaczego nie? Może dzwoniła nawet dzisiaj rano, żeby jej o tym przypomnieć.

- Alex, zawracamy. Musimy. Przepraszę tę dziewczynę i odwieszasz mnie na lotnisko. Koniec, kropka.

Miałem jeszcze dziesięć minut, żeby to przemyśleć, patrząc, jak maszyny przerabiają cztery południowe pasy autostrady na księżycowy krajobraz. W końcu dowlekleliśmy się do zjazdu. Skręciłem.

- Dziękuję - powiedział Randy.

- Przepraszasz i znikamy - przypomniałem.

- Nie ma sprawy.

- Ze też mnie podkusiło jeszcze obdzwaniać sklepy z farbami - mruknąłem. - Cudowny pomysł, naprawdę.

Wróciliśmy na Telegraph Road i przejechaliśmy cały kawał aż do Nine Mile Road. Po drodze musieliśmy zatrzymać się na

światłach, ale i tak było o wiele szybciej niż na 1-275. Znow odzyskaliśmy właściwy kwartał, właściwą ulicę i właściwy dom. Na podjeździe obok czerwonego autka zobaczyliśmy białą furgonetkę z drabinami z tyłu.

- Wygląda na to, że jest Leopold - zauważył Randy. - To dobrze. Ba, może mnie nawet pamięta.

- Wiemy już, że to nie ten facet - schłodziłem go. - Ale właściwie żałuję, że to nie on. Chętnie posłuchałbym waszego dialogu: Cześć, pamiętasz mnie? Puknąłem twoją siostrę, kiedy miała dziewiętnaście lat.

- Naprawdę bardzo zabawne, Alex.

Podeszliśmy do drzwi.

Randy stanął przede mną i zadzwonił.

Czekaliśmy.

Znow zadzwonił. Cisza.

W końcu drzwi się otworzyły. Spojrzał na nas jakiś mężczyzna. Niski, w białym kombinezonie malarskim.

- Leopold? - odezwał się Randy. - To ty?

Mężczyzna tylko patrzył.

- Przepraszamy za najście - ciągnął Randy. - Byliśmy tu wcześniej. Rozmawialiśmy z...

Mężczyzna szerzej otworzył drzwi.

- Rozmawialiście z Delilah.

- Chyba mnie nie pamiętasz.

Przyjrzał się Randy'emu. Miał ciemne oczy.

- Nie, nie pamiętam.

- Jestem... - Odchrząknął i przez chwilę patrzył na czubki swoich butów. - Leopoldzie, jestem dawnym przyjacielem Marii. Twojej siostry.

Stałem obok i obserwowałem tę scenę z niedowierzaniem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Zapraszam - powiedział.

Wytrześliśmy buty i weszliśmy do domu. Tam po raz pierwszy dobrze przyjrzałem się Leopoldowi. Ważył nie więcej niż siedemdziesiąt kilo, ale miał ręce boksera. Wyglądał jak

zawodnik wagi koguciej.

Stał i uśmiechał się do nas. Aż nagle drzwi się poruszyły. Wyszedł zza nich inny mężczyzna. Młodszy. I o wiele większy.

Uderzył mnie, zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje. Próbowiałem zrobić unik przed następnym ciosem, ale dostałem w skroń. Padłem, słysząc dzwonki w uszach i czując metaliczny smak w ustach – mieszanka krwi, adrenaliny i nagłego przerażenia. Nie wiedziałem, co z Randym. Wielki mężczyzna stał nade mną gotów znów mi przyłożyć, więc wybrałem punkt pośrodku jego ciała i zaatakowałem barkiem. Zabolało faceta, ale najwyraźniej za mało. Poczulem ręce na szyi. Miał uścisk niedźwiedzia. Dusił mnie.

Chwyciłem go za dłonie. Nic z tego. Umrzesz tu, Alex.

Nie, jeszcze masz szansę. Jest jeden sposób. Pokazał ci go ktoś dawno temu...

Prawą rękę oparłem o jego nadgarstki i nacisnąłem jak najmocniej. Upadłem na podłogę. Poleciał ze mną. Zaklął. Na twarzy poczułem jego gorący oddech. Rąbnął mnie z byka i wyszarpnął swoje ręce.

Udało się? Połamałem mu nadgarstki? Zanim zdążyłem złapać oddech, poznałem odpowiedź. Dostałem cios w kark jedną albo obiema rękami. A może jakimś żelastwem. Nieważne. Przestałem stawiać opór.

Jedną ręką za koszulę, drugą za pasek – ktoś mnie podnosił albo ciągnął. A potem zaliczyłem długi lot po schodach. Uderzyłem w każdy jeden stopień, a było ich z pięćset albo i tysiąc. A potem padłem twarzą na coś miękkiego. Jakiś dywan. Dzięki ci Boże w niebiosach za dywany u stóp schodów. Straciłem przytomność.

## Rozdział 10

OTWORZYŁEM OCZY. Białe płytki aż do sufitu. Jasne jarzeniówki. Myślałem, że jestem w szpitalu. Budzę się i widzę nad sobą twarz lekarza. „Stracił mnóstwo krwi – mówi ktoś. – Trzeba zostawić tę kulę w środku”.

Ale nie byłem w szpitalu. Skupiłem wzrok na maszynach. Sterty metalowych kółek, błyszczące pręty. Lustro na przeciwległej ścianie.

Piwnica. Jestem w piwnicy. Wokół chyba wszystkie możliwe sztangi, ławeczki i maszyny do wyciskania. W górze świeciły jarzeniówki, tak mocno, że aż oczy bolały. Siedziałem plecami do ściany. Lewa ręka wisiała mi nad głową. Podniosłem wzrok. Kajdanki związane na nadgarstku przełożono przez kółko przymocowane do ściany. Drugą obręczką kajdanek zatrzaśnięto na drugim nadgarstku. Ale nie moim.

Obok siedział Randy.

- Cześć stary - odezwał się. - Witaj wśród żywych.

- Randy - wymamrotałem. Na dolnej wardze poczułem krew. Językiem wymacałem pęknięcie.

- Jak się czujesz?

- Co się stało?

- Nie wyglądasz najlepiej.

- Randy, co się, do kurwy nędzy, stało?

- Sam nie wiem - odparł.

Nabrałem powietrza. W porządku, oddycham. Lewe kolano bolało, ale mogłem je zginać. Poruszyłem rękoma. Metal kajdanek wrzynał się w skórę. Zapomniałem już, jak boli, kiedy za mocno szarpnie się kajdankami. Pokręciłem głową.

- Boże - jęknąłem. - Boli.

- Będziesz żył?

- Chyba tak. A ty? - Spojrzałem na niego. Nawet go nie drasnęli.

- Nic mi nie jest - odparł.

- Chwileczka... Ten wielki facet za drzwiami...

- Rzucił się na ciebie - wyjaśnił Randy. - Leopold tylko podniósł strzelbę i wycelował mi między oczy. Próbowałem powstrzymać olbrzyma, żeby cię nie okładał, ale Leopold groził, że zastrzeli nas obu.

- Pięknie - stwierdziłem. - I to właśnie mnie postanowił obić i rzucić ze schodów.

- Byłeś najbliżej - powiedział Randy. - Ot, traf losu.

- Wiesz już, dlaczego się na nas wściekli? - Potarłem kark wolną ręką.

- Nie mam pojęcia - odparł Randy. - Minęło trzydzieści lat, ale może do dziś jest na mnie zły, co?

- Nieważne - westchnąłem. - Widać, że chcą nas tu trochę po-trzymać. A gdzie oni w ogóle są?

- Poszli na górę. Założyli nam kajdanki i prosili, żeby się roz-gościć.

- Mówiłeś coś do nich? Zapytałeś, po co to robią?

- Jasne. Kazali mi się zamknąć.

- Nie rozumiem. A ty coś chwytasz?

- Chyba da się jakoś je otworzyć, co? - Potrząsnął kajdankami.

- Przestań. Boli jak cholera.

- Może wytrychem? - dopytywał. - Zawsze jest jakiś sposób.

- Randy, to prawdziwe kajdanki. Nie otworzymy ich spinaczem, który akurat masz przypadkiem w kieszeni. To nie film.

- Ale jako glina używałeś takich zabawek, prawda? Musisz wie-dzieć, jak to otworzyć.

- Nie ma mowy. Chyba że.... Damy radę wstać?

Naparłem z całej siły na ścianę i próbowałem podciągnąć stopy. Ból eksplodował w kolanie, prawej ręce, karku, głowie. Boże, głowa. W połowie drogi musiałem odczekać chwilę, aż ustanie tępe łupanie.



- Porządnie wmurowane. - Randy szarpnął za kółko. - Trzeba by jakiegoś wielkiego klucza, żeby je wyrwać. Nie widzisz gdzieś klucza?

- Randy, zaraz padnę.

- Gdyby jakiś leżał w pobliżu, to może jeden z nas by dosięgnął!...

Podniosłem głowę. Wielki błąd.

- O Boże -jęknąłem. - Niedobrze.

- Nie widzę żadnej skrzynki z narzędziami, a ty?

- Tylko sztangi i ławeczki.

- To chyba tutaj ten wielki nabrał mięśni - zauważył Randy. - Popatrz tylko, ma całą siłownię.

- Uwierz mi, stary, na pewno nie opuścił żadnego treningu - wymamrotałem.

- To kółko w ścianie chyba też służy mu do ćwiczeń. Patrz, jest ich więcej.

- Siadam - ostrzegłem. - Muszę koniecznie usiąść. - Potarłem odrętwiałą lewą rękę i osunąłem się po ścianie.

Randy usiadł obok. Z góry dochodziły nas jakieś głosy, ale nie słyszeliśmy poszczególnych słów.

- Ładna piwnica - stwierdził Randy. - Ktoś się postarał. Ciekawe, czy sami wykańczali?

- Randy, co ty, do cholery, wygadujesz?

- Po prostu mówię, że ładnie tu mają. Skoro już musieliśmy dostać po pyskach i trafić do piwnicy, to w sumie dobrze, że do takiej.

- Jaja sobie robisz?

- Alex, staram się tylko, żebyśmy nie upadli na duchu. Nie możemy się poddać.

- „Nie możemy się poddać?” Słyszysz sam siebie? Odbiło ci? My się już dawno poddaliśmy, Randy. Przywiązali nas łańcuchem w pieprzonej piwnicy i Bóg jeden wie, czego będą chcieli, kiedy tu zejdą. Mamy jedną jedyną szansę, żeby się z tego wykaraskać. Musimy ich przekonać, że popełnili błąd. Pomylili się, rozumiesz? Najwyraźniej wzięli nas za kogoś

innego.

- Staramy się tylko odszukać jego siostrę. Co w tym złego?

- Ty mi powiedz - westchnąłem.

Ale zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszeliśmy kroki na schodach.

Najpierw zobaczyliśmy nogi w białym malarskim kombinezonie. Tuż za Leopoldem zszedł drugi, większy mężczyzna. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć i ważył ze sto dziesięć kilo. Trudno stwierdzić. Mięśnie ważą o wiele więcej niż tłuszcz, a ten był umięśniony jak cholera. Miał na sobie workowate szare spodnie od dresu i białą koszulkę z szerokim kołnierzykiem. Standardowy strój kulturysty.

- Panowie - odezwał się Leopold. - Mam nadzieję, że wam wygodnie.

- Poprosimy już o rachunek - zakpił Randy.

Dałbym mu kuksańca w zębra, ale to bardziej zabolałoby mnie niż jego.

- Dobrze - mruknął Leopold. - Naprawdę niezłe.

Miał ciemne oczy i trochę śródziemnomorską urodę. Ale mówił normalnym akcentem ze Środkowego Zachodu. Pod prawą pachą trzymał strzelbę.

Ten większy usiadł na ławeczce. Miał taki same oczy i czarne włosy. Bez wątpienia syn Leopolda. Masował sobie nadgarstki. Musiało go zabołec, kiedy próbowałem wykonać blokadę ręki. Ale nie było mi go żal.

- Zaszło nieporozumienie - odezwałem się. - Nie wiem, za kogo nas bierzecie, ale...

- Doskonale wiem, kim jesteście - przerwał mi Leopold. Odłożył strzelbę na drugą ławeczkę, potem wyszukał w wielkich kieszeniach dwa portfele. - Spójrzmy... - Otworzył pierwszy z nich. Odsunął go od twarzy i zmrużył oczy. - Alex McKnight. Prywatny detektyw. Detektywi Prudell-McKnight. Ładnie brzmi, ale ta wizytówka wygląda trochę obciachowo. Co to ma być? Dwa pistolety? Wyglądają, jakby do siebie strzelały.

- Przekażę te uwagi współnikowi - wymamrotałem.

- Aha, współnikowi - mówił dalej. - A w ogóle gdzie on się po- dziewa? Myślałem, że to jest twój współnik. - Spojrzał na Randy'ego i otworzył drugi portfel. - Ale okazuje się, że to pan Randall Wilkins. Z Los Angeles. Kawał drogi, panie Wilkins.

- Mówiłem już - odezwał się Randy. - Chciałem tylko znaleźć twoją siostrę.

- A skoro już o tym mowa - podchwycił Leopold. - Dlaczego jej szukasz?

Randy się zawahał.

- Poznałem ją w Detroit - zaczął. - Dawno temu. W 1971 roku, kiedy powołali mnie do Tygrysów.

- Grałeś w baseball? - zdziwił się Leopold. - W Tygrysach?

- Tak. Poznałem ją, kiedy... mieszkaliście przy Leverette Street. Nie pamiętasz, jak mnie z nią zobaczyłeś? Pewnego dnia wpadliśmy na siebie na ulicy nad rzeką.

- W 1971 roku? Szmata czasu.

- Chciałem ją odnaleźć - przekonywał Randy. - Właśnie po to przyjechałem aż do Michigan. Mój przyjaciel Alex mi pomaga.

- Twój przyjaciel, prywatny detektyw.

- Owszem, jest prywatnym detektywem - przytaknął Randy. - Ale przede wszystkim dobrym człowiekiem, który nie opuścił w potrzebie starego druha z drużyny. Kiedyś razem graliśmy.

Leopold spojrział na mnie.

- Pewnie też grałeś w Tygrysach, co?

- Nie. Mnie nie powołali.

- Ojej - drwił. - Szkoda, co Anthony?

- Jak cholera - odezwał się mięśniak po raz pierwszy.

- Anthony - wtrącił się Randy. - Jesteś synem Leopolda?

- Tak.

- A Delilah? To twoja siostra czy...

Leopold zbliżył się do nas o krok. Oczy mu pociemniały.

- Nie wymawiaj więcej jej imienia - ostrzegł. - Nie wystarczy, że przyjechałeś i ją wystraszyłeś? Ze maglowałeś pytaniami o...

- O jej matkę - wpadł mu w słowo Randy. - Jest córką Marii, prawda?

Leopold odwrócił się. Zaczął szperać w stercie ciężarków, rękawic i pasów, aż w końcu wyciągnął poprzeczkę do hantli. Miała prawie pół metra długości. Kiedy ją podniósł, wypolerowany metal zabłyszczał.

Leopold znieruchomiał na chwilę i zamknął oczy. W końcu wstał i podszedł do nas powoli z prętem w prawej dłoni.

- On was wysłał - bardziej stwierdził niż zapytał.

- Kto? - zdziwiłem się.

- Dobrze wiecie kto.

- Nie. Randy szuka Marii. Nie widział jej od trzydziestu lat.

- To prawda - przytaknął Randy. - Chciałem tylko...

- Na nic lepszego was nie stać? - przerwał mu Leopold. - Base- balliści sprzed trzydziestu lat? Niech zgadnę. Chcieliście powiedzieć, że obaj graliście w pierwszej lidze, ale uznaliście, że to by było zbyt naciągane. Więc ciągnęliście losy, który ma być tym lepszym? - Zaczął kołysać prętem.

- Popęlniasz błąd - zauważyłem.

- Gdzie on jest? - ciągnął Leopold. - Gdzie teraz mieszka?

- Nie mamy pojęcia, o kim mówisz - upierałem się.

- W Los Angeles? - dopytywał Leopold. - Wysłał cię, żebyś ją znalazł. A ty wynająłeś tego tu, żeby ci pomógł.

- Nie - przekonywał Randy. - Uwierz nam, my tylko...

- Od jak dawna siedzicie w samochodzie i obserwujecie dom?

- Leopold puszczał mimo uszu nasze zapewnienia.

- Nie obserwowaliśmy was - zapewniałem.

- Mówimy prawdę - popiera! mnie Randy.

- Najpierw pojawił się Cadillac. - Leopold zaczął kręcić prętem jak pałką - Chyba naprawdę jesteście kretydami. Sądziście, że nie zauważymy wielkiego białego cadillaca?

- To nie my - jęknąłem. - Znaleźliśmy was dopiero dzisiaj.

- To coś waży ponad dwa kilo - poinformował nas. Przerzucił pręt do drugiej dłoni. - Mogę was tym niezłe przetrącić. Nie wiem, ile on wam płaci, ale dla tych pieniędzy nie warto dać sobie połamać wszystkich kości. Zrozumcie, panowie. Zrobię to, jeśli będę musiał. Nie chcę, ale nie mam wyjścia. Za długo już

gramy w tę grę z Har-woodem. Czas się bronić.

- Na litość boską - przerwałem mu. - On nas nie wystął. Ktokolwiek to jest. Harwood? Tak się nazywa?

Pokręcił głową.

- Nie zmuszajcie mnie do tego - mówił. - Nie jestem porywczym człowiekiem.

Podniósł pręt nad głowę. Wyglądało na to, że ja oberwę pierwszy. Napiąłem ciało, gotów do uniku. Ale Leopold patrzył na moją lewą rękę. W kajdankach nie miałem szansy uniknąć ciosu. Wybrałem punkt na jego nodze, tuż pod kolanem. Jeszcze jeden krok, to go tam kopnę.

Upuścił pręt. Metal miękko łupnął na wykładzinę.

- Mam lepszy pomysł - powiedział nasz gospodarz.

Pokręciłem głową.

- Robisz wielki błąd.

Wrócił do ławeczki po strzelbę.

- Który pierwszy?

Żaden z nas się nie odezwał. Strzelba była klasyczna, łamana, z dwiema wielkimi lufami. Widok takiej broni zawsze budzi nerwowość.

- Może ty? - Wycelował w Randy'ego. - Gdzie wolisz dostać?

- Nie strzelaj! - zawołałem.

Leopold odwrócił strzelbę do mnie.

- Wydawało mi się, że jesteś tylko osiłkiem do wynajęcie. Ile ci płaci?

- Nic a nic - wyjaśniłem. - On mówi prawdę.

- Widziałeś kiedyś, jaką krzywdę potrafi zrobić taka strzelba?

- Tak - odparłem. - Byłem policjantem.

- Gdybym przyłożył lufę do twojego lewego kolana i pociągnął za spust, ile by z niego zostało?

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem tylko w te dwie lufy. Leopold powoli obniżał je do poziomu mojego kolana.

- Właściwie nic by nie zostało, prawda?

Zamknąłem oczy. Czekałem na strzał.

- Leopold!

Głos dobiegał z góry. Otworzyłem oczy.

- Leopold! Co ty tam robisz?

- O Boże - westchnął Leopold. - Anthony, idź zobacz, czego chce babcia.

Chłopak zerwał się z ławeczki i ruszył na górę. Ale dotarł tylko do połowy schodów i stanął.

- Babciu, co ty robisz?

- Zejdź mi z drogi - rozkazała. - Schodzimy do piwnicy.

- Nie możesz - protestował.

- Akurat nie mogę! Z drogi, mówię! I włóż coś porządnego!

Anthony zszedł z powrotem, bezradnie unosząc ręce. Leopold stał przez chwilę bez ruchu, nasłuchując, jak skrzypi jeden stopień, potem drugi. W końcu zabrał strzelbę i sam zaczął wchodzić na górę, ale nie przeszedł więcej niż trzy schodki.

- Leopold! Kogo tu trzymacie?

- Mamo, wracaj do siebie! Delilah, zabierz babcię!

- Ona tego nie zrobi! Po co ci ta strzelba? Co się tu dzieje?

- Mamo, proszę! Błagam! Nie powinnaś wstawać!

- Niszczysz dom! Widziałeś, jak wygląda salon? Na litość boską, co się z tobą dzieje? Hałasujesz tak, że umarłego byś obudził.

- Mamo, rozkazuję ci wrócić na górę, i to już!

Stał jak skamieniały. Usłyszeliśmy dwa kolejne skrzypnięcia i głos kobiety, już nieco ciszej:

- Kochanie, zejdź mi z drogi.

Odsunął się. Kobieta pokonała dwa ostatnie stopnie wsparta na ramieniu Delilah. Miała z dziewięćdziesiąt lat. Na twarz spadało jej pojedyncze pasemko białych włosów związanych do tyłu. Trzymała się wnuczki, nawet kiedy już zeszła ze schodów. Wraz z nią w piwnicy pojawił się ostry zapach mentolu.

- Co to za ludzie? - zapytała.

- Harwood ich wysłał - odparł Leopold. - Szukają Marii.

- Czy to prawda? - zwróciła się do nas.

- Owszem, szukamy Marii - odezwał się Randy. - Madame Waleska. Pamiętam panią.

- Ale nie znamy żadnego Harwooda - wtrąciłem.
- Kłamią - rzucił Leopold.
- Niech im się przyjrzę - powiedziała.
- Nie zbliżaj się do nich - ostrzegł Leopold.
- Bądź cicho, synu.

Delilah szła krok w krok z babcią.

Wyglądało na to, że się nas boi, ale staruszka miała spokojną minę. Leopold stał, zagryzając wargę. Anthony podniósł pręt od hantli i czuwał w pogotowiu, gotów się na nas rzucić, gdybyśmy tylko krzywo mrugnęli.

Staruszka zatrzymała się przed Randym.

- Poznaję cię - stwierdziła.
- Nazywam się Randy Wilkins.
- Nazwiska nie pamiętam. Ale twarz, owszem.
- Przyszedłem do pani w 1971 roku - wyjaśnił. - Zęby mi pani przepowiedziała przyszłość.
- Zaraz... - Przyglądała mu się dłuższą chwilę. - Byłeś jednym z tych baseballistów. Potem wróciłeś...
- Tak, nawet kilka razy.

Zrobiła dwa kroki i spojrzała na mnie.

- A ciebie nie znam.
- Tak, widzimy się po raz pierwszy - odpowiedziałem.
- To mój przyjaciel - wyjaśnił Randy.

Zbliżyła się jeszcze o krok, na tyle blisko, że mogła dotknąć mojej twarzy.

- Kto ci to zrobił? Mój syn?
- Ja - przyznał się Anthony. - Ale oka nie ruszyłem. Już miał opuchnięte.
- Mówi, że oka nie ruszył. Wszystko poza okiem. Mój wnuk byłby świetnym prawnikiem, gdyby nie paradował cały czas w tej piżamie. - Mrugnęła do mnie.
- Mamo, nie rozumiesz - odezwał się Leopold.
- Puśćcie tych panów - poleciła.
- Mamo, nie możemy pozwolić, żeby znaleźli Marię.
- A kto mówi, że ją znajda? Maria jest bezpieczna. Doskonale

o tym wiesz.

A teraz zaprowadź panów na górę, poczęstujemy ich herbatą.

Kilka minut później siedziałem przy stole wjadalni naprzeciwko tych samych mężczyzn, którzy wcześniej zrzucili mnie ze schodów i grozili, że odstrzelą mi kolano. Nie mogłem zapanować nad adrenaliną. Ręce wciąż mi drżały. Randy siedział obok i choć raz gdzieś zniknął cały jego urok, żarciki i talent do zjednywania sobie ludzi. Madame Waleska zajmowała miejsce u szczytu stołu i patrzyła na nas ciemnymi uważnymi oczyma. Pod nosem miała cienką rurkę biegnącą do zbiornika z tlenem stojącego na podłodze. Ciszę przerywało delikatne syczenie.

Randy w końcu streścił Madame Waleskiej powody naszego przyjazdu. Pominął tylko szczegóły na temat zażyłości, w jaką wszedł z jej córką. Opowiadał jak nastolatek, który tłumaczy się przed rodzicami, a Madame Waleska obserwowała jego twarz, nawet nie kiwając głową. Delilah stała za krzesłem, delikatnie masując barki babci. Kiedy Randy skończył, usiadł wygodniej z rękoma na kolanach.

- Niezwykła historia - powiedziała. - Po tylu latach pamięta pan moją córkę i próbuje ją odnaleźć. Można by uznać, że to romantyczne, gdyby nie było po prostu głupie. Tyle się zdarzyło w ciągu tych lat. Na pewno nie liczy pan na to, że spotka tę samą osobę.

- Nie, oczywiście że nie - zapewnił. - Zdaję sobie sprawę, że...

- Tak pan mówi, ale obraz, jaki pan nosi we wspomnieniach, to Maria jako młoda dziewczyna, która ma całe życie przed sobą. Ta sprawa z Harwoodem mocno ją zmieniła. On jest złym człowiekiem. To demon. Zabił jej męża.

Dotknęła dłoni wnuczki.

- Delilah urodziła się sześć miesięcy po śmierci Arthura - wyjaśniła. - Nawet nie zobaczyła własnego ojca.

Dziewczyna patrzyła na nas w milczeniu.

- Maria doświadczyła tyle smutku - ciągnęła Madame Waleska.



- Piękno to wielkie brzemię. Bogowie karzą za nie ludzi. I ich bliskich. Nawet pana, panie Wilkins. Po trzydziestu latach przejechał pan taki kawał drogi, żeby znów ją zobaczyć. A pan, panie McKnight, mu w tym pomagał?

- Tak - odparłem.

- Prawdziwy przyjaciel. - Pokiwała głową. - I taką pan dostał nagrodę. Bardzo boli?

- Nic mi nie będzie.

- Myślę, że boli bardziej, niż pan okazuje - powiedziała. - Nie zdziwiłabym się, gdyby zadzwonił pan teraz na policję.

- Nie będę dzwonił na policję.

- Mój syn i wnuk są panu winni nie tylko przeprosiny - stwierdziła. - Ale mam nadzieję, że w tych warunkach przeprosiny wystarczą. Przejścia mojej córki z tym człowiekiem dotknęły nas wszystkich. Wytrąciły z równowagi. Zwłaszcza mężczyzn. Wie pan, jacy są mężczyźni. - Spojrzała na Leopolda i Anthony'ego; siedzieli ze wzrokiem wbitym w stół. - Uważam, że Gregor, mój mąż, zmarł też ze zgrzyoty. Kolejny mężczyzna, którego Maria straciła. Całymi nocami nie spał, tylko myślał o Harwoodzie. - Na chwilę zamilkła. W pokoju zapadła cisza. - Tak czy siak - odezwała się znów. - Maria jest wiele kilometrów stąd. Niełatwo mi mieszkać z dala od córki. - Znów pogładziła rękę wnuczki. - Ale teraz to najlepsze wyjście. Delilah skończy tu szkołę, a z czasem może wszystko się ułożyć.

- Dlatego właśnie zmienialiście państwo nazwisko? - zapytałem. - Walescy. Valenescu. Dziś Delilah mówiła nam, że nazywa się Muller.

- W Ameryce łatwo zmienić nazwisko - odparła. - Prawdziwe zostaje w sercu. Wiemy, kim jesteśmy.

- Co to za człowiek ten Harwood? - zaciekawilem się. - Może zdołamy pomóc.

- Aż dziw, że pan to mówi po tym, co pana spotkało w tym domu. Jest pan bardzo uprzejmy, ale to nasz demon. Nie pański.

- Nie zdradzi nam pani, gdzie jest Maria - stwierdził Randy.

- Nie mogę.

- Rozumiem. Ale niech pani przynajmniej jej przekaże, że tu byłem.

- Dobrze.

- Nie wiem, co jeszcze powiedzieć - wymamrotał Randy.

- Chyba nie ma nic więcej do dodania - uznała.

I miała rację. Wkrótce potem wyjechaliśmy. Między nami mężczyznami zapanował kruchy pokój. Randy i ja próbowaliśmy wybaczyć Leopoldowi i Anthony'emu to, co nam zrobili, a przynajmniej zrozumieć ich stan umysłu. Z kolei Leopold i Anthony próbowali uwierzyć, że naprawdę nie mieliśmy związków z demonem Harwoodem, że nasze pobudki są niewinne, choć mało rozsądne. Ani jeden, ani drugi nie wyglądał na przekonanego. Znów zaczął kropić deszcz, taki jak rano, ale teraz wydawało się, że od poranka minął przynajmniej rok.

Zajechałem do pierwszego napotkanego baru. W milczeniu wypiliśmy po lufce.

- Interesujące to było, prawda? - stwierdził w końcu.

- „Interesujące”, mówisz?

- Boże, Alex...

- Co teraz? - zmieniłem temat.

- Podrzuć mi na lotnisko?

Omijając autostradę, jechaliśmy do Detroit przez kolejną godzinę. Randy całą drogę wyglądał przez okno. Raz za razem włączałem i wyłączałem wycieraczki, bo deszcz to przechodził, to znów padał.

Na lotnisku zatrzymałem furgonetkę przy hali odlotów.

- Masz rozkład? - zapytałem. - Kiedy jest następny lot?

- Nie wiem - odparł. - Sprawdzę.

- Odprowadzić cię?

- Nie, dam sobie radę. - Uśmiechnął się pod nosem.

- To może być dłuższe czekanie.

- Wracaj do domu - powiedział.

- Nigdzie mi się nie spieszy.

- Alex, wybac. Przepraszam, że cię w to wciągnąłem.

- Nie przepraszaaj.  
- Mocno oberwałeś?  
- Nic mi nie będzie. Wierz mi, już kilka razy oberwałem dużo gorzej.  
- Zapłacę ci za wszystko. - Wyciągnął zwitek banknotów.  
- Nie - zaprotestowałem. - Nic od ciebie nie chcę.  
- Przestań, tyle dla mnie zrobiłeś.  
- Jeśli chcesz dać Leonowi pieniądze, to mu je wyślij. Ja tylko pomagałem swojemu staremu miotaczowi.  
- Benzyna. Oddam ci przynajmniej za benzynę. I za jedzenie.  
- Sto docłów. I wystarczy.  
Odliczył pięć dwudziestek.  
- Terry ma dziś mecz - powiedział. W końcu zaczął mu wracać dawny błysk. - Grają przeciw UCLA. Mówiłem już, że jest łapaczem?  
- Wspominałeś.  
- Będzie dobrym zawodnikiem.  
- Pozdrów go ode mnie. Powiedz, żeby uważał na leworęcznych.  
- Myślisz, że rodzina Marii naprawdę przekaże jej, że byłem?  
- Sądzę, że tak.  
- Chyba nic z tego nie wyjdzie.  
- Pewnie nie - stwierdziłem. - Wygląda na to, że twoja Maria ma mnóstwo innych spraw na głowie. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może kiedyś. Przecież już wiesz, gdzie mieszka jej rodzina. Niewykluczone że jeszcze wrócisz.  
- Nie sądzę - odparł. - To była moja jedyna szansa. Taka jak wtedy gra w pierwszej lidze. I kolejna widowiskowa porażka.  
Zostawiłem go w tym nastroju. Pożegnaliśmy się i patrzyłem, jak wchodzi na lotnisko. Potem ruszyłem do domu.  
Czekało mnie sześć godzin jazdy, ale następnego ranka chciałem się obudzić już we własnym łóżku. Wiedziałem, że przede mną fatalny dzień. Kolano będę miał opuchnięte, nadgarstek zasiniony od kajdanek, każdy mięsień szyi naprężony jak struna fortepianu, a głowę pulsującą bólem. Ale

przynajmniej będę w domu, z aspiryną, termoforem i kanadyjskim piwem.

Zatrzymałem się pod Saginaw na kolację. Po dwóch godzinach za kierownicą już całkiem zeszywniałem. Im bardziej na północ, tym robiło się zimniej, jakbym cofał się w czasie od wiosny do zimy. Kiedy wjechałem na most Mackinac, temperatura spadła poniżej zera. Kolejna godzina jazdy przez Półwysep Górny, gdzie leżał śnieg, i w końcu dotarłem do domu. Wszedłem do chaty, rozpałem w piecu i padłem na łóżko.

Następny dzień był okropny, tak jak przewidywałem, choć nie-raz czułem się jeszcze gorzej. Po kolejnej nocy doszedłem do siebie. Pojechałem do Leona, który wciąż leżał przykuty do łóżka. Opowiedziałem mu o wszystkim. Natychmiast chciał się rzucić na tę sprawę, zadzwonić do rodziny Marii i dowiedzieć się czegoś więcej na temat Harwooda.

- Alex, prywatni detektywi rozwiązują problemy! Pomóżmy tym ludziom.

Zapewniłem go, że oferowałem pomoc, ale nie przyjęli.

Potem wpadłem do Glasgow Inn i cierpliwie odpowiadałem na pytania Jackiego. Nie, nie znaleźliśmy Marii. Owszem, oberwałem. Uhm, miałaś rację. Mówiłeś, że coś takiego znów się zdarzy. I tak przez całe popołudnie i wieczór. Kolejny kwietniowy dzień w Raju, siedzenie przy kominku. Ale tym razem czułem się inaczej, w uszach nie dźwięczały mi wieczne komentarze Randy'ego. Kilka dni w jego towarzystwie i nagle zrobiło się za cicho.

A potem zadzwonił telefon. W środku nocy. Chłodnej i surowej. Niezdarnie szukałem słuchawki. W końcu stanąłem na twardej drewnianej podłodze i słuchałem głosu z daleka.

- Pan Alex McKnight?

- Tak. Kto mówi?

- Zadzwoniłem najpierw do pańskiego wspólnika. Powiedział, żebyśmy skontaktował się z panem.

- Kto mówi?
- Zna pan Randalla Wilkinsa?
- Owszem, znam. Kto mówi?
- Howard Rudiger. Szeryf policji w Orcus Beach.
- A gdzie to jest?
- Na razie nieważne. Akurat teraz dzwonię ze szpitala Butterworth w Grand Rapids. Wie pan, gdzie leży Grand Rapids?
- Tak. Chwileczkę. Jest pan w szpitalu?
- Butterworth - powtórzył. - Ale to chyba stara nazwa. Teraz to Spectrum Health czy jakoś tak. Dokładnie przy Michigan Street w śródmieściu. Leży tu pański przyjaciel, pan Wilkins.
- W Michigan? Randy jest w Michigan? Nie rozumiem.
- Wszystko wyjaśnię, jak się spotkamy. Ile panu zajmie droga? Cztery, pięć godzin? Widzimy się o dziesiątej.
- Niech mi pan tylko powie, co się stało - poprosiłem. - Żle z nim?
- Żle - przyznał. - Pana Wilkinsa znaleziono sześć godzin temu. Został postrzelony i stracił dużo krwi. Przywieźliśmy go tutaj, bo to główny ośrodek urazowy w zachodnim Michigan. Lekarz mówi, że pan Wilkins ma teraz wstrząs po wykrwawieniu.
- Został postrzelony - powtórzyłem machinalnie. - Randy... Kto...? Jak to się stało?
- Jeszcze nie wiemy. Nie mamy świadków, a pan Wilkins, rzecz jasna, też nic nam nie powie. Chyba powinienem pana uprzedzić... pański przyjaciel może tego nie przeżyć.
- Boże przenajświętszy. Nie wierzę.
- Widzimy się o dziesiątej panie McKnight. Muszę zadać panu kilka pytań.
- O czym pan mówi? Jakich pytań?
- Niech pan przyjedzie. - Rozłączył się.

## Rozdział 11

KIEDY WSIADAŁEM DO SAMOCHODU, BYŁO JESZCZE CIEMNO. Ciemno i chłodno, a ja zamiast leżeć w łóżku, prulem na południe 1-75 w stronę mostu Mackinac, jakimś cudem nie śpiąc za kierownicą, nieogolony, bez prysznic i z bólem żołądka. Wciąż pilnowałem się, żeby nie jechać za szybko, bo co jakiś czas cisnąłem pedał gazu, a przy stu trzydziestu na godzinę furgonetka wpadała w dygot, jakby się miała za chwilę rozlecieć. Wtedy wydychałem powoli powietrze, powtarzałem sobie w myślach: zwolnij; uważaj, jak jedziesz, do cholery; przestań o tym myśleć; nie zadawaj sobie pytań, dlaczego Randy leży półżywy w szpitalu w Michigan, a nie na plaży w Kalifornii.

Tuż za Mackinac zatrzymałem się, żeby zatankować. Stałem przy dystrybutorze, drżąc z zimna na wietrze prosto znad jeziora Michigan. Słońce dopiero zaczynało wschodzić.

Zanim ruszyłem dalej, kupiłem kawę i rozłożyłem na kierownicy - mapę. Dojadę 1-75 do Grayling, potem lekko odbiję wUS-131 i na dziesiątą powinienem być w Grand Rapids.

Szeryf wspomniał o Orcus Beach. Próbowałem znaleźć tę miejscowość.

Nie znalazłem. Odwróciłem mapę i przejrzałem indeks miast. Nie było żadnego Orcus Beach.

Niebo zaczęło się rozjaśniać.

Kiedy odbiłem z 1-75 w lewo, jazda przerodziła się w powolną paradę przez las na ogonie ciężarówka ciągnącej za sobą dom na kółkach. Kilka samochodów próbowało ją wyminąć, ale ilekroć wiatr się wzmagił, ciężarówką rzucało po całej szosie. Straciłem dobre pół godziny.

O dziesiątej mijałem tablicę z napisem „Grand Rapids”.

Kolejnych dwadzieścia minut zajęła mi droga do szpitala przy Michigan Street. Nie znalazłem szeryfa Rudigera, ale jeśli jest taki sam jak inni szeryfowie, których do tej pory znałem, to na pewno nie znosi spóźnień. Świetny początek znajomości.

Już z daleka dojrzałem wielki zielony neon: „Spectrum Health”. Potem podążyłem za znakami i wjechałem na górę parkingu. Zostawiłem auto na najwyższym poziomie i długim tunelem z przyciemnianego szkła przeszedłem do głównego holu szpitala. Kilka osób na niebieskich plastikowych krzesłkach patrzyło w telewizor zawieszony wysoko na ścianie. W małej recepcji siedział strażnik. Miał może ze dwadzieścia jeden lat. Gdyby kupował u mnie w sklepie alkohol, kazałbym mu się wylegitymować.

- Szukam szeryfa Rudigera - zagadnąłem do niego.

- Wyszedł na chwilę. Kazał panu poczekać w pokoju 119. Na końcu korytarza, po lewej.

Próbował mówić twardym, zdecydowanym głosem, jakby zamiast aluminiowej odznaki ochroniarza miał prawdziwą policyjną blachę.

- Posłuchaj. Przywieźli tu mojego przyjaciela. Muszę go zobaczyć. Zdaje się, że leży na OIOM-ie. Gdzie to jest?

- Musi pan poczekać w 119 - powtórzył.

- W końcu korytarza, po lewej. Rozumiem.

- Mam pana odprowadzić?

- Dam sobie radę - odparłem. - Pilnuj interesu.

Poszedłem na koniec korytarza i zajrzałem do pokoju 119. Stół, kolejne niebieskie krzeselka z plastiku. Mały zlew, ekspres do kawy. Koszyczek z saszetkami cukru i słodzików, pudełko ze śmietanką w proszku. Wszystko, co niezbędne do zrobienia kawy oprócz samej kawy. Pewnie szeryf wyszedł, żeby jej poszukać, zamiast tu siedzieć i czekać na mnie. Błyskotliwy ze mnie detektyw.

Spojrzałem na drugi koniec korytarza. Ochroniarz mnie obserwował. Pomachałem mu i poszedłem dalej. Prosto do otwartej windy. Wisiała w niej lista pięt.

Chirurgia, OIOM, piąte. To chyba właściwe miejsce. Wcisnąłem guzik. Kiedy drzwi się zamykały, słyszałem, jak ochroniarz krzyczy: „Hej!” i coś jeszcze.

Poszedłem za strzałkami w stronę OIOM-u i otworzyłem podwójne drzwi. Spojrzała na mnie jakaś pielęgniarka z telefonem przy uchu. Stałem przed jej biurkiem i rozglądałem się wokół. W tym skrzydle były dwa korytarze. U ich zbiegu znajdowało się stanowisko pielęgniarek. Większość drzwi po obu stronach była pozamykana. Korytarze zagracało mnóstwo noszy i stojaków na kroplówki.

Nagle dostrzegłem umundurowanego mężczyznę na krześle przed jedną z sal, mniej więcej w połowie korytarza po prawej. Siedział z rękoma złożonymi na kolanach i patrzył prosto przed siebie w pustkę. Ruszyłem korytarzem; pielęgniarka zaczęła się burzyć, ale jej nie słuchałem. Kiedy podszedłem do mężczyzny, okazało się, że to zastępca szeryfa z hrabstwa Kent.

Patrzył na mnie dłuższą chwilę.

- W czym mogę pomóc? - odezwał się w końcu.

- Kto leży w tej sali? - zapytałem.

- A kto pyta?

- Jestem przyjacielem - odparłem. Miałem przecucie, że to właściwa sala.

Policjant wstał.

- Nikt nie może wchodzić - oznajmił.

- Zna pan szeryfa Rudigera? Mam się z nim spotkać.

- Nie będzie zachwycony, że pan tu przyszedł.

- Człowieku, tylko zjrzę - prosiłem. - Na minutkę.

- Nie wolno - upierał się policjant.

I jakby wbrew jego słowom drzwi się otworzyły i z sali wyszedł lekarz. Szybko zerknąłem do środka. Jedno łóżko i człowiek z zabandażowaną szyją. I rurką w ustach. Randy.

- Doktorze. To mój przyjaciel. Co mu jest?

- Zna go pan? - zapytał lekarz. Miał zielony fartuch, a na piersi stetoskop. - Co może mi pan o nim opowiedzieć?

- Nie wolno tam wchodzić - wtrącił się policjant.



Lekarz spojrział na niego, potem znów na mnie.

- Wie pan cokolwiek, jak i gdzie się leczył? Od rodziny nic nie zdołaliśmy wydobyć.

- Nikt nie powinien nawet wiedzieć, kto tam leży - nie dawał za wygraną policjant.

- Za późno - stwierdził lekarz. - Proszę nam wybaczyć.

Wziął mnie za rękę i odprowadził kilka metrów dalej. Policjant wyglądał na zmartwionego, w końcu usiadł sztywno na krześle.

- Co robi ten gliniarz przed drzwiami? - pytałem.

- Nie wiem - odpowiedział lekarz. - Ja tylko staram się utrzymać pacjenta przy życiu. Ma alergię na jakieś leki?

- Niestety, nie pomogę panu. Nie widzieliśmy się prawie trzydzieści lat i nagle zjawił się kilka dni temu. Ale zaraz, zaraz... mówił pan o rodzinie. Dlaczego oni nie dostarczą panu informacji?

- Nie mogę się do nikogo dodzwonić. - Wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem - odparłem.

Lekarz pokręcił głową.

- Trafił do nas wczoraj po południu z raną postrzałową karku. Stracił około czterdziestu procent krwi i jest w szoku pokrwotoczym. Minęło... - spojrział na zegarek - ...prawie dwanaście godzin. Ilość krwi ma już w normie, ale nadal nie odzyskał przytomności. Co więcej, widać oznaki paraliżu, choć żadne ziarno śrutu nie trafiło w rdzeń kręgowy.

- Śrut? Ktoś strzelił ze śrutówki?

- Nie wycelował dobrze - zauważył lekarz. - Większość przeszła nad barkiem. Teraz pan Wilkins powinien już oprzytomnieć i cieszyć się ze szczęścia.

Zastanowiłem się. Albo został w Michigan, albo tu wrócił. I wtedy ktoś go postrzelił. Ze strzelby na śrut.

- Kiedy będzie wiadomo... czy przeżyje? - zapytałem.

- Na razie trudno powiedzieć. Ma pan wizytówkę? Zadzwoń, kiedy tylko nastąpi zmiana.

Dałem mu wizytówkę.

- Dziękuję - powiedziałem. - To dla mnie ważne.

Obaj usłyszeliśmy kroki i odwróciliśmy się jak na komendę. Korytarzem nadciągał jakiś mężczyzna. Szedł tak szybko, że aż załopotwały kartki na korkowej tablicy.

- Poznał pan już dumę Orcus Beach? - zapytał lekarz.

- Twardy gość?

- Nie, ale odgrywa twardziela z telewizji.

Zanim zdążyłem spytać o coś więcej, zatrzymał się przed nami szeryf Howard Rudiger. Ręce opuścił po bokach jak rewolwerowiec. Dyszał ciężko. Sądząc po zmarszczkach, miał pięćdziesiąt kilka albo nawet sześćdziesiąt lat. Ale nadal wyglądał niczym gwiazdor filmowy - bujne włosy, ciemne, uformowane żelem w fale. Wyglądały tak nieskazitelnie, jakby to była peruka. Ale, rzecz jasna, szeryfowie ich nie noszą.

Spojrzał na lekarza, potem zawiesił wzrok na mnie.

- A pan... - Wycelował palec w moją pierś i zgiął go przywołująco. - Proszę za mną.

Pięć minut później byłem znów na parterze w pokoju 119 i patrzyłem, jak szeryf Rudiger robi kawę. Cały czas stał tyłem do mnie. Przez kolejnych pięć minut ciszę w pokoju mąciło jedynie miarowe kapanie. Oglądałem kwiatuszki i muszelki na tapecie. Najwyraźniej próbowano urządzić tę salę radośnie, choć przekazywane tu wieści nie zawsze były wesołe. Kiedy już mnie znużyło kontemplowanie wzorów na tapecie, wbiłem wzrok w kapelusz leżący na stole. „Orcus Beach, Michigan”, przeczytałem. A obok zobaczyłem rysunek działka na piaszczystej wydmie.

Każę mi czekać, pomyślałem. Mam tak siedzieć i zastanawiać się, o co i kiedy mnie będzie pytał. Stara policyjna sztuczka, ale z dodatkowym bajerem.

- Jaką pan pije? - zapytał w końcu.

- Czarną.

Nalał dwie filiżanki i postawił na stole.

W końcu usiadł i pociągnął długi łyk kawy, łypiąc na mnie znad filiżanki. Odwzajemniłem się tym samym.

- Dziękuję - powiedziałem. - Tego mi było trzeba.

Kiwnął głową.

- Powie mi pan, co się dzieje, szeryfie? Dlaczego przed drzwiami mojego przyjaciela siedzi policjant?

- Dojdziemy i do tego - zapewnił. - Ale najpierw zadam panu kilka pytań. Gdyby nie wybrał się pan na górę na własną rękę, już byśmy pewnie skończyli.

- Szeryfie, proszę, niech pan sobie daruje i nie odgrywa przy mnie twardego gliny, dobrze? Osiem lat pracowałem w policji w Detroit i widziałem, jak robią to najlepsi. Ba, nawet w Soo mamy szeryfa, który mógłby jeszcze pana tego i owego nauczyć, naprawdę.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Przede wszystkim nie robi się tego w takiej sali jak ta - wyjaśniłem. - Potrzebna jest brudna klitka do przesłuchań. Na posterunku. Na swoim terenie. Powinien pan też palić, żeby dmuchać mi dymem w twarz. I na litość boską, nie wolno robić podejrzanemu kawy.

- Nie mamy posterunku, tylko jeden pokój na tyłach ratusza - powiedział. - Jestem jedynym pełnoetatowym policjantem, jeszcze czterech pracuje na pół etatu. Nie palę, a nawet gdybym palił, to nie w szpitalu. I dostał pan kawę, bo i tak robiłem sobie. Nie „zgrywam twardego”, jak raczył pan to określić, McKnight. Jeśli uznam, że czas być twardym, to na pewno pan się zorientuje. A teraz, jeśli skończył pan już z krytykowaniem, mogę zadać kilka pytań?

- Jasne, szeryfie. Proszę.

Miał nienagannie wyprasowany mundur i doskonale zawiązany krawat. Chlipnął jeszcze jeden łyk kawy i wyciągnął z kieszeni koszuli wizytówkę.

- To pana? - Położył ją na stole.

- Tak.

- Detektywi Prudell-McKnight?

- Tak.

- Znalaziono to w kurtce pana Wilkinsa. Rozumiem, że pracował pan dla niego?

- Nie do końca - odparłem. - Jesteśmy przyjaciółmi z dawnych lat. Pomagałem mu kogoś odszukać.

- Zaraz, zaraz, mówi pan „nie do końca”? - przerwał mi. - To ważne. Bo jeśli pana zatrudnił, to przecież nie musi mi pan mówić, co dla niego robił.

- Dawał pieniądze mojemu wspólnikowi - wyjaśniłem. - Ale mnie nie. - Zastanowiłem się. - To znaczy mnie też dał, ale tylko za benzynę. Za to, że go woziłem.

Szeryf zmarszczył czoło.

- Jeśli płacił pańskiemu wspólnikowi, to zatrudniał was obu. Prowadzicie firmę razem.

- Szeryfie, to i tak bez znaczenia - powiedziałem. - Nie mam nic do ukrycia. Pomagałem mu odszukać dziewczynę, którą poznał wieki temu. W Detroit. Nie znaleźliśmy jej, więc wrócił do domu. A przynajmniej tak mi się wydawało.

- Dziewczynę - powtórzył.

- Dziewczyną to ona była w 1971 - doprecyzowałem. - Teraz ma koło czterdziestki.

- Szukał dziewczyny, którą poznał w Detroit w 1971 roku. - Wyjął notatnik i zapisał: „Detroit, 1971”. - Jak się nazywa?

- Maria coś tam coś tam.

Szeryf podniósł wzrok.

- Nie znamy jej prawdziwego nazwiska - powiedziałem. - Wale- ska, Valenescu albo Muller.

Kazał przeliterować wszystkie trzy nazwiska. Pisząc, powoli kręcił głową.

- Kiedy ostatnio widział pan Wilkinsa? - zapytał.

- Trzy dni temu. Odwiozłem go na lotnisko.

- Dokąd się wybierał?

- Wracał do Los Angeles.

- Widział pan, jak wsiada do samolotu?

- Nie. Zostawiłem go w terminalu.

- W porządku - stwierdził szeryf. - Czy kiedykolwiek wspominał panu o Orcus Beach?

- Nie.

- W ogóle się pan nie orientuje, po co tu przyjechał?  
Zawahałem się. Gorączkowo myślałem, jak to rozegrać.

- No... może... - zacząłem.

- Tak? Słucham.

- Widocznie przypuszczał, że Maria jest w Orcus Beach.

- Szukaliście jej obaj w Detroit - powiedział. - W końcu się poddaliście i zawiózł go pan na lotnisko. Skąd nagle przyszło mu do głowy, że ta dziewczyna jest akurat w moim miasteczku, na końcu świata?

Wziąłem głęboki oddech.

- Rozmawialiśmy z jej rodziną. Stwierdzili, że Maria przed kimś się ukrywa. Nie chcieli powiedzieć gdzie. Być może Randy wrócił do nich i jakoś się dowiedział. I to chyba tam powinien pan się rozejrzeć, szeryfie. Zwłaszcza że Randy'ego postrzelono ze strzelby.

- Od kogo pan to wie?

- Od lekarza - wyjaśniłem. - Kiedy byliśmy w rodzinnym domu Marii w Farmington Hills, jej brat groził nam strzelbą.

- Ale co strzelba z Farmington Hills może mieć wspólnego ze strzelaniną w moim mieście?

- Najpierw mierzono do Randy'ego ze strzelby, a kilka dni później ktoś do niego strzelił.

- Nawet jeśli to nie przypadek, to i tak nie da się namierzyć konkretnej broni na podstawie śrutu, panie McKnight. Nie ma charakterystycznego żłobienia, jak przy normalnej kuli.

- Więc niech pan go po prostu zapyta. Podam panu adres.

- Proszę zapisać.

- Ona jest u pana, prawda? - zapytałem. - W Orcus Beach.

- Kto, Maria? Ta kobieta o trzech nazwiskach?

- Skoro to takie małe miasteczko, to na pewno ją pan zna. Ba, jeśli ma nakaz ochrony przed tym facetem, przed którym się ukrywa, to musi pan o tym wiedzieć.

- Co pan jeszcze może powiedzieć o swoim przyjacielu? - zmienił temat. - Jak zarabia na życie?

- Nie odpowiedział pan na pytanie.

- Jak Randy Wilkins zarabia na życie, panie McKnight? Wie pan?

- Mówił coś o nieruchomościach.

- Tak?

- Tak. A czemu pan pyta?

- Próbuję ustalić, co robił w Orcus Beach - wyjaśnił.

- Myślałem, że przede wszystkim będzie pan dociekał, kto go postrzelił, kiedy już dotarł do Orcus Beach.

- Znowu ta krytyka. - Pokręcił głową. - Chyba powinienem być wdzięczny za darmowe porady.

- Co jest? - zachnąłem się. - Nie obchodzi pana, kto go postrzelił?

- Dobrze byłoby się tego dowiedzieć - przyznał Rudiger. - Ale na ulicy, gdzie znaleziono pana Wilkinsa, stoi wiele prywatnych rezydencji.

To mógł zrobić każdy w obronie własnej przed elementem przestępczym. Niewykluczone że pan Wilkins dostał to, na co zasłużył.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

- Co pan wygaduje, szeryfie? - wycodziłem.

Spojrzał w notatnik, przewrócił stronę i zaczął czytać, mrużąc oczy jak ktoś, komu potrzebne są okulary:

„Randall Wilkins, urodzony w 1951 roku, w 1979 roku skazany za liczne federalne przestępstwa: wyłudzenia, fałszerstwa czeków i oszustwa pocztowe, odsiedział sześć lat w więzieniu w Lompoc. Wyszedł w 1985 roku, następnie w 1990 roku skazany ponownie, tym razem za wyłudzenie majątku stanowego. Odsiedział dwa lata w Avenal, zwolniony i znów skazany w 1994 roku, spędził za kratkami cztery lata w Folsom. Obecnie poszukiwany przez stan Kalifornia z powodu nowych zarzutów. Nie wspominając już nawet, że naruszył zasady zwolnienia warunkowego i ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości”.

- Nie rozumiem... - zacząłem.

- Pański przyjaciel to oszust - dokończył. - Poluje na bogate

kobiety. Namawia je do inwestycji w lipne nieruchomości, a potem znika z pieniędzmi. Chyba właśnie o tych nieruchomościach panu mówił.

- Wykluczone - stwierdziłem.

- Nic pan nie wiedział... Jest pan w szoku.

- Owszem - odparłem.

- Gdyby pomagał pan mu zorganizować podobny przekręt tu, w Michigan, zostałby pan oskarżony o współudział w przestępstwie.

- Nie... On tylko... Nie, to niemożliwe. - Zamyśliłem się na kilka sekund. - Rodzina Marii mieszka w niezłym domu. Brat jest malarzem pokojowym, więc chyba nie byłoby go na taki stać. Ale Maria... Cholera, kto wie? Po prostu nie wierzę.

Rudiger zatrzasnął notatnik.

- Lepiej niech pan uwierzy - poradził.

- Ale dlaczego? - zapytałem. - Dlaczego jechałby aż taki kawał?

- Zdaje się, że w Kalifornii zrobiło mu się za gorąco - powiedział. - Może jest pan ostatnim znajomym, który nic nie wiedział o jego przekrętach. - Przerwał na chwilę. - Bo ustaliliśmy, że nie miał pan o tym pojęcia.

Spojrzałem na niego.

- Dlaczego pod drzwiami siedzi policjant? - zapytałem. - Przecież Randy i tak nigdzie nie ucieknie.

- Tłumaczyłem to władzom Kalifornii. Ale się uparli. Mówiłem, że nie mam ludzi, więc kazali mi ściągnąć kogoś z tutejszej policji. Muszę potem dopilnować, żeby za to zapłacili.

- A jeśli Randy przeżyje?

- Czeką go kolejny proces. Ale to mnie już nie dotyczy.

- I nieważne, kto go postrzelił.

- Badam sprawę. - Podniósł kubek z kawą. - Niech pan się nie martwi.

Wstałem i jedną nogą już byłem za drzwiami, ale wróciłem.

- A co z jego rodziną?

- Jak to „co z rodziną”?

- Chętnie bym z nimi porozmawiał.  
- Nie chcę mieć z nim nic wspólnego - powiedział.  
- Może nie dożyć jutra - zauważyłem.  
- Z tego, co usłyszałem od jego byłej żony, już dawno postawili na nim krzyżyk. Dla nich jest martwy od lat.  
- Aleja muszę z nimi porozmawiać - upierałem się.  
Szeryf spojrział na mnie.

- Jestem ostatnią osobą, z którą rozmawiał - wyjaśniłem. -  
Opowiadał mi o nich. Powinni to usłyszeć. Choćby nie wiem co zrobił.

Szeryf westchnął ciężko i znów otworzył notatnik. Przewrócił kilka kartek i zapisał mi nazwiska oraz telefony.

- Może pan do nich zadzwonić, ale tylko raz - zastrzegł. -  
Niech pan się przedstawi i przekaże, co mówił Wilkins. Nic więcej.

Popatrzyłem na kartkę. Cztery imiona, cztery numery. Była żona i trójka dzieci.

- Aha, jeszcze coś. Gdzie w ogóle jest Orcus Beach? -  
zapytałem.

- A po co to panu?

- Nie mogę znaleźć na mapie - wyjaśniłem. - Zaciekawilo mnie to.

- Nie musi pan wiedzieć - uciał.

- To chyba nie tajemnica, co? Wystarczy, że kupię sobie lepszą mapę.

- McKnight, powiem wprost. - Wstał i spojrział mi prosto w oczy. - Nie ma pan czego szukać w Orcus Beach. Jedź pan do domu i obdzwon tych ludzi. Jeśli będę pana potrzebował, dam znać.

Nie wiem, jak długo stałem oparty o barierkę. Co najmniej pół godziny. Może i godzinę. Z górnego piętra parkingu obserwowałem wejście do szpitala. Patrzyłem, jak pacjenci wchodzi i wychodzą. Na wózku wjechała kobieta z zawiniątkiem na kolanach. Jakiś mężczyzna wziął od niej zawiniątko i powoli przypiął je w specjalnym foteliku w samochodzie. Pielęgniarze



wymykali się na papierosa, po czym wracali do pracy. Nie było nagłych wypadków. Nie podjechała na sygnale ani jedna karetka. Nie pojawiła się żadna ofiara z zakrwawionym ręcznikiem przy czole. Leniwy dzień jak na szpital.

Zaburczało mi w brzuchu. Spojrzałem na zegarek.

Właśnie minęło południe. Nie spałem od ośmiu godzin i funkcjonowałem tylko dzięki kawie. Zszedłem na ulicę i ruszyłem na wschód po Michigan Street. W fast foodzie zjadłem hamburgera, nawet nie czując smaku. W końcu trafiłem na bar, gdzie nie było nikogo poza barmanem myjącym szklanki i kobietą, która oglądała serial w telewizorze. Barman podał mi jedzenie i wrócił do swojego zajęcia. Kobieta nawet na mnie nie spojrzała.

Przez chwilę gapiłem się w telewizor, bo na niczym innym nie mogłem się skupić. Jakaś babka w eleganckiej kiecce chodziła w tę i w tę po eleganckim biurze, krzycząc na jakiegoś faceta w eleganckim garniturze. W końcu oderwałem wzrok od serialu i poszedłem do łazienki ochlapać sobie twarz zimną wodą. Wytarłem się, nawet nie patrząc na własne odbicie w lustrze. Zapłaciłem i wyszedłem z baru.

Wróciłem do szpitala. Ochroniarz zacisnął zęby, kiedy go mijałem. Wjechałem windą na piąte piętro. W dyżurce OIOM-u nie było pielęgniarki.

Za to miejscowy policjant siedział na swoim miejscu przed salą "Randy'ego. Kiedy mnie zobaczył, złożył ręce na piersiach.

- To znowu pan - mruknął.

- Przepraszam za to, co powiedziałem. Po prostu jest pan tu na służbie.

- I bawię się jak cholera - odparł. - Wprost nie do wiary, że jeszcze mi za to płacą.

- Też kiedyś byłem policjantem - zagaiłem. - Przez osiem lat.

- Co pan powie.

- Też miałem takie zadania - ciągnąłem. - Wiem, jak to jest.

Tylko skinął głową.

- Co pan w ogóle sądzi o tym Rudigerze?

- O szeryfie z superfryzurą? Kawał dupka. Był pan kiedyś w Orcus Beach?

- W życiu - przyznałem.

- Dwie ulice na krzyż i jedno światła - zaczął opowiadać. - Mieli tam fabrykę mebli, ale splajtowała. Miasteczko-widmo. Szeryf Rudiger został jako jedyny policjant na pełnym etacie.

- Tak mówił.

- Gdziekolwiek indziej pozwaliliby gliniarzy, a ochroną zajęłby się szeryf hrabstwa. Ale nie w Orcus Beach. Rudiger ich wszystkich chyba zahipnotyzował.

- To pewnie dzięki włosom - stwierdziłem.

Policjant parsknął śmiechem.

- Nałożył na nie tyle oliwy, że lepiej trzymać go z daleka od jeziora. Jak się nazywał ten statek, na Alasce?

- „Exxon Valdez?”

- O właśnie. Mielibyśmy to samo w jeziorze Michigan.

- To dobre. - Pokiwałem głową. - Hm... mógłbym na minutkę zajrzeć do przyjaciela?

Wypchał sobie policzek językiem i rozejrzał się po korytarzu.

- Ale szybko.

- Dzięki.

W sali pikała maszyna rejestrująca bicie serca. Respirator kurczył się i wydmuchiwał powietrze, raz za razem. Podeszedłem do łóżka. Randy leżał z zamkniętymi oczyma. Twarz miał posiniaczoną, a do ust przyklejoną rurkę z tlenem.

Cały obandażowany - na szyi, na ramionach - wyglądał jak mumia. Nawet nie drgnął. Jakby zasnął snem wiecznym.

- Nie umieraj za szybko - powiedziałem na głos. - Najpierw musisz mi wyjaśnić to i owo. - Kardiomonitor wciąż pikał. Respirator napełniał płuca powietrzem. - Poza tym chcę cię zabić własnoręcznie - dokończyłem.

## Rozdział 12

SPOJRZAŁEM NA KARTKĘ OD SZERYFA. Była żona Randy'ego, Sandra van Buren. Randy i Sandy. Pewnie wszyscy im to powtarzali. Van Buren to albo jej nazwisko panieńskie, albo po drugim mężu. Tak czy siak, zastanawiałem się, jak zareaguje na mój telefon. Pora się przekonać.

Siedziałem w samochodzie na parkingu. Wstukałem numer do Sandry w komórce – starym złomie, którego używam tylko od czasu do czasu. Nie udało mi się połączyć. Spróbowałem raz jeszcze. Usłyszałem trzaski i znów ciszę. Rzuciłem komórkę na siedzenie.

Poszedłem do tego baru, gdzie już byłem. Barman właśnie skończył myć kolejne szklanki. Kobieta wciąż oglądała serial. Tym razem też nawet na mnie nie spojrzała, choć przeszedłem tuż obok. W korytarzu przy łazience zauważyłem wcześniej telefon. Zniszczona książka telefoniczna leżała na drewnianym krześle. Podniosłem ją, a sam usiadłem. Krzesło zaskrzypiało, jakby miało się rozlecieć, ale wytrzymało.

Wstukałem numer swojej karty telefonicznej, potem numer Sandry. Prawie trzy i pół tysiąca kilometrów dalej zadzwonił jej telefon. Odebrała po czterech dzwoneczkach.

– Pani van Buren? – Właściwie wciąż nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć. – Nazywam się Alex McKnight. Jestem znajomym Randy'ego.

Po długiej ciszy odchrząknęła i powiedziała:

– Słucham?

– Dzwonię spod szpitala. Widziałem Randy'ego na OIOM-ie.

– Czego pan chce?

Na łączach słychać było niski przydźwięk niosący się przez pół kraju.

- No cóż... - zacząłem. - W zeszłym tygodniu spędziłem kilka dni z Randym. Przyleciał kawał drogi... między innymi po to, żeby się ze mną zobaczyć. Tak mówił. Obaj... - Obaj co? Co robiliśmy? Co powiedzieć? - Nie widziałem go prawie trzydzieści lat - ciągnąłem. - W 1971 roku graliśmy razem w drużynie baseballa.

Milczała.

- Nie miałem pojęcia, co się z nim działo od tamtego czasu - mówiłem.

- Jak to „co się z nim działo?” - przerwała mi. - Z nim nic się nie działo. To z nami się sporo działo, panie McKnight. Niszczył wszystkich wokół siebie.

- Rozumiem panią. Teraz już wiem, że... Ale muszę pani coś powiedzieć. Kiedy spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu, na okrągło mówił właściwie tylko o waszych dzieciach.

- Dość! Proszę przestać - wtrąciła się. - Ani słowa więcej.

- Ale to prawda.

- Uhm, pewnie chciał pana w coś zrobić. Jak pan myśli, po co w ogóle się zjawił? Chciał po prostu pogadać ze starym kumplem z drużyny?

- Z pewnością nie znam Randy'ego tak dobrze jak pani, ale przysięgam na Boga, że z dumą mówił o dzieciach. Tego po prostu nie można udawać.

- Podobno Randy szukał jakiejś kobiety - odparła. - Pana zdaniem po co? Żeby jej powiedzieć, jaki jest dumny z dzieci?

- Nie wiem, dlaczego jej szukał - przyznałem. - To znaczy wydawało mi się, że wiem, ale...

- To nawet logiczne - prychnęła. - Tylko jakiś znajomek sprzed trzydziestu lat mógł mu jeszcze w coś uwierzyć...

- Pani van Buren...

- Van Burenowa - poprawiła mnie. - Wysłałam za męża. I staram się nie myśleć o przeszłości, rozumie pan? Niepotrzebnie do mnie dzwoniłście. I ten policjant, i pan.

- Przepraszam - mruknąłem. - Po prostu musiałem.

- W porządku, więc pan zadzwonił i już.

- Tak. Pomyślałem też, żeby skontaktować się z pani dziećmi.  
- Nie mogę panu zabronić - stwierdziła.  
- Jeśli jego stan się zmieni...  
- Niech się pan nie fatyguje. Mam gdzieś, co się z nim stanie.  
Zupełnie mnie to nie obchodzi.

- W porządku. Cóż, w takim razie to chyba wszystko.  
- Chyba tak - uznała. - Do widzenia. - Rozłączyła się.

Siedziałem na krześle ze słuchawką na kolanach i wpatrywałem się w ścianę. Deski zaczęły odchodzić. Jedno mocniejsze szarpnięcie i całość zwałaby mi się na głowę.

Następna na liście była Annette Wilkins. Wykręciłem jej numer, ale usłyszałem tylko automatyczną sekretarkę: „Zapraszamy do Turtle Café od jedenastej rano”. Spojrzałem na zegarek. Piętnaście po drugiej, czyli kwadrans po jedenastej w Kalifornii. Ktoś tu się spóźnia do pracy.

Wykręciłem numer Jonathana Wilkinsa. Sekretarka poinformowała mnie, że dodzwoniłem się do kancelarii prawnej o nazwie składającej się z sześciu nazwisk, których nie zdążyłem zapamiętać. Kiedy poprosiłem o połączenie z panem Wilkinsem, kazano mi poczekać.

Przez chwilę słyszałem klasyczną muzykę, a w końcu odezwał się głos:

- John, słucham.

- Panie Wilkins, nazywam się Alex McKnight. Dzwonię w sprawie pańskiego ojca.

- Tego wyludzacza i oszusta? Na ile pana oskubał?

- Zapewne wie pan, co go spotkało tu, w Michigan?

- Tak. Szeryf z Orcus Beach dzwonił wczoraj wieczorem. Nie mam pojęcia, gdzie leży to całe Orcus Beach. Pan jest lekarzem?

- Nie, starym znajomym - wyjaśniłem. - Właśnie rozmawiałem z pańską matką.

- I nie była to miła rozmowa - stwierdził.

- Nie całkiem - przyznałem. - Ale musiałem do niej zadzwonić, tak jak do pana. W zeszłym tygodniu, kiedy się spotkaliśmy, Randy mówił o panu pewne rzeczy i chyba

powinien pan to wiedzieć.

- Co takiego?

- Ze właśnie zdał pan egzamin adwokacki, pracuje pan jako prawnik w San Francisco, a niedługo urodzi się panu dziecko.

- Niesamowite - zawołał młody Wilkins. - I wszystko to prawda. Ojciec chyba ustanowił swój nowy rekord.

- Powiedział też, że jest z pana bardzo dumny.

- No proszę, i już po prawdzie.

- Może nie znam się na tym najlepiej, ale wydaje mi się, że mówił szczerze.

- Panie McKnight, a opowiadał panu o meczach, które wygrał w Tygrysach w latach siedemdziesiątych?

- Nie, wiem, że rzucał tylko w jednym meczu.

- Aha, czyli to bajeczka B. W jedynym występie w pierwszej lidze pokonał drużynę Orioles. A potem doznał kontuzji ramienia, powstrzymując napad na ulicy, i więcej już nie rzucał w baseballu.

- Nie, ja wiem, co się stało. Wywalili go i nigdy nie wrócił do drużyny.

- Aha, dlatego nie mógł panu nakłamać. Los bywa okrutny. Pewnie aż go skreślało z tego powodu.

- Panie Wilkins...

- Przepraszam, nie powinienem się wyżywać na pana. Po prostu nie ma pan pojęcia, co on nam zrobił. Mówił panu o firmie ojca?

- Wspomniał coś, że ojciec zajmował się handlem nieruchomościami, a on przejął firmę.

- A to dobre - parsknął młody Wilkins. - Piękny tekst. Owszem, przejął firmę. I zatopił na samym dnie Pacyfiku. Na tym go zresztą przyłapano. Odsiedział w więzieniu federalnym za to, co zrobił z firmą ojca. Słyszał pan o tym?

- Nie - przyznałem. - Ale szeryf mówił mi o więzieniu.

- A o jego nowym hobby po wyjściu? Uwodzeniu bogatych kobiet i opróżnianiu ich kont bankowych? O tym pewnie też ojciec panu nie wspomniał.

- Nie.

- Tak myślałem - stwierdził.

- Cóż, to wszystko.

- Tak, chociaż wie pan co? - odezwał się. - Ze wszystkich dzieci to chyba ja najbardziej powinienem być mu wdzięczny.

- Za co?

- Zostałem prawnikiem, żeby zaciągać przed sąd takich facetów jak ojciec i zmuszać ich, żeby spłacili wszystko, co ukradli innym. Tylko tak mogę się zrehabilitować za to, że jestem jego dzieckiem.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zresztą i tak by nie usłyszał. Rzucił krótkie „Do widzenia” i odłożył słuchawkę.

- Pięknie, nie ma co - powiedziałem do ściany. - Błyskotliwy pomysł. Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, dałbym sobie już spokój.

Spojrzałem na imię najmłodszego syna. Skoro tak kiepsko mi idzie, to zostawię go sobie na deser. Wykręciłem raz jeszcze numer do restauracji córki Randy'ego. Tym razem w słuchawce usłyszałem naturalny głos.

- Czy mogę rozmawiać z Annette Wilkins? - zapytałem.

- Przy telefonie.

- Nazywam się Alex McKnight. Dzwonię w sprawie pani ojca.

Trzask. I ciągły sygnał. Tyle, jeśli chodzi o córkę, pomyślałem. Coraz lepiej. Trzeba zadzwonić do ostatniego dziecka, póki jestem w formie.

Randy mówił, że Terry studiuje na pierwszym roku na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara. Sam już nie wiedziałem, w co wierzyć, ale założyłem, że tam właśnie się dodzwonię. Kiedy ktoś podniósł słuchawkę, w tle usłyszałem gwar i muzykę. A więc jednak akademik.

- Halo - odezwałem się. - Szukam Terry'ego Wilkinsa.

- Moment.

Znów przez chwilę słyszałem tylko muzykę, ale w końcu ktoś wziął słuchawkę.

- Halo?

- Terry, nazywam się Alex McKnight. Dzwonię w sprawie twojego ojca.

Długa cisza.

- A o co chodzi?

- Rozmawiałem już z twoją matką i bratem - wyjaśniłem. - Siostra odłożyła słuchawkę. Wiem, że nikt nie chce nawet o nim słyszeć. Ale ja jestem jego dawnym kumplem jeszcze z drugiej ligi baseballa.

- Grał pan w baseball z moim ojcem?

- Tak. Byłem jego łapaczem. Mówił, że ty też jesteś łapaczem. I że potrafisz niezłe przyłożyć kijem.

- Ciekawe, skąd on to wie - odparł z przekąsem Terry. - Nie widział mnie od siedmiu lat.

- Chwileczkę...

- Tak, ostatnio był na meczu, zanim trafił do Folsom. Wtedy jeszcze grałem w Małej Lidze. Od tamtego czasu się nie pokazał.

- Mówił, że widział, jak grasz w drużynie uniwersyteckiej - odpowiedziałem. - Ze dobrze łapiesz, zupełnie jak ja kiedyś. I że naprawdę świetnie wybijasz piłkę. Na litość boską, Terry, jesteś pewien, że nie oglądał twoich meczów?

- Jeśli nawet, to nic o tym nie wiem.

O tym Randy też kłamał? O własnych dzieciach?

- Przepraszam, Terry. Po prostu uznałem, że muszę do ciebie zadzwonić. Wyszło na to, że zepsułem humor całej twojej rodzinie.

- Nie szkodzi - odparł. - Niech pan się nie przejmuje. Widział go pan dzisiaj?

- Tak, jest nieprzytomny, więc... Nie wiem, co będzie, Terry.

Milczał.

- Chwileczkę. Coś sobie przypomniałem. UCLA. Wspominał, że grasz przeciw drużynie z UCLA. Kiedy odwoziłem go na lotnisko, napomknął o tym meczu. To musiało być... - Zastanowiłem się. - W sobotę.

- Tak, graliśmy z UCLA w sobotę - potwierdził. - Aleja nie wyszedłem na boisko.



- Ale mecz się odbył - nie dawałem za wygraną. - Czyli twój ojciec miał rację.

- No tak i co z tego?

- Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale wciąż mówił, jaki jest dumny, że ma takiego syna, doskonałego łapacza...

Dłuższa chwila milczenia.

- Terry? Jesteś tam?

- Tak, tylko... Dzięki za telefon. Muszę lecieć.

- Jasne. Do widzenia.

Siedziałem, stukając słuchawką o rękę. Wreszcie rzuciłem ją na widełki i wstałem. Kiedy wróciłem do baru, kobieta w końcu na mnie spojrzała. Mogła słyszeć moje rozmowy i najwyraźniej wciągnęły ją bardziej niż serial.

Zamówiłem jeszcze jedno piwo i zamyśliłem się nad tym, co dalej. Nie było sensu wracać do Randy'ego. Nie miałem nic do powiedzenia szeryfowi Rudigerowi. Zresztą pewnie i tak wrócił już do Orcus Beach, żeby zająć się śledztwem w sprawie strzelaniny.

Akurat się tym przejmie.

Oszust z Kalifornii przyjeżdża do jego miasteczka, żeby kogoś naciągnąć, a zamiast tego dostaje śrutem w kark. Tak, szeryf będzie ciężko pracował nad tą sprawą. Do kolacji.

Więc co? Samemu się tym zająć? Szeryf miał rację. Randy dostał, na co zasłużył.

A jednak...

Coś nie dawało mi spokoju.

Naprawdę wykorzystał mnie tylko po to, żeby coś od niej wyciągnąć? Po tylu latach?

Alex, słyszałeś, jaką ma kartotekę. Słyszałeś, co mówi rodzina. Jego własne dzieci. Randy patrzył ci w oczy i kłamał. Proste.

To dlaczego w to nie wierzę? Dlaczego w głębi serca jestem przekonany, że nie wszystko było kłamstwem?

Bo serce źle ci podpowiada. Myślisz, że znasz go lepiej niż żona, synowie, córka? Tylko dlatego, że łapałeś jego piłki przez jeden sezon w 1971 roku?

„Nie okłamiesz mnie, Randy”. Tak mu powiedziałem. Ale wtedy nie miałem o niczym pojęcia. „Widzę cię na wylot”.

To szaleństwo. Zupełne wariactwo. Daj sobie spokój.

- Hej, barman - zawałałem. - Masz jakąś dobrą mapę okolicy?

- Gdzieś chyba mam. - Oderwał się od zlewu. - A dokąd się pan wybiera?

- Do małej miejsciny, Orcus Beach. Znasz?

- Nic tam nie ma. - Wykrzywił usta. - Ale jeśli pan chce, powiem, jak dojechać.

- Będę wdzięczny.

- Narysuję drogę. Rusza pan od razu?

- Niedługo - odparłem. - Najpierw muszę pójść do wróżki.

## Rozdział 13

Z GRAND RAPIDS DO FARMINGTON jedzie się trochę ponad dwie godziny. W taki dzień jak ten, kiedy wstało się przed świtem, te dwie godziny dłużą się niemiłosiernie. Odnalazłem dom przy Romney Street, gdzie Randy'ego i mnie skuto kajdankami w piwnicy i gdzie mierzono do nas z dubeltówki. Wyglądał tak samo, jak wtedy, kiedy widziałem go po raz pierwszy. Nowiutki dom z półpiętrem, w dzielnicy innych nowiutkich domów z półpiętrem. Ale tego nigdy nie zapomnę.

Dojechałem po czwartej po południu. Podjazd był pusty. Ani małego czerwonego autka, ani furgonetki z drabinami. Czyli w domu nie ma ani Delilah, ani Leopolda. Nie wiedziałem, czy Anthony ma samochód, czy jeździ z ojcem. Równie dobrze mógł zostawać cały dzień i ćwiczyć w siłowni. Wszystko jedno, byłem za to pewien, że Madame Waleska, czyjakiej tam, na pewno nie wychodzi zbyt często, zwłaszcza że musiałaby taszczyć butlę z tlenem.

Kiedy zapukałem, nie sprawdziła się żadna z moich teorii. Do wewnętrznych drzwi przyczłapał jakiś staruszek. W lewej ręce trzymał drewnianą laskę, ale nie opierał się na niej. Stał i patrzył na mnie. Kiedyś musiał być wysoki, ze dwadzieścia lat temu. Teraz przygiął się do ziemi o dobre piętnaście centymetrów.

- Witam! - odezwałem się. - Czy jest ktoś jeszcze w domu?

Przyglądał mi się zza szklanych zewnętrznych drzwi.

- Muszę z kimś porozmawiać - zawołałem. - Jestem przyjacielem rodziny.

Przekrzywił głowę. Przez szkło nie słyszał ani słowa. Uchyliłem więc drzwi.

- Witam! - powtórzyłem.

Mężczyzna próbował chwycić za klamkę.

- Co pan robi?  
- Muszę z kimś porozmawiać - powtórzyłem. - Zastalem Leopolda? Albo jego matkę?  
- Niech pan zamknie te drzwi! - oburzył się.  
- Przepraszam - powiedziałem, wchodząc do środka. Miałem dość miejsca, żeby się obok niego przycisnąć.  
- Nie może pan... - zaprotestował. - Kim pan jest?  
- Spokojnie. Mam na imię Alex. Chcę się dowiedzieć, czy jest ktoś w domu.  
- Nikogo nie ma! - odparł. - Tylko ja! Proszę wyjść!  
- Gdzie Leopold? - nie dawałem za wygraną. - Gdzieś maluje?  
- Wynocha! - protestował staruszek. - Jazda stąd!  
- Proszę pana, gdzie jest Leopold?  
- Zaraz do niego zadzwonię! - krzyczał. - Powiem mu, że wtargnął pan do domu!  
- Świetnie, bardzo proszę. Muszę z nim porozmawiać.  
- Nie można tak kogoś nachodzić!  
- Niech się pan uspokoi i do niego zadzwoni.  
- Zrobię to natychmiast!  
- Ja tu poczekam - zapewniłem.  
- Proszę wyjść! Nie może pan zostać w środku!  
- Tu będzie mi o wiele wygodniej - stwierdziłem. - A teraz niech pan już zadzwoni do Leopolda.  
- Zadzwonię - odgrażał się. I w końcu odszedł od drzwi. Podreptał przez salon do jadalni, gdzie kilka dni wcześniej siedzieliśmy z Randym. Chwytał się ściany i ostro zakręcił w prawo do kuchni. - Jak można tak wchodzić komuś do domu - mruzczał do siebie. - Jakby był u siebie. Co za ludzie.  
Kiedy zniknął, zajrzałem do szafy w przedpokoju. Płaszcz, parasole... wszystko, co zwykle wisi w szafach, ale strzelby nie widziałem.  
Zrobiłem kilka kroków w stronę salonu, rozglądając się za szafką na broń. Słyszałem, jak w kuchni staruszek wciąż mamrocze pod nosem. W tempie, w jakim pędził, do telefonu dotrze pewnie za godzinę.

Wszedłem do jadalni. Nikt nie trzyma broni w jadalni, ale nie zawadzi sprawdzić. Staruszek dojrzał mnie z kuchni.

- Co pan wyprawia? Dokąd to?

- Niech pan się mną nie przejmuj - powiedziałem. - Sam się rozgoszczę.

- Proszę natychmiast wyjść! - krzyknął. - Ostrzegam pana! - Zaczął wygrażać mi słuchawką.

- Zadzwoił pan już do Leopolda? - zapytałem.

- Zaraz to zrobię! Już! Niech no tylko przyjedzie! Popamięta pan!

Pokręciłem głową i zajrzałem do korytarza po lewej. Zobaczyłem drzwi do czterech pomieszczeń. Jedne były zamknięte. Kiedy zbliżałem się do nich, usłyszałem syczenie.

- Ani się waż, człowieku! - wrzeszczał za mną staruszek. - To jej pokój, do jasnej cholery!

- Dzwon pan!

- Przysięgam na Boga, że pan pożałuje! Ta kobieta rzuci na pana czar i dostanie pan swędzących pryszczu na całym ciele!

To powstrzymało mnie na chwilę. Przewróciłem oczyma, a potem delikatnie zapukałem do drzwi.

- Swędzące pryszczu! - powtórzył. - Ostrzegam!

Znów zapukałem, tym razem trochę głośniej.

- Proszę - odezwała się Madame Waleska. Siedziała w bujanym fotelu przy łóżku. Przezroczysta rurka biegła od syczącego zbiornika z tlenem do jej nosa, tak samo jak przed tygodniem. W powietrzu wisiał zapach lekarstw i mentolu. Nogi miała owinięte kocem z koronkami, a na kolanach trzymała książkę.

- Nie rzuci pani na mnie uroku i nie dostanę swędzących pryszczu? - spytałem.

- Przeczuałam, że jeszcze się spotkamy - odparła.

- Przepraszam za najście.

- Zdaje się, że biedny William jest przez pana w szoku. Mam nadzieję, że nie dostanie zawału.

- Dzwoni do pani syna.

- William przychodzi się mną zajmować - wyjaśniła. - Jest bardzo opiekuńczy.

- Chciałbym tylko zadać kilka pytań. Jeśli mogę, oczywiście.

- Proszę podejść bliżej. Obejrzę pańskie dłonie.

Wszedłem do pokoju. Było tu z pięć stopni więcej niż w pozostałej części domu. Po przeciwnej stronie pokoju stał drugi fotel - stary i wygodny. Zapewne Williama. Stałem z wyciągniętymi dłońmi. Czuję się dziwnie, patrząc na staruszkę z góry, więc przykucnąłem, jak łapacz w baseballu. Teraz nogi mnie zaboląły, a przecież przez kilka lat robiłem to kilkaset razy dziennie.

Kiedy już patrzyłem kobiecie prosto w oczy, ujęła moje dłonie. Miała ręce staruszki, powykrzywiane, ale zadziwiająco silne.

- No więc co takiego się stało, że musiał pan wejść do mojego domu i tak zdenerwować Williama?

- Pamięta pani Randy'ego? Mężczyznę, z którym tu przyjechałem?

- Baseballistę - potwierdziła. - Jest pan praworęczny?

- Tak.

- Na lewej dłoni widać przeszłość - wyjaśniła. - Prawa dłoń pokazuje naszą naturę i to, co może kryć przyszłość. - Wzięła moją prawą dłoń i zakrzywionym palcem wodziła po liniach.

- Wczoraj w nocy został postrzelony - powiedziałem.

- Tak mi przykro. Ale żyje, prawda? Gdyby zginął, słysząc byłoby to w pana głosie.

- Tak, żyje.

Skinęła głową. Nie odrywała wzroku od moich rąk.

- Ma pan bardzo ciężkie życie - stwierdziła.

- Byłem łapaczem - wyjaśniłem. - Pokiereszowałem sobie rękę.

Spojrzała na mnie przez chwilę.

- Nie na to patrzę. Pańska linia losu jest poszarpana. To oznaka wielu nieszczęść.

- Randy został postrzelony w miasteczku Orcus Beach - mówiłem. - Czy ta nazwa coś pani mówi?

- Nie - stwierdziła. - Ma pan dobrze rozdzielone palce. Jest pan bardzo niezależnym człowiekiem. Ale ostatni palec osadzony bardzo nisko... musi pan ciężko pracować.

Obserwowałem ją, kiedy czytała z mojej dłoni. Zbiornik z tlenem syczał w kącie.

- Pierwszy palec zgina się w stronę środkowego. To znaczy, że jest pan nieugiętym człowiekiem. Niezwykle upartym. A ta przestrzeń między linią głowy a linią życia to znak, że musi pan mocno się starać, żeby zapanować nad temperamentem.

- Orcus Beach - powtórzyłem. - Tam mieszka Maria, prawda? Podniosła na mnie wzrok.

- Jeśli to prawda, pierwsze słyszę. - Patrzyła mi prosto w oczy. Jeśli kłamała, robiła to po mistrzowsku.

- Proszę pani, w domu macie strzelbę. Wie pani gdzie?

Za plecami usłyszałem kroki i głos od drzwi.

- Chodzi o tę strzelbę? - William skończył rozmawiać przez telefon i teraz celował z dwururki prosto w moją głowę.

- Co pan robi? - Starłem się nie podnosić głosu. - Proszę to odłożyć.

- Williamie, kochany - odezwała się Madame Waleska. - Posłuchaj pana. Jeszcze zrobisz komuś krzywdę.

„Zrobisz komuś krzywdę”. Jeśli starszek wypali z obu luf, to komuś stanie się coś więcej niż krzywda.

- Williamie - powiedziałem. - Jeśli pan strzeli, zginiemy oboje. Rozumie pan?

- Nie wolno tak sobie wtargnąć do czyjś domu - mówił oburzony. Strzelba zaczęła mu drżeć w rękach. Czerwieniał na twarzy.

- Niech pan to odłoży - prosiłem.

- Myśli pan, że jestem niedołęznym starcem, który już nikogo nie obroni?

- Ależ oczywiście, że nie - zapewniłem. - A teraz proszę odłożyć strzelbę.

Spojrzał na broń. Twarz czerwieniała mu coraz bardziej. Cholera, pomyślałem, ta dwururka jest za ciężka. Zaraz ją upuści

i odstrzeli nam obojgu głowy.

- Williamie! - Czułem, jak pot ścieka mi po plecach. - Jeśli pan strzeli, zabije pan nas oboje!

- Przepraszam, Arabello - westchnął. - Nie wiedziałem, co mam zrobić.

Opuścił dwururkę. Wstałem i omal się nie przewróciłem, tak zdrętwiały mi nogi. Ten ruch zaskoczył Williama - znów zaczął podnosić strzelbę. Szybko mu ją zabrałem. Przez chwilę miałem ochotę stuknąć tego starego głupca kolbą w głowę. Ale opanowałem się i wziąłem głęboki wdech.

Trzymałem lufę strzelby obiema rękami. No tak, teraz na całej dwururce są moje odciski palców i będę musiał się gęsto tłumaczyć.

- A szlag by to, i takjuż dotknąłem - powiedziałem. Miałem w ręku klasyczną łamaną strzelbę Parkera, jakiej do dziś lubili używać myśliwi starej daty. Złamałem ją powoli, żeby naboje nie powyskakiwały na środek pokoju. Tak jak się spodziewałem, w lufach tkwiły nie naboje ze śrutem, ale pełne, czyli właściciel polował na dużego zwierza, na przykład jelenie czy niedźwiedzie.

- Dobra wiadomość jest taka, że mimo wszystko nie zabiłby pan nas obojga - stwierdziłem. - Zakładając, że by pan nie spudłował.

- Nie spudłowałbym - obruszył się. Trzymał się futryny i łapał powietrze.

- No tak. I zakładając oczywiście, że wpakowanie dwóch kul w moją głowę w ogóle nie wzruszyłoby siedzącej tuż obok kobiety.

- Williamie, kochany- odezwała się Madame Waleska. - Naprawdę musisz się trochę zastanawiać nad tym, co robisz. Zawsze byłeś zbyt porywczy.

- Niech pan usiądzie w fotelu - poprosiłem. - Miał pan ciężki dzień.

Znów spojrzałem na strzelbę. Jeśli Leopold wypalił z niej do Randy'ego, rozumowałem, to ją oczyścił, włożył pełne naboje i odstawił, ale nie schował. Cóż, to możliwe, choć mało prawdopodobne.



- Gdzie był pani syn poprzedniego wieczoru?
- Sam go pan zapytaj - stęknął William, powoli siadając na fotelu. - Już tujedzie.
- Świetnie. Kiedy się zjawi?
- Niedługo - odpowiedział. - I nie będzie zadowolony.

Wyszedłem na zewnątrz i czekałem, aż w końcu zaparkuje furgonetkę na podjeździe. Zahamował tak ostro, że jedna drabina spadła z zaczepu. Kiedy wypadł z samochodu, ja zszedłem na zimny, twardy grunt przed domem. Uniosłem ręce, mniej więcej na wysokość barków. W ten sposób człowiek wygląda, jakby miał pokojowe zamiary, ale jednocześnie jest gotów także na innego rodzaju reakcję.

Nie odezwał się nawet słowem. Rzucił się na mnie i zaczął wymachiwać rękoma. Bokser wagi koguciej, w białym kombinezonie malarskim i małej białej czapeczce.

Zablokowałem kilka ciosów i uderzyłem go raz w żebra. Nie powinno mnie cieszyć, że potem ledwo złapał powietrze, ale nie mogłem się powstrzymać. Nie tak łatwo zapomnieć, że ktoś zrzuca człowieka ze schodów, przykuwa do ściany i jeszcze grozi strzelbą. Nawet jeśli napastnik później przyznaje, że popełnił błąd.

- Trochę inaczej to wygląda, co? - Uchyliłem się przed wielkim zamachem. - Kiedy nie masz strzelby ani napakowanego synalka schowanego za drzwiami.

- Co ty tu robisz, do cholery? - Wycofał się, żeby zebrać siły. - Nic tu po tobie.

- Wczoraj ktoś postrzelił Randy'ego - wyjaśniłem. Znieruchomiał.

- A co my mamy z tym wspólnego? - zapytał.

- Postrzeliłeś go? - walnąłem prosto z mostu.

Pokręcił głową.

- Nie.

Wiatr zwał mu białą czapeczkę i poniósł daleko. Patrzyłem

facetowi prosto w oczy.

Mówił prawdę.

- Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? - zdziwił się. - Po co miałbym do niego strzelać?

- Bo znalazł twoją siostrę - odparłem.

- Co ty wygadujesz?

- Wiem, gdzie ona jest - powiedziałem.

Zmrużył oczy.

No proszę, pomyślałem. Teraz powinienem go uważnie obserwować.

- W Orcus Beach - rzuciłem.

Oczy. Jeśli się pomyliłem, zobaczę w nich zmieszanie. Jeśli dobrze trafiłem, odwróci wzrok.

Odwrócił wzrok.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł.

Już za późno.

- Jak Randy się tego dowiedział? - pytałem. - Wrócił tu? Powiedziałeś mu, gdzie jest Maria?

- Oczywiście, że nie - obruszył się.

- A matka? Syn? A może... - przerwałem.

- Nikt mu niczego nie powiedział - zapewniał Leopold.

- Córka Marii. Jak ona się nazywa, Delilah?

- Nie, ona nie - zaprzeczył.

- Randy ma gadane - wyjaśniłem. - Potrafi zjednywać ludzi. Zwłaszcza kobiety.

- To niemożliwe.

- Sam pomyśl. Wrócił tu, kiedy ty wyjechałeś do pracy, a twój syn... Pewnie ma jakieś zajęcie, co? Niech zgadnę, pracuje w siłowni?

- Owszem.

- Delilah była sama - mówiłem. - Porozmawiał z dziewczyną sam na sam. Opowiedział, że po tylu latach wciąż pamięta jej matkę, że chce się z Marią jeszcze raz zobaczyć, że spróbuje jej pomóc...

Leopold milczał. Stał na trawniku i powoli kręcił głową.

- Nie - powiedział tak cicho, że ledwie go usłyszałem. - Nie.  
Zostawiłem go na tym trawniku.

Wróciłem na autostradę, przejechałem przez cały stan na zachód, korzystając z mapy, na której barman wyrysował mi drogę do Orcus Beach. W głowie wciąż miałem obraz Leopolda, jak stoi na zmarzniętej kwietniowej trawie i kręci głową.

Tego dnia po powrocie ze szkoły Delilah będzie musiała odpowiedzieć na trudne pytania wujka. Może jej ulży, że wyjawia tajemnicę. Owszem, ten mężczyzna wrócił i pytał o Marię. Myślała, że postępuje właściwie. Ze można mu zaufać.

Oczarowałeś kolejną dziewczynę, Randy. Może po raz ostatni w życiu.

## Rozdział 14

CZUŁEM SIĘ, JAKBYM PRZEJECHAŁ TEGO DNIA ponad tysiąc kilometrów, ale mimo to sunąłem na zachód stanu, przez Grand Rapids, aż do jeziora Michigan. W Muskegon skręciłem na północ i drogą M-31 dotarłem do skraju Parku Narodowego Manistee. Minąłem Whitehall i Montague, ostatnie dwa prawdziwe miasta, zanim zobaczyłem brzeg jeziora. Mimo zaproszenia na znaku nie zatrzymałem się, by obejrzeć największego na świecie kurka na dachu. Miałem dość wrażeń jak najeden dzień. Skręciłem w wąską drogę B-15, która zawiodła mnie do maleńkiej miejscowości Stony Lake. Tam droga przeszła w Scenie Drive. Nieważne zresztą, jak się nazywała, bo i tak docierali tu tylko ci, którzy wiedzieli, dokąd jadać. Nad wodą stało kilka letnich domków, a dalej wzdłuż szosy ciągnął się tylko sosnowy las. Na siedzeniu pasażera leżała mapa wyrysowana przez barmana. Wiedziałem, że jestem na właściwej drodze, ale zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem dla żartu nie wyprowadził mnie na pustkowie. Wtem jednak trafiłem na jedyne skrzyżowanie ze światłami, jakie widziałem od Montague. „Witamy w Orcus Beach”. Pod tym napisem widniał rysunek, jaki widziałem na kapeluszu szeryfa Rudigera - działo na piaskowej wydmie.

Przejechałem przez miasteczko. Było ciemno. Jedyne lampy przy głównej drodze zamontowano na drewnianych słupach przed stacją paliw, supermarketem IGA, małą wypożyczalnią wideo. Reszta pobocza tonęła w ciemnościach. Większe domy znajdowały się najwyraźniej po zachodniej stronie, frontem do jeziora albo tyłem do miasteczka, zależy, jak na to spojrzeć.

Ratusz, też po zachodniej stronie ulicy, stał przytulony do remizy strażackiej. Wjechałem na parking i objechałem go

wokół, licząc, że znajdę radiowóz. Nie znalazłem. Zaparkowałem furgonetkę i wysiadłem. Podszedłem do drzwi z napisem: „Posterunek policji w Orcus Beach”. Przez szybę zobaczyłem tylko jedno biurko z krótkofalówką. Na ścianie wisiały mapa i tablica korkowa z kalendarzem. W środku ani żywej duszy. Może szeryf Rudiger wybrał się do Farmington; podąża gorącym tropem strzelby, jaki mu podrzuciłem.

Albo siedzi w domu i czyta gazetę.

Wróciłem do samochodu i dokończyłem objazd miejscowości. Ostatnia lampa paliła się wysoko na słupie pośrodku pustego parkingu porośniętego chwastami. Na północ była już tylko pusta droga ciągnąca się w noc.

Zawróciłem na parkingu. Światłami omiotłem budynek stojący przy placu. Prosty piętrowy prostokąt, szary i cichy, z oknami wysoko na ścianach od strony drogi. Przypomniałem sobie, że policjant dyżurujący w szpitalu mówił coś o zamkniętej fabryce mebli. To pewnie tutaj.

Zawróciłem do centrum, do jedynej stacji benzynowej na skrzyżowaniu ze światłami. Kiedyś mieli też drugą stację naprzeciwko, ale teraz było tam równie pusto, jak w fabryce mebli. Zniknęły nawet dystrybutory.

Drugi raz tego dnia tankowałem do pełna. Rozejrzałem się. Tradycyjna stacja, bez zadaszania, bez sklepiku, gdzie można kupić coś do jedzenia. Tylko mały budynek z kasą, półkami zastawionymi olejem silnikowym i stojakiem z mapami. Kiedy lałem paliwo, z budynku wyszedł mężczyzna w kombinezonie z czerwonym napisem „Stu” nad kieszenią na piersiach.

- Ładne miasteczko - zagaiłem.

Popatrzył dookoła, jakby musiał się upewnić.

- Ze niby to miasteczko?

- Widział pan może szeryfa Rudigera? - zapytałem.

- Szuka go pan?

Zastanowiłem się chwilę, zanim odpowiedziałem. Nie chciałem się wyżywać na niewinnych ludziach za swój kiepski dzień.

- Tak, szukam.

- Nie widziałem - odparł.

- W porządku. - Spojrzałem na dystrybutor. Licznik z ceną kręcił się jak szalony. Za chwilę ustanowię nowy rekord najdroższego paliwa, jakie kiedykolwiek zatankowałem. Wszystko przez wyżyłowaną żonę tego faceta. Zdaje się, że miał cały rynek w garści.

- Miejscowi tankują u pana? - zapytałem.

- Oczywiście. - Oparł się o dystrybutor. - A czemu by nie?

Bo taniej wychodzi litr piwa niż litr benzyny na twojej stacji, odparowałem mu w duchu.

- Nic, pomyślałem tylko, że pewnie zna pan tu wszystkich. - Uśmiechnąłem się.

- Ta... większość - burknął.

- Szukam kobiety o imieniu Maria - powiedziałem. - Zna pan tu jakąś Marię?

- Mhm... nie przypominam sobie - odparł.

- Jasne, nie ma problemu.

- A właściwie nawet jestem pewny, że w całym mieście nie ma żadnej Marii.

Dokończyłem tankowanie, lejąc dotąd, aż licznik przekręcił się do następnego dolara.

- Jasna sprawa. - Wyciągnąłem pieniądze.

Kiedy je wziął, popatrzył mi w oczy przez dłuższą chwilę.

- Mówiłeś pan, że szukasz szeryfa?

- Na pewno go spotkam - odparłem. - Wcześniej czy później.

- Mogę mu przekazać wiadomość - zaoferował się. - Jeśli nie chce pan tu za długo czekać. Czasami wyjeżdża nawet na kilka dni.

- Powinien wrócić - powiedziałem. - Prowadzi śledztwo. Pewnie pan słyszał o wczorajszej strzelaninie.

- A tak, było coś.

- Wszyscy w mieście na pewno są wstrząśnięci - ciągnąłem. - Chyba nie za często się to zdarza.

- Ano nie za często. - Spojrzał w ziemię.

- Gdzie mogę tu coś zjeść?

- Całkiem niezłe żarcie dają w Whitehall.
- Ale to ponad trzydzieści kilometrów stąd. Nie macie tu czegoś na miejscu?
- Raczej nie.
- A to tam? - Wskazałem głową jedyny piętrowy budynek przy ulicy, z szyldem: U Rocky'ego.
- A, U Rocky'ego. To bar. Jeśli chce pan coś zjeść, to trzeba jechać do Whitehall.
- Właściwie chętnie przejdę się do baru. - Klepnąłem go w plecy. Nie mogłem sobie odmówić. - Dzięki za rekomendację, Stu.

Nie powiedział nic więcej. Patrzył tylko, jak wsiałam do furgonetki. Przejechałem pół przecznicy na południe i stanąłem na ulicy, bo na parkingu nie było już miejsca. Najwyraźniej U Rocky'ego toczyło się wieczorne życie towarzyskie Orcus Beach. Oczywiście, tak jak w przypadku stacji paliw, i tu nie było wielkiego wyboru.

Spojrzałem na ulicę. Stu nadal stał przy dystrybutorze i mnie obserwował. Pomachałem mu. Nie odmachął.

Knajpa U Rocky'ego była wielką góralską chatą, choć najbliższe pasmo górskie Porcupines ciągnęło się prawie pięćset kilometrów dalej. Nad drzwiami wisiał olbrzymi plastikowy łeb jelenia. Wszedłem do środka i zobaczyłem mnóstwo facetów w kraciastych koszulach z flaneli. Większość kobiet nosiła niebieskie džinsy. Usiadłem przy oknie. Widziałem stąd parking i ulicę, aż do stacji benzynowej. Stu gdzieś się schował.

Kelnerka uśmiechnęła się do mnie - pierwszy szczery uśmiech tego dnia. Zamówiłem piwo i poprosiłem, żeby przyniosła na jednej nodze. Rozejrzałem się po lokalu. Pod przeciwległą ścianą stał bar w kształcie wielkiej podkowy. Stoliki porozstawiano bez ładu i składu. Z jednej strony wielki telewizor, z drugiej stół bilardowy i tarcza do rzutek. Nadawano mecz Tygrysów, ale nie słyszałem komentarza, bo dźwięk zagłuszała koszmarna muzyka. Jakiś chłopak, na oko piętnastolatek, stał przy szafie grającej i wybierał coraz to bardziej gówniane kawałki. Kolejny powód,

żeby zatęsknić za barem Jackiego.

Kelnerka przyniosła piwo i szklankę. Zamówiłem jeszcze cheeseburgera, nałatem sobie piwo i wypilem połowę. Nie było złe - Bóg jeden wie, jak bardzo chciało mi się piwa - ale do kanadyjskiego nawet się nie umywało. Kolejny powód, żeby zatęsknić za barem Jackiego.

Czekając na jedzenie, oglądałem mecz i starałem się nie zwracać uwagi na muzykę. W powietrzu wisiała ciężka chmura dymu, jakby wszyscy goście zapalili jednocześnie. Jeśli była tu strefa dla niepalących, to chyba tylko na parkingu.

Muzyka się urwała. Przez kilka cudownych sekund słyszałem tylko rozmowy, śmiech i głos Erniego Harwella komentującego mecz w telewizorze. O dziwo Tygrysy wygrywały.

I wtedy ją zobaczyłem. Przy barze, przy najdalszym końcu podkowy. Siedziała sama, po obu stronach miała puste stołki. Palila papierosa i coś czytała.

Widziałem córkę Marii. Randy miał rację. Cała matka, kropka w kropkę. Ale nawet gdybym nie widział Delilah...

Czy wtedy wiedziałbym, że to Maria? Czy wystarczyłoby jedno spojrzenie i miałbym pewność, że to kobieta, której szukał Randy?

Podniosła wzrok, kiedy szafa znów zaczęła grać. Zobaczyłem jej twarz. Ciemne włosy zaczesane za uszy, ciemne oczy, tak jak mówił Randy, ale było w nich coś jeszcze -jakaś powolność i wyrafinowanie, coś czego nie potrafił opisać. Trzeba to zobaczyć samemu. Barman zagadał do niej, uśmiechnęła się i wróciła do lektury.

Przyglądałem się jej przez chwilę. Ktoś wszedł do lokalu. Stu ze stacji paliw. Rozejrzał się po sali, zauważył mnie i odwrócił wzrok. Szarpnął siedzącego przy barze mężczyznę. Założyłbym się, że to właściciel. Trzymając rękę na plecach Rocky'ego, Stu pochylił głowę i coś mu powiedział. Rocky spojrzął na niego i zawodowo przyjrzał mi się, udając, że w ogóle na mnie nie patrzy. Potem szepnął słówko barmanowi, a ten poszedł do kasy, która stała akurat z metr od Marii. Nie spojrzął w stronę



kobiety, ale ze sposobu, w jaki na niego patrzyła, domyśliłem się, że coś do niej mówi. Słuchała przez kilka sekund, potem omiotła spojrzeniem salę. Kiedy napotkała mój wzrok, nie odwróciła głowy. Długą chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

Nie mieliśmy szansy dokończyć konkursu, kto pierwszy mrugnie, bo nagle wyrósł przede mną Rocky. Był mniej więcej mojego wzrostu i w moim wieku, ale ewidentnie bardziej o siebie dbał. Na lewym ramieniu miał przyblakły tatuaż.

- Pan zamawiałeś cheeseburgera? - zapytał.

- Fajny lokal - powiedziałem.

- Ser się skończył - oznajmił.

- Trudno.

- I wołowina wyszła.

- A bułki? - zatroskałem się. - Też zabrakło?

- Bułki mamy - powiedział. - Może pan dostać bułkę z keczupem. Albo lepiej niech pan spada i poszuka innego lokalu.

- Takiego, gdzie nie skończył się ser i wołowina - dokończyłem.

- Właśnie. Na pana miejscu tak bym zrobił. - Wielki mężczyzna złożył ręce na piersiach i spojrzał na mnie z góry. Barman też mnie obserwował. A Stu przyglądał mi się z okolic drzwi.

- Dzięki za informacje - powiedziałem. - Dokończę piwo i jadę.

Nie ruszał się z miejsca, jakby rozważał, co dalej. W końcu jednak odszedł powoli od mojego stolika i wrócił do baru. Usiadł na stołku tak, żeby mieć na mnie oko. Stu wyszedł.

Minęło pięć minut. Maria nadal tkwiła w kącie baru z dziwnym uśmiechem na twarzy. Barman stał tuż obok niej. Nie zamierzał ani drgnąć, choćby wszyscy w barze zaczęli zamawiać drinki. Rocky nie spuszczał ze mnie wzroku. A ja wyglądałem przez okno w noc i zastanawiałem się, co tu robię i co teraz począć. Zacząłem nabierać przekonania, że najlepiej wsiąść do furgonetki i już tu więcej nie wracać.

Zanim zdecydowałem, Rocky podszedł do Marii i coś do niej

powiedział. Kiedy wstała, podał jej rękę. Odprowadził ją do drzwi i zdjął płaszcz z wieszaka przy kasie. Kiedy pomagał jej się ubrać, patrzyła na mnie i znów posłała mi dziwny uśmiezek.

Obserwowałem ich przez okno. W mdłym świetle na parkingu szli do samochodu - czerwonego mustanga kabrioletu z postawionym dachem. Rocky otworzył drzwi. Usiadła za kierownicą. Kiedy ruszała, wyjąłem z kurtki notes i zapisałem numer rejestracyjny.

Na głównej drodze skręciła w lewo. Nagle zobaczyłem, że jedzie za nią drugi samochód. Biały Cadillac.

Biały Cadillac.

W głowie rozległy mi się dzwonki alarmowe. Gdzieś już słyszałem o białym cadillacu.

Wstałem i wyrząłem przez okno. Tablica rejestracyjna. Czy widać ją stąd? Przeczytałem na głos. SBV... Czy to V czy Y? Cholera jasna. Zanotowałem to, co rozpoznałem. Przy literze V postawiłem znak zapytania.

Biały Cadillac. Mówił o nim Leopold.

Rzuciłem na stół dwa banknoty i ruszyłem do wyjścia. Rocky właśnie wracał.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał. - Myślałem, że dokończy pan piwo.

- Już mi wystarczy, dzięki.

- Dam panu rachunek - zaoferował. Blokował mi drzwi, i to na dobre.

- Pieniądze leżą na stole - wyjaśniłem.

- W takim razie przyniosę resztę.

- Nie trzeba - zapewniłem. - Obsługę tu macie pierwsza klasa.

- Świetnie. Miłej podróży. Gdziekolwiek pan jedziesz.

Po raz ostatni obrzucił mnie spojrzeniem, jakby chciał dobrze zapamiętać mój wygląd. W końcu odsunął się z przejścia.

Kiedy podszedłem do furgonetki, od razu się zorientowałem, że coś jest nie tak. Stałem i przyglądałem się uważnie. Kiedy spuściłem wzrok, zrozumiałem, w czym problem. W obu oponach nie było powietrza. Obszedłem samochód. Po drugiej

stronie to samo – dwa kaptcie. Nigdzie się nie ruszę. Walnąłem pięścią w maskę.

Odliczyłem do dziesięciu, klęknąłem i zacząłem przyglądać się oponom. Niepocięte. Po prostu ktoś spuścił powietrze.

Na samych felgach potoczyłem się z powrotem na stację benzynową. Mój kolega Stu akurat czytał sobie „Grand Rapids Press”. Rozparł się wygodnie na krześle, jakby siedział na nim przez ostatnie dwie godziny. Stałem przed kontuarem, czekając, aż facet na mnie spojrzy. Nawet nie podniósł głowy.

- Jest mały problem – odezwałem się.

- Naprawdę? – Przewrócił stronę.

- Mam cztery kaptcie.

- No to faktycznie problem – przyznał.

- Chyba powinienem być wdzięczny, że ich nie pocięto.

Łaskawie tylko spuszczo powietrze.

- Farciarz z pana – stwierdził, nie odrywając oczu od gazety.

Znów policzyłem do dziesięciu.

- Gdzie jest kompresor? Nie widzę go na zewnątrz.

- Powietrza brak – poinformował.

- Ze co proszę?

- Nie mamy powietrza. Właśnie się skończyło.

Jeszcze raz zacząłem liczyć do dziesięciu. Przy trzech wyrwałem mu gazetę. Zmiałem ją w kulkę i rzuciłem na bok, a potem oparłem się rękoma o kontuar i pochyliłem nad facetem.

- Posłuchaj, Stu – warknąłem, patrząc mu prosto w oczy. – Nie wiem, co jest grane. Nie wiem, za kogo mnie bierzesz. Nie wiem, co ci się wydaje. Nie mam pojęcia, co ci strzeliło do łba, żeby mi spuścić powietrze z opon. Dwunastoletnie bachory robią takie rzeczy. Po kimś, kto pracuje na stacji benzynowej, spodziewałbym się czegoś bardziej twórczego.

Nic nie powiedział.

- Co dalej, Stu? Wysmarujesz mi mydłem szyby?

- Nie, ten punkt sobie darujemy – odezwał się ktoś za moimi plecami.

A potem usłyszałem znajomy odgłos przeładowywanej strzelby.

- Przejdziemy od razu do następnego.

Odwrociłem się. W drzwiach stał Rocky i mierzył mi w brzuch ze strzelby. Za nim był barman.

Przełknąłem ślinę. Już drugi raz dzisiaj celowano we mnie. Teraz z remingtona z krótką lufą. Dokładnie taką samą broń wozilem w bagażniku radiowozu. A człowiek, który trzymał remingtona w ręku, ewidentnie wiedział, jak się obchodzić z tą zabawką.

To samo przydarzyło się Randy'emu, pomyślałem. Każdy obcy w tym mieście tak kończy. Wymyślają jakiś głupi dowcip, żeby zagonić człowieka w kozi róg, a potem strzelają.

- Możesz odłożyć broń? - zwróciłem się do Rocky'ego. Obserwowałem jego ręce. Czekałem na napięcie mięśni tuż przed pociągnięciem za spust. To będzie ostatnia rzecz, jaką zobaczę w życiu.

- Oddaj notes - polecił.

- Co?

- Harry widział, jak pisałeś coś w notesie, kiedy kobieta odjeżdżała - wyjaśnił. - Oddawaj.

Wysunąłem notes z kieszeni kurtki i mu rzuciłem. Złapał jedną ręką i podał barmanowi Harry'emu, który zaczął kartkować strony. Szybko dotarł do ostatniej.

- To jej numer rejestracyjny - oznajmił. -1 jeszcze jakiś.

- Czyj to? - zapytał Rocky. - Czyj jest ten drugi numer?

- Faceta, którzy ją śledzi - wyjaśniłem. -Jeździ białym cadillakiem. To w niego powinniście celować.

- Kim jesteś? - pytał. -1 co tu robisz?

- Szukam Marii. Chcę z nią tylko porozmawiać. O człowieku, którego tu wczoraj postrzelono.

Rocky i Harry wymienili szybkie spojrzenie. Zastanawiałem się nad kolejną błyskotliwą ripostą, kiedy na stację zajechał radiowóz. Bez syreny, bez świateł. Szeryf Rudiger spokojnie otworzył drzwi i wysiadł powoli. Tak jakby zamierzał zatankować.

- Co się dzieje? - zapytał.

Rocky opuścił strzelbę.

- Jakiś facet grozi Stu - powiedział. - Omal się na niego nie rzucił.

Kiedy Rudiger mnie zobaczył, uniósł brwi.

- Proszę, proszę, kogo my tu widzimy. Czemu nie jestem zdziwiony?

- Znasz tego faceta? - zapytał Rocky.

- Tak - potwierdził szeryf. - Porozmawiam sobie z nim. Wracajcie do siebie.

- Jasne, jest twój - odparł Rocky.

Kiedy wyszli, Stu zaczął rozprostowywać gazetę.

- Chodźmy, McKnight - zawołał mnie Rudiger. - Wsiadaj do samochodu.

- Dokąd jedziemy?

- Chciałeś zobaczyć, jak gram twardego policjanta, prawda? No to ci pokażę.

Podróż była krótka- przejechaliśmy niecałe pół kilometra na północ, do ratusza. Siedziałem na tylnej kanapie radiowozu, jednego z tych nowszych, z twardymi plastikowymi siedzeniami, żeby podejrzany nie miał szans niczego schować. Kiedy zaparkowaliśmy za budynkiem, Rudiger zaprowadził mnie do drzwi, tych samych, przez które zaglądałem od razu po przyjeździe. Włączył światło, przysunął krzesło do biurka - twarde plastikowe, zupełnie jak kanapa w radiowozie. Potem sam usiadł naprzeciwko. Kapelusz położył na biurku. Orcus Beach, Michigan i działo na piasku.

Przez dobrą minutę przyglądał mi się w milczeniu. Znów ze zdziwieniem patrzyłem na czuprynę tego człowieka. Można mieć różne zastrzeżenia do tej miejsciny, ale włosów szeryfa nie sposób się czepiać.

- Tym razem nie zrobisz mi kawy - odezwałem się w końcu.

- Po co tu przyjechałeś? - zapytał.

- Żeby się spotkać z Marią.

- Dlaczego groziłeś Stu?

- Nikomu nie groziłem. I przestań już kłamać na temat Marii.

Wiem, że tu jest. Widziałem ją.

Uśmiechnął się pod nosem.

- Skoro tak mówisz, McKnight.

- Gdzie to się stało?

- Chodzi o strzelaninę? - upewnił się.

- Tak, o strzelaninę.

- A po co ci to wiedzieć?

- Dlaczego nie przekażesz tego śledztwa hrabstwu? - dociekałem. - Albo policji stanowej? To poważne przestępstwo.

- Niczego nie muszę przekazywać - powiedział. - To mój teren.

- Jesteś jedynym pełnoetatowym policjantem - przypomniałem. - Ilu masz ludzi na doskok?

- Czterech. Dwóch właśnie poznałeś.

Zawahałem się.

- Którzy to?

- Rocky i Harry - wyjaśnił.

- Ci, co chcieli mnie rozwalić?

- Wszyscy są trochę podenerwowani - stwierdził. - Nie zapominaj, że wczoraj mieliśmy tu strzelaninę.

- Czyżby? A gdzie był wtedy Rocky?

- McKnight, on nie strzelał. Siedział w barze, jak co wieczór.

Aż dostał telefon...

- Jaki telefon?

- Z informacją o strzałach. On znalazł Wilkinsa.

- Robi się coraz ciekawiej - mruknąłem.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie. Mówiłeś, że byłeś gliną w Detroit...

- Tak.

- Jak długo?

- Osem lat.

- A potem co? Rzuciłeś tę robotę?

- Postrzelono mnie.

- Ja też byłem postrzelony - rzucił. - Ale nie odszedłem.

- Niektórzy nie uczą się nawet na błędach - stwierdziłem. - O

co ci chodzi?

- O to, że jestem gliniarzem od zawsze - odparł. - Zaczynałem jako zwykły funkcjonariusz w hrabstwie Oakland. Potem ponad dwadzieścia lat byłem strażnikiem stanowym. Poszedłem na emeryturę i wróciłem do domu, do Orcus Beach. Poprosili mnie, żebym objął posadę szeryfa. Nawet kiedy zamknięto fabrykę mebli i wyjechała stąd połowa mieszkańców, rada miasta postanowiła utrzymać posterunek policji. I mnie.

- Niech zgadnę- wtrąciłem się. - Rocky i Harry zasiadają też w radzie miasta.

Nie odgryź się.

- Mój dziadek zbudował to miasto praktycznie sam - ciągnął. - Tu dorastałem. Mieszkałem w całym stanie, ale wciąż wracałem na stare śmieci. Znam w Orcus Beach każdego mieszkańca. Jestem pewien, że tu także będę pochowany.

- Po co mi to wszystko opowiadasz? - zapytałem.

- Bo chcę, żebyś zrozumiał, McKnight. Jestem policjantem z powołania, nie kimś, kto przez osiem lat wypisywał mandaty, a potem został prywatnym detektywem. Do tej strzelaniny doszło w moim mieście. To moje śledztwo. Nie potrzebuję tu facetów z hrabstwa. Ani chłopaków z policji stanowej. A przede wszystkim ciebie. Wyrażam się jasno?

- A jeśli mam ważne informacje?

- Na przykład jakie?

- O białym cadillacu - odparłem. - Numer rejestracyjny jest w notesie, który zabrał mi twój... twój funkcjonariusz. Nie mam pewności co do jednej litery: V czy Y. Musicie sprawdzić obie możliwości.

- I co mi to da?

- Nazwisko faceta, który śledzi Marię - wyjaśniłem. - Przesiadywał przed domem w Farmington. Rozmawiałeś z jej rodziną, prawda?

- Mamy ze sobą kontakt - powiedział. - Wspominałem ci o tym w szpitalu.

- Więc wiesz o gościu nazwiskiem Harwood?

Rudiger stukał palcami w biurko.

- Mówisz, że Rocky ma ten numer?

- Tak - odparłem. - Nawet cię nie zapytam, czy mogę odzyskać notes.

- McKnight, za tobą długi dzień. Wracaj już do domu.

- Nigdzie się stąd nie ruszę - oznajmiłem. - Mam cztery kapcie, a na stacji skończyło się powietrze.

- Zobaczymy, może coś znajdziemy - obiecał szeryf. - Wtedy będziesz mógł sobie pojechać.

- Do domu kawał drogi - zauważyłem. - I nie śpię od czwartej rano. Chyba gdzieś przenocuję.

- Tu nie ma żadnych wolnych łóżek - ostrzegł mnie. - Najbliższy motel jest w Whitehall. Ale oni też pewnie są obłożeni. Najszybciej znajdziesz coś w Grand Rapids.

- Więc wolne pokoje też wam się skończyły - powiedziałem z przekąsem. - W kwietniu musi tu być szczyt sezonu turystycznego.

Spojrzał tylko na mnie i prawie się uśmiechnął.

- Zabawny z ciebie człowiek - stwierdził. - Chodźmy napompować koła.

Tym razem w drodze na stację pozwolił mi usiąść z przodu. Minęliśmy mały motel Orcus Arms. Sześciopokojowy budynek stał frontem do jeziora Michigan. Szeryf dostrzegł, że przyglądam się motelowi i pustemu parkingowi.

- Zamknięte - wyjaśnił. - Otwierają dopiero w czerwcu.

Szyld zdobiło wielkie działo w piaskowej wydmy, jak na kapeluszu szeryfa.

- O co chodzi z tym działem? - zaciekawilem się.

- To historia z początku wieku - wyjaśnił. - Kiedy statek trafił na burzę, zawsze starał się trzymać jak najbliżej lądu. Tu na brzegu cały czas czuwała grupa, która z armaty wystrzeliwała linę do statku. Czasami udawało im się wystrzelić ją na grubo ponad pół kilometra.

Próbowałem to sobie wyobrazić. Trzeba mieć sokole oko, żeby trafić w statek z takiej odległości.



- Chodzi o to, żeby pokazać, że broń nie zawsze zabija - tłumaczył. - Czasami może ocalić życie.

Kiedy zajechaliśmy na stację, w głowie wciąż dźwięczały mi słowa Rudigera. Stu zdołał jednak znaleźć powietrze do opon. Napompował je własnoręcznie, a potem stanął przy szeryfie i obaj patrzyli, jak wsiadam do samochodu. Po chwili szeryf podszedł i zapukał w szybę. Otworzyłem okno.

- Spij dobrze, McKnight. Ajutro od rana jedź bezpiecznie do domu. Mam nadzieję, że podobało ci się w Orcus Beach.

Chciałem mu powiedzieć parę słów, ale postanowiłem trzymać język za zębami. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i dodałem gazu.

- Mówię poważnie, McKnight - dodał. - Mamy tu ludzi trochę nieokrzesanych. Ale w takich miasteczkach ludzie zazwyczaj przybierają postawę obronną. Rozumiesz? Powiedziałbym nawet, że masz szczęście i trafiłeś na nasz lepszy dzień. Następnym razem może już nie być tak miło.

Ruszyłem w drogę i zostawiłem go w świetle latarni na stacji benzynowej. Zmniejszał się coraz bardziej we wstecznym lusterku, a ja jechałem na południe, z dala od Orcus Beach i jego mieszkańców.

- Dobranoc, szeryfie - mruknąłem, kiedy już całkiem zniknął mi z oczu. - Jeszcze się zobaczymy.

W głowie starałem się przywołać obraz notesu i odtworzyć zapisane numery. Recytowałem je na głos, żeby dobrze zapamiętać. Jeden - to Maria. Drugi - to ktoś, kto jeździ białym cadillakiem.

## Rozdział 15

OBUDZIŁEM SIĘ NASTĘPNEGO DNIA RANO w motelowym pokoju w Whitehall, trzydzieści kilometrów na południe od Orcus Beach. Dojechałem tam około jedenastej w nocy. Oczy mnie piekły, kiszki grały mi marsza z głodu. Motel nazywał się Whitehall Courtyard, a w każdym pokoju nad drzwiami świeciła się jaskrawozielona lampka, co dawało wrażenie, jakby się było w akwarium. Zapytałem recepcjonistę, czy o tej porze jest jeszcze czynna jakaś restauracja. Spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem.

- W Whitehall? - upewnił się. - To najlepszy dowcip, jaki dzisiaj słyszałem.

Musiałem więc poprzestać na serze, krakersach i ciastkach z automatu. Potem zaciągnąłem zasłony, żeby odgrodzić się od zielonego światła, i poszedłem spać. Męczyły mnie niespokojne sny o strzelbach, aż w końcu przebudziłem się w środku nocy przekonany, że zaraz poczuję w piersiach gorący strzał ze śrutu. Przez kilka sekund przypominałem sobie, gdzie jestem i co tu robię. Znow zasnąłem na kilka godzin. Rano usiadłem na łóżku i sięgnąłem po telefon. Leon odebrał po drugim dzwonku.

- Alex! Gdzie się podziewasz?

- W motelu w miasteczku Whitehall - odparłem. - Musisz mi sprawdzić dwa numery rejestracyjne.

- Whitehall? Gdzie to jest? Co się dzieje, Alex?

Przedstawiłem mu pięciominutową wersję wydarzeń. Opowiedziałem o Randym w szpitalu, o tym jak wróciłem do domu Leopolda i wreszcie o przygodach w Orcus Beach.

- Skąd wiesz, że to Maria? - zapytał. - Przecież nawet z nią nie rozmawiałeś.

- To ona - odparłem. - Na pewno. Zapisz te tablice.

- Wystarczy zadzwonić do sekretariatu stanowego i podać swój numer licencji detektywistycznej - poinstruował mnie.

- No tak, kiedyś mi o tym mówiłeś.

- Dobra, zrób to. Ty musisz zadzwonić gdzie indziej - powiedział.

- Gdzie?

- Szukał cię jakiś doktor Havlin - wyjaśnił. - Dzwonił dziś rano. Dales mu naszą wizytówkę, więc próbował dzwonić pod oba numery.

- Co mówił?

- Będą robić operację.

- Czy to.... no wiesz...

- Alex, tego mi nie powiedział. Prosił tylko, żebyś się z nim skontaktował.

- W porządku. Dzięki, zaraz to zrobię.

- Dyktuj numery.

- Najpierw rejestracja Marii. - Zamknąłem oczy, by przywołać z pamięci trzy litery i trzy cyfry.

- W ten sposób dotrzemy do jej obecnego adresu - zauważył Leon.

- Być może - przytaknąłem. -1 do aktualnego nazwiska.

- No dobra, drugi numer.

Podąłem mu trzy litery i trzy cyfry z białego cadillaca, ale uprzedziłem, że musi sprawdzić dwie wersje: z Y i V

- Myślisz, że twój biały Cadillac to rzeczywiście ten sam, który stał przed jej rodzinnym domem? - zapytał. - Po świecie jeździ mnóstwo takich wózków.

- Jasne, ale jeśli to ten sam, to komuś udało się odnaleźć Marię.

- Może Randy pojechał do domu Leopolda, potem do Orcus Beach, a facet z cadillaca go śledził - zastanawiał się Leon.

- W taki razie jak też bym się do tego przyczynił.

Leon milczał przez chwilę.

- Sprawdzę te tablice - powiedział w końcu. - I zaraz oddzwonię.

- Nie, ja do ciebie zadzwonię - postanowiłem. - Najpierw pogadam z doktorem, a potem muszę coś zjeść. Inaczej sam będę potrzebował lekarza.

Rozłączyłem się i wstukałem numer doktora. Odebrała jakaś kobieta w szpitalu w Grand Rapids.

- Doktor Havlin operuje.

- Wie pani kogo? - zapytałem. - Być może pacjenta, w którego sprawie dzwonię.

- Musi pan sam porozmawiać z doktorem - ucięła. - Nie wolno mi podawać takich informacji przez telefon.

Powiedziałem, że zadzwonię później. Ubrałem się i wyszedłem poszukać miejsca, gdzie zjadłbym przyzwoite śniadanie. I znalazłem restaurację. Za siedem dolarów oferowano nieograniczony dostęp do bufetu. Zjadłem tyle jajecznicy z bekonem i ziemniaczkami, że to było najlepiej wydane siedem dolarów w moim życiu. Szef sali, który zaprowadził mnie do stolika, kasjerka, kelner - wszyscy wyglądali na naprawdę szczęśliwych, że odwiedziłem ich małe miasteczko. Przywróciło mi to wiarę w mieszkańców stanu Michigan i zacząłem się zastanawiać, dlaczego w Orcus Beach jest tak inaczej. Miałem na to kilka minut, kiedy wracałem do Orcus pustą szosą.

Po drodze próbowałem dodzwonić się do Leona. Nic z tego. Ledwo się powstrzymałem, żeby nie wyrzucić komórki przez okno do jeziora.

Tym razem zobaczyłem Orcus Beach za dnia.

Ot, senne miasteczko na brzegu jeziora, które pamiętało lepsze czasy. Na pierwszy rzut oka nie różniło się od tysięcy innych miasteczek, póki ktoś się tu nie zatrzymał i nie skosztował miejscowej gościnności.

Minąłem bar Rocky'ego. Na parkingu znów było pełno. Albo podawali tu najlepsze śniadanie, albo jedyne śniadanie w mieście. Pojechałem dalej na północ, obok stacji benzynowej. Zobaczyłem, że Stu siedzi za kontuarem, ale chyba mnie nie zauważył.

Przy ratuszu i remizie nawet nie zwolniłem. Szeryf Rudiger nie

ucieszyłby się na mój widok.

Jechałem dalej, minąłem starą fabrykę mebli. Droga znów zmieniła się w długi pas asfaltu obsadzony sosnami, zza których od zachodu od czasu do czasu połyskiwała tafla jeziora. Po pokonaniu kolejnych piętnastu kilometrów upewniłem się, iż Orcus Beach rzeczywiście leży na końcu świata. Zjechałem na pobocze i spróbowałem znów zatelefonować. Zasięg pojawiał się i znikał przez kilka sekund, aż w końcu całkiem zniknął.

Wróciłem do miasteczka. Tym razem na światłach skręciłem w lewo, na wschód, w kierunku od jeziora. Za torami kolejowymi znajdowało się osiedle małych domków wybudowanych blisko siebie. Wszędzie było mokro, jakby śnieg dopiero co stopniał. Na kolejnym skrzyżowaniu dostrzegłem puste boisko do baseballa z drewnianymi ławkami przy pierwszej bazie. Wypatrywałem białych cadillaców. Jeden zobaczyłem przed sklepikiem dla wędkarzy na skraju miasta, ale numery rejestracyjne nie pasowały do tych z poprzedniego dnia.

Ciągle się zastanawiałem, gdzie konkretnie postrzelono Randy'ego. Minęło zaledwie dwa dni od strzelaniny, a przecież to taka mała miejscina. Spodziewałem się, że za chwilę trafię na miejsce otoczone żółtą taśmą policyjną, ale niczego takiego nie zobaczyłem.

Droga na wschód biegła przez mały mostek, po czym skręcała na północ. Kilka domów dalej asfalt się kończył i zaczynał się żwir. Zawróciłem. W centrum miasteczka przejechałem przez światła dalej na zachód, prosto w stronę jeziora. Ostatecznie mogę zwiedzić całą tę miejscinę.

Droga prowadziła prosto do publicznej przystani dla łodzi. Było tam pusto. Zaparkowałem i przez chwilę patrzyłem na wodę. Unoszone wiatrem od jeziora ziarenka piasku stukwały o blachę karoserii. Spróbowałem jeszcze raz zadzwonić. Tym razem planety musiały ułożyć się w korzystnym szyku, bo złapałem zasięg - na tyle silny, że wystarczyło na dwie rozmowy. Najpierw zadzwoniłem do Leona. Zajęte. Pewnie dzwoni w sprawie numerów rejestracyjnych, pomyślałem. Wykręciłem więc numer

do szpitala. Połączono mnie z doktorem Havlinem. Zasięg przez kilka sekund zaczął zanikać, a głos lekarza się rwał, ale w końcu wszystko się uspokoiło i usłyszałem wyjaśnienia.

- U pana Wilkinsa śrut wywołał zator - wyjaśnił. - Kawalek metalu wniknął do krwiobiegu i przemieścił się od rany aż do mózgu. Dlatego nie zauważyliśmy go, kiedy czyściliśmy ranę na karku.

- To poważna sprawa? - zapytałem. - Śrut dostał się do mózgu?

- Właściwie zatrzymał się w miejscu, gdzie tętnica wchodzi do mózgu. Efektem był wylew, co wyjaśnia utratę przytomności. Prawdopodobnie wylew wyłączył obie półkule.

- I co teraz? Jest już przytomny? Zostaną jakieś trwałe uszkodzenia?

- Nie, jeszcze nie odzyskał przytomności - powiedział doktor. - Jeśli chodzi o trwałe uszkodzenia... na razie nie wiemy. Co godzina robimy badanie neurologiczne. Poza tym całą dobę czuwa przy nim policjant. Nie wiem, czego się boją. Tak czy siak, mam pański numer, panie McKnight. Zadzwoń, jeśli coś się zmieni.

- Dziękuję bardzo.

Rozłączyłem się i wjechałem w boczną drogę, na południe. Kiedy się skończyła, wróciłem na północ. Domy od strony jeziora miały skrzynki pocztowe i długie dojazdy. Niektóre budynki były większe niż inne, ale wszystkie wyglądały na lekko podniszczone zimami i sztormowymi wiatrami od jeziora. Mijałem mnóstwo tabliczek: „Teren prywatny”. Typowe dla okolic Wielkich Jezior.

Nie widziałem nigdzie żadnego białego cadillaca. Ani czerwonego mustanga. Droga kończyła się gwałtownie w miejscu, gdzie w linię brzegową wrzynała się zatoczka. Zamontowano nawet barierkę, żeby nie wjechać do wody. Dalej stał płotek z łańcuchów, przy którym leżały śmieci chyba z czterech lat. Zawróciłem do centrum miasteczka.

I co teraz, Alex? Albo jedziesz do szpitala i czekasz, co stanie

się z Randym, albo zostajesz tutaj i robisz coś głupiego.

Kiedy zajechałem przed bar Rocky'ego, zobaczyłem na parkingu samochód Marii. Wziąłem telefon. O dziwo, tym razem zadziałał. Dzień dopiero co wstał, a już tyle cudów. Leon odebrał po pierwszym dzwonku.

- Alex, mam dla ciebie nazwiska - rzucił od razu. W głosie słychać było entuzjazm. To dla takich chwil żył. - Jesteś gotów?

Nie miałem notesu, więc wyjąłem jakąś kopertę ze schowka.

- Dawaj - powiedziałem.

- Najpierw podam ci nazwiska z tego białego cadillaca - oznajmił. - Jeśli na tablicy widziałeś V, to właścicielka nazywa się Ethel Birmingham i mieszka w Center Line w stanie Michigan. Ale ona jeździ brązowym buickiem.

- W takim razie to nie było V - stwierdziłem.

- Brawo - pochwalił mnie. - A zatem chodzi o Milesa Whitleya, który akurat ma białego cadillaca z 1983 roku i tak się składa, że jest prywatnym detektywem z Detroit.

- Prywatnym detektywem?

- Zaskoczony?

- Sam nie wiem - odparłem. - Chyba nie. Skoro ją śledził, to może wynajął go ten Harwood.

- To samo pomyślałem - stwierdził Leon. - Mam do niego telefon, jeśli chcesz. Powinniśmy do niego dzwonić? Jak sądzisz?

- Dobrze pytanie. - Westchnąłem. - Zastanówmy się nad tym jeszcze.

- W porządku, chcesz od razu drugą tablicę? Robi się coraz ciekawiej.

- Jak to, ciekawiej? - zapytałem. - Przecież wiemy, że to auto Marii.

- Tak, Marii Zambelli - sprecyzował Leon. - Adres: Romney Street, Farmington.

- Dom Leopolda - powiedziałem.

- Bingo.

- Więc znamy nazwisko, jakim się dziś posługuje. A co z tym „ciekawiej”?

- No właśnie... Zambelli. Brzmiało jakoś znajomo. Pół godziny zachodziłem w głowę, gdzie je słyszałem.

- I?

- Pamiętasz, jak przyjechałeś do mnie po tych podróżach z Ran- dym? Co mi wtedy powiedziałeś?

- O rany... opowiedziałem ci, co się stało. Jak trafiliśmy do domu Leopolda.

- I o tym, jak was porwano i więziono w piwnicy.

- Dobra, Leon, naprawdę nie mam ochoty przypominać sobie tego wszystkiego. O co ci chodzi?

- Leopold był przekonany, że pracujecie dla Harwooda, prawda? Dlatego tak was potraktowali.

- No i?

- A co ja wtedy powiedziałem?

- Szczerze? Nie pamiętam. Przepraszam.

- Że powinniśmy dowiedzieć się czegoś o Harwoodzie, żeby im pomóc.

- No tak, rzeczywiście. A potem poradziłem ci, żebyś dał sobie spokój.

- Właśnie. Ale myślisz, że dałem sobie spokój?

- Znając ciebie, pewnie nie - odparłem. - Zwłaszcza że teraz o tym wspominasz.

- Trochę się tylko rozejrzałem, Alex. Wyszukałem to i owo w Internecie pod nazwiskiem Harwood.

- No dobra, i co znalazłeś, Leon?

- Nic - odparł. - Przynajmniej wtedy wydawało mi się, że to nic takiego. Przekopałem się przez bazę danych ze starymi artykułami z gazet, szukając czegokolwiek o Harwoodzie. Liczyłem na to, że znajdę coś o aresztowaniu Harwooda za prześladowanie kogoś. Coś w tym guście. Niestety, nic z tego. Więc odpuściłem. Ale kiedy szukałem informacji, widziałem te dwa nazwiska razem. Harwood i Zambelli.

- Gdzie je widziałeś razem, Leon? Przypomniałeś sobie?

- Jasne, musiałem tylko wrócić do bazy danych i znów trochę poszperać - wyjaśnił. - Teraz mam wszystko przed sobą.



Harwood-Zambelli Incorporated. Spółka deweloperska założona w 1969 roku. Pojawiają się w stanowym śledztwie z 1977 roku wszczętym po zakupie dużej działki od władz stanu. Podejrzewano przekręt, ale nie postawiono żadnych zarzutów.

- Harwood-Zambelli - powtórzyłem. - A są ich imiona?

- Nie, ale będę grzebał dalej.

- Nieruchomości, co? A tak na marginesie, gdzie jest ta ziemia, którą kupili?

- Niedaleko Traverse City - powiedział.

- Dwie godziny drogi stąd na północ - mruknąłem. - Masz coś więcej na ten temat?

- Na razie to tylko tyle - odparł. - Pomyślałem, że powinieneś to wiedzieć. O ile istnieje tu jakiś związek.

- Gdyby nie, byłby to niezwykle zbieg okoliczności - stwierdziłem. - Cholera, Leon, nawet jak siedzisz cały dzień na tyłku, potrafisz odwalić kawał dobrej roboty.

- I co teraz zamierzasz? - zapytał.

Spojrzałem na samochód Marii stojący z piętnaście metrów ode mnie.

- Trochę zaschło mi w gardle - powiedziałem. - Muszę się czegoś napić.

Wysiadłem z furgonetki i wszedłem do baru.

Nic się nie wydarzyło. Nie było jak w westernie, kiedy rewolwerowiec staje w progu, pianino cichnie, a wszyscy podnoszą wzrok. Nikt nawet mnie nie zauważył. Goście dalej jedli śniadania i pili wczesne piwo.

Maria siedziała dokładnie tam, gdzie wczoraj wieczorem. Czytała gazetę, a na barze stał przed nią pusty talerz. Od razu przysiadłem się do niej.

- Pani Zambelli - zagadnąłem. - Dzień dobry.

Odłożyła gazetę i spojrzała na mnie. Po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć się tej kobiecie z bliska i, na litość boską, miała takie oczy, że od razu chciało się chwycić za pióro i pisać wiersze.

Cholera, mógłbym nawet zaśpiewać arię Romea. Po

francusku.

Takie oczy widziałem wcześniej tylko u jednej osoby - Sylvii Fulton. Wpadłem w nie na półtora roku, aż w końcu mnie rzuciła. Maria miała ciemniejsze oczy, ale działały tak samo - po prostu hipnotyzujące.

- Czy my się znamy? - zapytała.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, wtrącił się barman. Pochylił się nad barem, aż zatrzymał twarz trzydzieści centymetrów od mojej.

- Co ty tu robisz, do cholery? - warknął.

Kiedy poprzedniego wieczoru przyjechałem do Orcus Beach po raz pierwszy, trochę się zdziwiłem, że tak szybko znalazłem Marię. Po prostu wszedłem do jedyne go baru, i proszę. Ale prędko się zorientowałem, dlaczego mogła ukrywać się na widoku. Wokół miała dość uzbrojonych po zęby facetów, gotowych rzucić się jej na pomoc.

- Jesteś Harry, dobrze pamiętam? - zapytałem. - A gdzie Rocky? Chciałem się z nim przywitać.

- Masz dziesięć sekund, żeby stąd zniknąć - oznajmił barman.

- Tak, tak, policz sobie do dziesięciu - powiedziałem. - Mnie to zawsze uspokaja. - Rzuciłem dwa banknoty na kontuar. - A potem przynieś mi piwo.

Nawet nie spojrział na pieniądze. Cofnął się o krok i nie odrywając ode mnie wzroku, zdjął słuchawkę ze ściany.

- Chwileczkę, Harry - odezwała się Maria. - Zanim go aresztujesz, posłuchajmy, co ma do powiedzenia. Może będzie się z czego pośmiać.

- A za co, u licha, miałbyś mnie aresztować? - zwróciłem się do barmana. - Tylko sobie siedzę i chcę się napić piwa.

Nie odpowiedział. Widziałem, jak zaciska do białości palce na telefonie.

- Nieważne - mówiłem dalej. - Na pewno coś byście wymyślili.

- Czekamy na pańską historyjkę - przypomniała Maria. Wyjęła z paczki papierosa. - Ma pan ogień?

- Nie palę.

Harry odłożył słuchawkę i wyjął zapalniczkę.

Przypalał papierosa, ale wciąż nawet na chwilę nie oderwał ode mnie wzroku. Gość miał talent.

- Lubi pani opiekę wielkich facetów, co? - powiedziałem.

- Z pana też nie ułomek - zauważyła. - Muszę przyznać, że wygląda pan o wiele lepiej niż ci pozostali, których nasyłał na mnie Charles.

- Ma pani na myśli Harwooda?

- A to nie pan śledził mnie w białym cadillacu przez ostatnich kilka dni?

- Nie, szanowna pani. Jeżdżę fordem furgonetką - odparłem.

- W takim razie coś pan za jeden? - zdziwiła się. - Zaraz, niech zgadnę. - Zaciągnęła się i wypuściła dym prosto w górę. - Chyba wiem. Brat mówił mi, że w zeszłym tygodniu przyszło do niego dwóch mężczyzn, którzy mnie szukali. Matka przekonywała go, że nie wysłał ich Charles, ale Leo wciąż nie do końca w to wierzy.

- Wydawało mi się, że brat nie znosi, jak ktoś mówi na niego Leo - zauważyłem.

- Aha, więc jest pan jednym z tych dwóch - stwierdziła. - Myślałam, że spławił was i nie powiedział, gdzie jestem.

- Pani Zambelli - zacząłem. - Mario. - Harry posłał mi piorunujące spojrzenie, kiedy zwróciłem się do niej po imieniu, jakbym dopuścił się wielkiej nieprzyzwoitości. - Czy brat nie wyjaśnił ci, kim jesteśmy?

- Cóż, wymienił dwa nazwiska - przyznała, zaciągając się papierosem. - Ale nie pamiętam jakie.

- Nazywam się Alex McKnight. To akurat nic ci nie powie, ale ten drugi to Randy Wilkins.

Spojrzała na mnie bez słowa. Po dłuższej chwili odwróciła wzrok.

- Pamiętasz go? - zapytałem.

- To facet, którego postrzelono tutaj dwa dni temu. Wtedy usłyszałam to nazwisko. Szeryf je wymienił. - Zerknęła na Harry'ego, ale ten tego nie zauważył. Za bardzo był zajęty

obserwowaniem mnie.

- Owszem - stwierdziłem. - Randy cię szukał. Pamiętasz go?  
Sprzed trzydziestu lat?

- Nie. To szmat czasu.

Zawahałem się.

- Twoja matka go rozpoznała. Od razu.

- Ma dobrą pamięć - odparła. - To jeden z jej wielu talentów.  
Niestety, większości z nich nie odziedziczyłam.

- Mój Boże, nie wierzę. Mówisz, że go nie pamiętasz. A nie znalazł cię tutaj? Jeszcze przed strzelaniną? W ogóle nie rozmawialiście?

- Harry - zawołała. - Goście czekają. - Skinęła w stronę mężczyzn po drugiej stronie baru. Stali z pustymi szklankami i wyraźnie tracili już cierpliwość.

Barman nawet się nie ruszył. Świdrował mnie wzrokiem.

- No idźże - ponagliła go. - On jest chyba niegroźny. Ale jak chcesz, to go obszukaj.

Harry cofnął się powoli do dwóch piwoszy. Napędzając im szklanki, wciąż mnie obserwował.

Maria zakryła twarz rękoma. Nie patrząc na mnie, coś szepnęła.

- Nie słyszę - powiedziałem.

- Ciii. - Nie oderwała rąk od twarzy. - Zachowuj się naturalnie. Powiedz do mnie, że się pomyliłeś, i wyjdź. Za dwadzieścia minut pójde do samochodu. Jedź za mną.

Opuściła ręce i zgasiła papierosa. Dusiła go w popielniczkę jakby za karę.

- Przepraszam - powiedziała głośno, kiedy Harry wrócił do nas. - Nie pamiętam żadnego Randy'ego Wilkinsa. Nic mi się nie kojarzy z tym nazwiskiem.

## Rozdział 16

DWADZIEŚCIA MINUT PÓŹNIEJ siedziałem w furgonetce i gapiłem się tępo na drzwi do baru. Zastanawiałem się, czy mój nowy przyjaciel Harry nie wyjdzie przypadkiem i nie spyta, czemu jeszcze sobie nie pojechałem. Właśnie zaświeciło słońce. W połowie kwietnia nad jeziorami w Michigan to niebywała rzadkość. Na oświetlonym słońcem parkingu pojawiła się Maria. Stała przez chwilę i mrugała. Była niska i miała podobną budowę jak Leopold. Rozejrzała się i zobaczyła mnie w furgonetce. Dobrą minutę patrzyła mi prosto w oczy, po czym lekko przechyliła głowę. W końcu podeszła do czerwonego mustanga.

Wyjechała z parkingu. Skręciła w lewo, w stronę centrum miasteczka. Na skrzyżowaniu ze światłami zobaczyłem, jak Stu nalewa paliwo, ale nie podniósł wzroku i nie widział żadnego z nas. Maria znów skręciła w lewo, na zachód, w stronę jeziora. Na kilka sekund straciłem ją z oczu, ale zaraz dostrzegłem czerwone auto. Stała przed przystanią. Zaparkowałem obok.

Wyskoczyła z mustanga, wpadła do furgonetki od strony pasażera i zatrzasnęła drzwi.

- Opowiedz wszystko co wiesz - rozkazała. Wsunęła prawą dłoń do skórzanej torebki.

- Nie marnujesz czasu - zauważyłem. - Jaką broń chowasz?

- Ktoś może nas zobaczyć. Mów - ponagliła. - Będzie żył?

- Nie wiem - odparłem. - Kawalek metalu dostał mu się do mózgu.

- Po prostu nie wierzę. - Dłoń wciąż trzymała w torebce.

Wyobrażałem sobie, że ma tam mały rewolwer z rączką z masy perłowej. Ale przynajmniej nie była to strzelba.

- Za jakiś czas skontaktuję się ze szpitalem - wyjaśniłem. -

Może już coś konkretnego mi powiedzą.

- Skąd znasz Randy'ego? Jesteś jego przyjacielem?

- Dawnym kumplem z drużyny. Zjawił się u mnie w zeszłym tygodniu i prosił, żebym pomógł cię odnaleźć. Opowiedział, jak poznaliście się w Detroit w 1971 roku.

- Grałeś z nim wtedy? W Detroit? Przepraszam, próbuję sobie przypomnieć...

- Nie, graliśmy razem w Toledo. Jego we wrześniu powołali do Tygrysów, mnie nie. Więc nie widziałem, jak się poznaliście.

- Mówił, dlaczego chciał się ze mną spotkać?

- Mario, rozumiem, że jesteś ostrożna, ale w tym tygodniu już za dużo razy byłem na celowniku. Zaczyna mnie to wkurzać.

- Nie celuję w ciebie - obruszyła się. - Po prostu trzymam w ręku...

- Albo mi zaufasz, albo nie - powiedziałem. - Jeśli nie, to wysiadaj i jadę w swoją stronę.

Wyciągnęła dłoń z torebki. Przez mrozącą krew w żyłach chwilę zobaczyłem błysk czegoś białego.

Szczotka do włosów.

Wziąłem głębszy oddech.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie grał z tobą w pokera - westchnąłem.

- Przepraszam. Tyle już przeszłam... Zresztą, nieważne. Co mówił Randy? Dlaczego mnie szukał?

- Wygadywał jakieś głupoty. O tym, że wtedy cię zostawił i że po tylu latach wciąż o tobie myśli. I nagle doszedł do wniosku, że znów musi cię zobaczyć.

- Mój Boże - szepnęła.

- Tyle że dziś wiem, że prawdopodobnie próbował coś od ciebie wyłudzić.

Popatrzyła na mnie. Nie odezwała się.

- W końcu trafiliśmy do domu twojego brata - ciągnąłem. - To już wiesz. Myślałem, że na tym koniec. Byłem przekonany, że Randy wrócił do Kalifornii. Ale nie, przyjechał tu i ktoś go postrzelił.

Wyjrzała przez okno. Słońce zaszło za chmurę, a jezioro zmieniło kolor na inny odcień zieleni.

- Mario, przysięgam, nie miałem pojęcia, że Randy jest przestępcą. Dowiedziałem się dopiero od szeryfa.

- Nie widziałeś go od trzydziestu lat? - dziwiła się. - Nie utrzymywaliście żadnego kontaktu?

- Nie.

- I co, tak nagle zjawia się i prosi cię o pomoc? Dlaczego?

- Nie wiem. Bo mieszkam w Michigan? Bo znam Detroit?

- A ty czemu mu pomogłeś?

- Tego też nie wiem - przyznałem. - Bo mnie poprosił. Bo myślałem, że szuka cię ze szlachetnych powodów. Albo przynajmniej niewinnych. Do głowy mi nie przyszło, że chce cię oszukać. Choć teraz wszystko zaczyna nabierać sensu. Randy robi przekręty w handlu nieruchomościami i to chyba może mieć związek ze spółką Zambelli- -Harwood...

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Skąd o niej wiesz?

- Mój wspólnik znalazł stary artykuł w prasie - wyjaśniłem. - Dopiero co przekazał mi tę informację. Zambelli w nazwie to ty czy...

- Mój mąż - odpowiedziała. - Świętej pamięci. Harwood go zabił.

Milczałem. Jej słowa zawisły w powietrzu. Po drodze obok przejechał jakiś samochód. Maria osunęła się niżej na fotelu.

- Dlaczego nie chciałaś, żeby barman się zorientował, że rozpoznałaś nazwisko Randy'ego?

- To długa historia. Możesz przyjechać do mnie do domu?

- Jasne - odparłem. - Na pewno? Twój przyjaciele z baru nie byliby zachwyceni, gdyby się dowiedzieli.

- Pokazałam ci przecież swoją broń, prawda? - Odłożyła szcztokę do torebki. - Nie mam takiego talentu jak matka, ale chyba umiem dostrzegać prawdziwą naturę ludzi. Myślę, że mówisz prawdę.

- Pojadę za tobą. Prowadź.

Poszła do swojego samochodu i wyjechała na asfalt. Niecały kilometr dalej skręciła w żwirową drogę pełną dziur. Od frontu posiadłość otaczał stary drewniany płot, więc domu nie było widać. Zobaczyłem go dopiero po chwili i od razu wiedziałem, że to największa rezydencja w mieście.

Podjazd wił się aż do frontowych drzwi, ale Maria nie przystanęła. Jechała dalej, za dom. Zaparkowałem za mustangiem, obok małej łódki na przyczepie. Plastikowa plandeka, która ją przykrywała, była obwiązana tak długą liną, że wytrzymałaby nawet huragan.

Maria zaprowadziła mnie do bocznych drzwi. Przed nimi wylano niski betonowy podest, od którego prowadziła ścieżka do małej szopy na łódki. Od jeziora wiał przedpołudniowy wiatr.

- Ładny dom - powiedziałem. Najpierw wchodziło się do małego przedpokoju, gdzie można było zdjąć płaszcz, a dalej do wielkiego salonu wyłożonego białą sosną, z wielkimi ciosanymi belkami pod sufitem. Na ścianach wisiały w ramkach jakieś morskie mapy i marynarski barometr osadzony w pozłacanym kole sterowym. Coś mi mówiło, że to nie Maria aranżowała wnętrze.

- Wynajmuję ten dom - wyjaśniła. - Nie zgadniesz od kogo.

- Od kapitana Nemo - stwierdziłem.

- Od szeryfa Rudigera.

- Cudownie. Na pewno bardzo się ucieszy, kiedy się dowie, że tu byłem.

- Za te pieniądze, które mu płacę, mogę zapraszać, kogo zechcę. Coś do picia?

- Może piwo? - zaproponowałem. - U Rocky'ego się nie doczekałem.

Kiedy wyszła, wyrząłem przez wielkie panoramiczne okno na jezioro Michigan. Teraz było spokojne, ale wiedziałem, że potrafi zmienić się bez ostrzeżenia. Na parapecie leżała lornetka firmy Leica, musiała kosztować co najmniej pięćset dolarów. Wziąłem ją i spojrzałem na jezioro. W oddali, na północ sunął frachtowiec, pewnie z Chicago. Będzie płynął pod mostem



Mackinac, przy Wyspie Drummonda, a potem przez służę w Soo. Gdybym teraz wyruszył do domu, pewnie złapałbym go znowu, gdy przecina zatokę Whitefish.

Maria wróciła do salonu z dwoma piwami i szklankami. Należała do kobiet, które zawsze wyglądają świetnie, nawet z piwem w ręku.

- Ma gust, jeśli chodzi o lornetki - pochwalilem szeryfa. - Dlaczego w ogóle wynajmuje ci ten dom? Gdzie sam mieszka?

- Ma małe mieszkanko w mieście. - Postawiła butelki na stoliku do kawy. - Twierdzi, że po śmierci żony i wyprowadzce dzieci nie potrzebuje już takiej przestrzeni. Ja zresztą też nie. Wynajmuję tylko tymczasowo.

- Do kiedy? - zainteresowałem się.

Spojrzała na mnie.

- Aż znajdę coś na stałe - odparła. - A teraz opowiedz mi jeszcze o Randym.

Razem usiedliśmy na kanapie.

- Więc go pamiętasz z 1971 roku? - zagailem.

- Oczywiście - przyznała.

- To było prawie trzydzieści lat temu.

- Mogłoby być i osiemdziesiąt, a i tak bym pamiętała.

- Z całą pewnością Randy to nietuzinkowy człowiek, jednak...

- Alex - przerwała mi. - Wiem, że już o to pytałam... Ale po co on tu przyjechał? Myślisz, że naprawdę chciał... jak to określiłeś? Coś ode mnie wyłudzić?

Popatrzyłem na Marię.

- Już mówiłem. Początkowo myślałem, że pragnie cię po prostu odszukać. Z sentymentu.

- I ty mu uwierzyłeś.

- Tak - przyznałem. - A gdybym cię zobaczył wcześniej, tym bardziej nie miałbym wątpliwości.

- Dzięki za komplement. Ale mimo wszystko, Alex, większość osób nie zadałaby sobie trudu, żeby mu pomóc.

- Jestem stuprocentowym idiotą. To już chyba ustaliliśmy.

- Nie - zaprotestowała. - Uwierzyłeś mu, bo po prostu taki je-

steś.

- Taki idiota.

Uśmiechnęła się.

- A teraz w co wierzysz? Naprawdę myślisz, że przyjechał tylko po to, by mnie okraść?

- Zdaje się, że to jego powołanie - westchnąłem. - Fakty mówią same za siebie.

Wyjrzała przez wielkie okno na jezioro.

- Rzeczywiście mam trochę pieniędzy - odezwała się. - Mężowi bardzo dobrze się wiodło, zanim... zginął.

- Zabił go Harwood.

- Tak.

- Możesz mi o tym opowiedzieć?

Wzięła głęboki wdech.

- Poznałam Randy'ego jako bardzo młoda dziewczyna. A on był tym pierwszym, rozumiesz? Kiedy wyjechał bez słowa, mocno to przeżyłam. Nie sądziłam, że kiedykolwiek pokocham jeszcze jakiegoś mężczyznę. Ale wtedy do matki przyszedł pewien człowiek. Nazywał się Harwood. Charles Harwood. Zaczął wracać, a za każdą wizytę płacił po sto dolarów. W tamtych czasach to góra forsy. Jeździł wielkim kabrioletem. Ojciec bardzo zainteresował się Charlesem, a ten wyraźnie był zainteresowany mną. Wiele razy prosił, żebym przejechała się tym wspaniałym samochodem, ale ja zawsze odmawiałam. Ojciec się na mnie złościł. W końcu przekonał mnie, żebym pojechała z Harwoodem. „To tylko przejażdżka po mieście” mówił. „Co ci zaszkodzi taka krótka wycieczka samochodem? Ten facet płaci sto dolarów za każdą wizytę u matki”. Zgodziłam się więc, a on obwioził mnie po Detroit z opuszczonym dachem. Zadawał rozmaite pytania, ale nie miałam ochoty rozmawiać. W końcu się zamknął i odwiózł mnie do domu. Myślałam, że na tym koniec. Niestety, w następnym tygodniu wrócił i znów zaproponował wycieczkę. Pojechałam, ale nie odezwałam się do niego słowem. Mimo to wracał, nadal płacił matce po sto dolarów i zapraszał mnie na przejażdżkę samochodem. Aja

jechałam i milczałam. W końcu pewnego dnia wywiózł mnie aż na wieś. Byłam przerażona. Ale nic nie mówiłam. Nie chciałam, żeby wiedział, jak się boję. Pojechał na jakąś farmę w hrabstwie Oakland, wąską polną dróżką środkiem pola, a kiedy w końcu się zatrzymał, byłam pewna, że zaraz zrobi mi coś strasznego. Ale się myliłam. Siedział tylko, patrzył na tę farmę, a po chwili oznajmił, że razem ze współnikiem kupili tę ziemię i zamierzają zbudować tu pole golfowe. Potem kupią jeszcze więcej ziemi i zbudują kolejne pole, i tak dalej. W końcu obaj zostaną bardzo bogaci. Zapytał, czy zastanawiałam się kiedyś, jakby to było mieć mnóstwo pieniędzy, ale nim zdążyłam odpowiedzieć, pojawił się współnik. Jechał tuż za nami poobijanym małym samochodem i podszedł, żeby zobaczyć, co to za dziewczyna siedzi w kabrioletcie Harwooda. Nazywał się Arthur Zambelli. - Przerwała, pociągnęła długi łyk piwa, znów spojrzała na jezioro i opowiadała dalej: - Arthur Zambelli okazał się całkowitym przeciwieństwem Harwooda. Był miły i delikatny. I nie dbał o pieniądze, choć miał ich jak lodu. Po prostu o nich nie myślał. Chciał tylko budować różne rzeczy. Jeść wykwintne dania, pić dobre wino. I szampana. Uwielbiał szampana. Powiedział mi, że każdy dzień w życiu powinien być na tyle szczególny, żeby móc świętować go szampanem. Wiem, że to brzmi ckliwie, ale potrafił o tym mówić przekonująco. Alex, byliśmy małżeństwem dziesięć lat. Prawie. Nasza dziesiąta rocznica wypadłaby... - Zamilkła, przez twarz przemknął jej mały uśmiech. - Harwood się wściekł, że wybrałam Arthura, a nie jego. Starał się nie dać tego po sobie poznać. Może i zrezygnowałby ze spółki, ale szkoda mu było interesu z polem golfowym. Potem znów w coś zainwestowali i znów. Zawsze mieli na oku jakąś kolejną nieruchomość. Hotel, pole golfowe czy kurort narciarski do zbudowania. Doskonale im się wiodło. Wysłałam za Arthura, a Harwood w końcu poślubił inną kobietę. Cała nasza czwórka spędzała razem dużo czasu. Musieliśmy. Ale Harwood nie zapomniał, że go odrzuciłam. Zawsze tak na mnie patrzył i tak się do mnie odzywał, kiedy zostawaliśmy sami, że... - Urwała na

chwilę. – Małżeństwo Charlesa nie potrwało długo. Wcale mnie to nie zdziwiło. Im lepiej go poznawałam... Im więcej czasu musieliśmy z nim spędzać... Boże, Alex, to najokropniejszy człowiek, jakiego znam. Tak bardzo oszukiwał Arthura. Przez lata próbowałam ostrzec męża. Przekonać go, żeby rozwiązał spółkę. I może by to zrobił, gdyby Harwood nie...

Przerwała.

– Tak, Mario? – zachęciłem ją do dalszych zwierzeń.

– Pewnej nocy Arthur pojechał na jedną z działek. Lubił to robić. Chodził po świeżo kupionej ziemi, żeby ją poczuć. Następnego dnia znaleziono go w rowie melioracyjnym. Ze złamanym karkiem. Mówili, że sam tam wpadł, ale ja nie wierzę. To Harwood go zabił. Na pewno.

– Kiedy to było?

– Sześć miesięcy przed narodzinami Delilah – powiedziała. – Tak długo staraliśmy się o dziecko. Wyobrażasz sobie? Nawet nie zobaczył córki. Od osiemnastu lat jestem wdową i przez ten cały czas ukrywam się przed Harwoodem. Przeprowadzam się, a on mnie znajduje. Znow się przenoszę i kilka lat później Charles mnie dopada...

– Czego od ciebie chce? Tak bardzo cię nienawidzi, że wyszłaś za jego współnika, a nie za niego?

– Nie chodzi tylko o osobistą wendetę – odparła. – Kilka lat przed śmiercią Arthura kupili prawie dwieście osiemdziesiąt hektarów ziemi w pobliżu Traverse City. Wtedy nic tam nie było, ale teraz cała okolica przeżywa wielki boom. Powstają nowe kurorty, a ich działka leży niedaleko wielkiego pola golfowego. W pobliżu są nawet górkę dla narciarzy. Z łatwością można by sprzedać tę ziemię za dwadzieścia milionów.

– Więc czemu tego nie zrobicie?

– Ziemia wciąż należy do starej firmy. Harwood-Zambelli. A w umowie spółki jest zastrzeżenie, że na sprzedaż jakiegokolwiek wspólnej nieruchomości muszą się zgodzić obaj udziałowcy.

– I nie możecie się zgodzić? Dlaczego nie mielibyście jej oboje sprzedać?

- To nie takie proste - powiedziała. - W umowie znajdują się konkretne wytyczne, co się dzieje w przypadku śmierci każdego ze współników. Wdowa przejmuje jego prawo głosu i ma prawo do połowy zysków. Rozwiedziona małżonka dostaje tylko dwadzieścia procent zysków i nie ma prawa głosu. Była żona Harwooda stara się podważyć ten punkt, choć przed ślubem podpisała intercyzę. Michigan ma dość restrykcyjne przepisy, jeśli chodzi o własność małżeńską, więc kobieta nie jest bez szans.

- A co ty masz z tym wszystkim wspólnego? Jesteś wdową. Tego nikt nie zmieni. Chyba że...

- ... i ja umrę - dokończyła. - Na to też istnieje odpowiedni paragraf. Obowiązują takie same zasady, jak w przypadku rozwodu. Dwadzieścia procent zysków trafia do moich spadkobierców i tracą prawo głosu. Arthur nie zdawał sobie sprawy, że podpisując tę umowę, wydaje na mnie wyrok śmierci.

- A więc dwadzieścia procent zamiast pięćdziesięciu - powiedziałem. - Z dwudziestu milionów. Zabiłby cię dla sześciu milionów dolarów?

- Nie mam żadnych wątpliwości.

Pociągnąłem łyk piwa i zamyśliłem się.

- Ale twój brat nie ucieka - zauważyłem. - Dlaczego jeszcze nie uśmiercił tego faceta?

- Niewiele brakowało - przyznała. - Kiedy Arthur zmarł, opowiedziałam Leopoldowi o swoich przypuszczeniach. Pojechał do Harwooda i próbował go zabić. Dzięki Bogu, że tego nie zrobił. Poszedłby do więzienia. Od tego czasu Leopold stara się rzucić mu wyzwanie, mieszka w jednym miejscu i czeka, aż Harwood po mnie przyjdzie. Ten dom w Farmington kupiliśmy jako pierwszy. Delilah chodzi już do liceum. Chcę, żeby je tam skończyła. Leopold obiecał mi, że ją ochroni. Pilnują dziewczyny non stop.

- Wiem - wtrąciłem się. - Przekonałem się na własnej skórze.

- Ano właśnie - powiedziała. - A ja jestem dość blisko, widuję

się z nią od czasu do czasu. Spotykamy się w weekendy. I uważamy, żeby nikt jej nie śledził.

- Randy nie był taki ostrożny - stwierdziłem. - Ten biały Cadillac należy do jakiegoś prywatnego detektywa.

- Skąd wiesz?

- Mój wspólnik sprawdził numery rejestracyjne. Właściciel samochodu nazywa się Whitley. Pochodzi z Detroit.

- Na pewno Harwood go wynajął - stwierdziła. - Już tak robił.

- W takim razie sami musimy się z nim skontaktować - uznałem. - I powiedzieć mu, żeby spał.

- Wtedy naśle kogoś innego, skoro już mnie namierzył. Albo zjawi się sam...

- A czemu nie zrzekniesz się pełnych zysków ze sprzedaży ziemi? Weź dwadzieścia procent, a on niech się udławi resztą.

Spojrzała na mnie.

- Przestałaś uciekać - przekonywałem.

- Nie wiem. Może masz rację. Może powinnam tak zrobić.

- Masz pieniądze. Sama mówiłaś. Majątek po mężu, prawda?

Wyjrzała na jezioro.

- Chyba jest już za późno - odezwała się. - Powinnam to zrobić osiemnaście, a nawet dziesięć lat temu. Teraz Harwood ma już obsesję. Nie wiem, czy po tylu latach zadowolili go cokolwiek innego niż całość. Co do grosza, Alex.

Kiedy znów na mnie spojrzała, zobaczyłem łzy w jej oczach. Bóg mi świadkiem, że myślałem tylko o tym, jaka jest urocza. To jedyne pasujące słowo. Nie piękna, nie ładna. Urocza.

- Co do grosza - powtórzyła. - A na dodatek moje życie. On chce, żebym zginęła.

Zaprzagnąłem złapać ją za dłoń. Ale tego nie zrobiłem.

- No dobrze - powiedziałem. - Przepraszam. Pewnie nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, co przeszłaś.

- Aż tu nagle zjawia się Randy. - Westchnęła. - To niewiarygodne.

- Mario, wciąż nie rozumiem, dlaczego w barze mówiłaś, że go nie pamiętasz.

Spojrzała w pustą szklanę, którą trzymała w ręku.

- Mario?

Milczała.

- Mario, o co chodzi?

- To ja - odezwała się tak cicho, że ledwie ją słyszałem.

- O czym mówisz?

- To ja do niego strzeliłam - wyznała.

## Rozdział 17

OTWORZYŁA DRZWI OD FRONTU. Nie wyszła za mną na werandę, stanęła tylko oparta o framugę, z rękoma złożonymi na piersiach. Po obu stronach werandy, wyłożonej płaskim piaskowcem, rosły wysokie rośliny – o tej porze roku jedynie płatanina nagich gałęzi. Było chłodno. Kurtkę zostawiłem w salonie. Trudno. Ze wzrokiem wbitym w piaskowiec, słuchałem, jak Maria opowiada, co się stało.

- Trzy dni temu wróciłam do domu – mówiła. – Kiedy tylko weszłam, wiedziałam, że ktoś tu był. Wszystko leżało, tak jak powinno, ale nie dokładnie. Coś było... nie tak. Czułam to. Zadzwoiłam do szeryfa Rudigera. Przysięgał, że nie przyjeżdżał. Ma klucz, ale z niego nie korzysta bez mojej wiedzy. A kiedy zaczęłam w miasteczku widywać białego cadillaca, szybko domyśliłam się, o co chodzi. Harwood znów mnie znalazł. Jakoś mu się udało. I to mężczyzna z cadillaca się tu włamał. Dotykał łapskami wszystkich moich rzeczy. Znów zadzwoniłam do szeryfa. Obiecał, że będzie miał na niego oko, ale nic więcej nie może zrobić. To jedyny policjant na etacie w tym mieście.

- Tak, słyszałem – wtrąciłem. – Jeden zawodowiec i mnóstwo amatorów z bronią. I co się działo dalej? Samochód znów się pojawił?

- Tak. Zobaczyłam go następnego dnia. Z pokoju na piętrze widać drogę przez drzewa. Cadillac po prostu stał. Zadzwoiłam po szeryfa, ale zanim tu dojechał, samochód zniknął. Wrócił po zmroku. Siedziałam na piętrze i go obserwowałam. Zaparkował w tym samym miejscu, tuż za drzewami, tam gdzie się zaczyna płot. Już miałam znów dzwonić po szeryfa, kiedy usłyszałam, że ktoś idzie ścieżką. – Przerwała. Stała z założonymi rękoma i wpatrywała się w przestrzeń.



- Co się stało? - dociekałem.

- Miałam broń. Strzelbę od Leopolda. Jedną trzyma w domu, a drugą dał mnie. Byłam pewna, że to Harwood albo wynajęty przez niego zabójca. Wzięłam strzelbę, wyrzuciłam przez okienko w drzwiach i zobaczyłam, że napastnik ma coś w ręku. Broń, pomyślałam. Na pewno. Przyszedł mnie zabić. Co z tego, że drzwi zamknięte na klucz. Raz już tu wszedł. Nic go nie powstrzyma. Chyba że... otworzę drzwi i strzelę. I strzeliłam, Alex. Potem wybiegłam z domu, wskoczyłam do samochodu i ruszyłam z piskiem opon. Jadąc, zaczęłam przypominać sobie twarz tego mężczyzny. Patrzyłam na niego, ale tak naprawdę zobaczyłam go dopiero później, kiedy miałam czas pomyśleć o tym, co się zdarzyło. Znałam go. Teraz nosi brodę i wąsy, prawda? Wygląda trochę inaczej. Ale to wciąż ta sama twarz. Po tych wszystkich latach się nie zmienił. A ja do niego strzeliłam.

- Miał broń?

- Co? - Spojrzała na mnie.

- Mówiłaś, że coś trzymał w ręku. Broń?

- Nie - odparła. - Bez. Trzymał w ręku bez. To chyba coś miało znaczyć, prawda? Młodzieńczą niewinność? Nie miał szansy mi wyjaśnić.

Patrzyłem na płyty piaskowca. Nie dostrzegłem płatków bzu. Ani krwi, żadnego śladu tego zdarzenia.

- Był pierwszym mężczyzną, którego pokochałam - mówiła. - A ja do niego strzeliłam.

Nie płakała. Nie wiedziałem, czy chce, żebym ją przytulił, czy żebym poszedł i nigdy nie wrócił. Stałem jak kotek.

- Musisz im o tym opowiedzieć, prawda? - odezwała się.

- O czym?

- Ze do niego strzeliłam. Pójdę do więzienia.

Zastanawiałem się nad tym przez dwie sekundy.

- Niekoniecznie - odparłem. - To był wypadek. Wpadłaś w panikę. A tak w ogóle, co zrobiłaś ze strzelbą?

- Wyrzuciłam w lesie.

- Gdzie?

- Przy drodze. Kilka kilometrów za miastem.

- To chyba nie najlepsze miejsce - stwierdziłem. - Ale nie ma sensu jej teraz szukać.

- Pomożesz mi, Alex?

- Co mam zrobić?

- Dowiedz się, dlaczego tu przyjechał. Czy dlatego, że zwęszył, że mam pieniądze, czy dlatego, że Harwood go jakoś wykorzystał. A potem zaleźlibyśmy Harwooda. Muszę go powstrzymać. Pomożesz mi?

- Nie wiem, czy potrafię, Mario. Jak go znaleźć? Mamy jakiś punkt zaczepienia?

- Tego człowieka - przypomniała. - W białym cadillacu. Jestem pewna, że to Harwood go wynajął.

- Nie udowodnimy, że włamał się do domu - zauważyłem. - Owszem, jeździł za tobą, więc policja udzieli facetowi ostrzeżenia, ale wątpię, żeby ktoś postawił mu zarzuty. I na pewno nie zmuszą go, żeby wyjawiał, dla kogo pracuje. Takie informacje są chronione prawem.

- Jak między lekarzem i pacjentem - powiedziała. - Albo prawnikiem i jego klientem.

- Właśnie.

- Albo prywatnym detektywem i jego klientem - mówiła dalej.

- Jeśli cię zatrudnię, też nie będziesz musiał mówić o tym wszystkim. O czymkolwiek.

Wiedziałem, w którą stronę zmierza. Ale nie obwinałem jej, że chciała się bronić. Zwłaszcza teraz, kiedy poznałem prawdę. Nie winiłem jej też, że pragnęła odnaleźć Harwooda i zakończyć ten koszmar. Nie winiłem jej za nic, nawet za strzał do Randy'ego.

To ja pomogłem mu odnaleźć Marię. Jeśli miałbym kogoś obwinać, to zacząłbym od siebie.

- Mario, porozmawiam ze swoim współnikiem. Może on wpadnie na jakiś pomysł. Jest w tym dobry.

- A w czym ty jesteś dobry? - zapytała.

- Cóż, policja nie zmusi tego detektywa, żeby wyjawiał nazwisko czy miejsce pobytu zleceniodawcy. Ale może mnie się to uda.

Mam tę przewagę, że nie jestem już policjantem. Nie zawsze muszę trzymać się przepisów.

- Myślisz, że dasz radę go złapać?

- Może nie będzie takiej potrzeby - powiedziałem. - Spróbuję do niego zadzwonić i zobaczę, czy umówi się na spotkanie. Jak detektyw z detektywem.

- To znaczy, że weźmiesz tę sprawę?

- Jeśli tylko mogę ci pomóc, zrobię to - odparłem. - Ale wiedz, że tak naprawdę nie jestem prywatnym detektywem. Po prostu zbieg okoliczności. Kiedyś byłem policjantem, ale...

- Alex, weźmiesz tę sprawę?

Popatrzyłem na Marię. Nie przychodził mi do głowy żaden poważny powód, żeby odmówić.

Wróciliśmy do domu z twarzami zaczerwienionymi od chłodu. Opowiedziała mi więcej o Harwoodzie, o tym, jak próbował ją tropić w przeszłości. Po śmierci męża przeprowadziła się na Florydę i tam urodziła dziecko. Cztery lata spędziła w Tampa, bez najmniejszego kontaktu z Harwoodem. Łudziła się nawet, że dał za wygraną, aż do dnia, kiedy zatrzymała się, żeby porozmawiać z sąsiadką. Ta powiedziała, że w ciągu dnia dwóch mężczyzn było u Marii naprawić lodówkę. Tak przynajmniej mówili. Ale Maria wiedziała, co się święci. Zadzwoiła do Leopolda, który mieszkał wtedy z matką w Seattle, i z miejsca pojechała na lotnisko. Zostawiła wszystko.

Trzy lata przemieszkała w Seattle z bratem i matką. Leopold wziął ślub. Jego syn Anthony był dwa lata starszy od Delilah. Harwood znów ich znalazł. Przeprowadzili się więc do Cincinnati. Zona Leopolda odeszła, wróciła do Seattle. Dłużej nie mogła tego znieść. Harwood wytropił ich także w Cincinnati, więc wszyscy wyjechali znów do Seattle. Leopold próbował pogodzić się z byłą żoną. Nie udało się. A Harwood jeszcze raz ich odnalazł. W końcu wrócili do Michigan, gdzie wszystko się zaczęło. Jak stwierdził Leopold, trzeba wreszcie raz na zawsze stawić temu czoło.

Wyjechałem od niej późnym popołudniem. Powiedziałem, że muszę zadzwonić w parę miejsc. Proponowała, żebym skorzystał z jej telefonu, ale się wykręciłem, że w motelu w Whitehall mogą na mnie czekać ważne wiadomości. Zresztą zostawiłem tam notes z numerami. Prawda była jednak taka, że na chwilę chciałem zostać sam, żeby przemyśleć, co robię i dlaczego. Podałem Marii numer swojej komórki i kazałem jej obiecać, że zadzwoni, gdy tylko zobaczy białego cadillaca.

- Wzięłeś tę sprawę - powiedziałem na głos, żeby usłyszeć, jak to brzmi. - Wzięłeś tę sprawę. - Pokręciłem głową i jechałem dalej.

Kiedy tylko skręciłem w prawo na główną drogę, w lusterku wstecznym zobaczyłem policyjnego koguta. Zjechałem na pobocze, zamknąłem oczy i czekałem, aż szeryf Rudiger wsadzi głowę przez moje okno.

Drzwi się otworzyły.

- Wsiadaj - polecił. - Wyłaź z samochodu, McKnight.

Jak tylko dotknąłem stopami ziemi, obrócił mnie i przycisnął do boku furgonetki.

- Szeryfie, co jest, do cholery?

- Łapy do góry - polecił.

- Chyba żartujesz.

- Łapy do góry, McKnight.

Podniosłem ręce. Kopniakiem rozsunął mi nogi i obszukał mnie. Potem wykręcił mi ręce i założył kajdanki.

- Rudiger, powiesz mi do cholery, co tu się dzieje?

Popchnął mnie w stronę radiowozu. Kiedy otworzył tylne drzwi, próbował przycisnąć mi głowę w dół. Stara policyjna sztuczka. Niby chodzi o to, żeby sprawca się nie uderzył. Ale zdarzają się wypadki, że gliniarz źle oceni odległość, i złoczyńca wali twarzą prosto w karoserię. Policjantom jest wtedy strasznie przykro, zwłaszcza jeśli facet ze świeżo rozwalonym nosem to akurat gwałcieł albo pedofil.

Zastanawiałem się, czy nie kopnąć go prosto w cojones, ale się

powstrzymałem. Nie ma sensu jeszcze bardziej pogarszać sytuacji. Usiadłem na tylnej kanapie radiowozu i liczyłem do dziesięciu. Przez ostatnich kilka dni często liczyłem do dziesięciu. O tym, ile czasu spędziłem w kajdankach, nawet nie wspominam. Jeśli dorzucić do tego liczne bliskie spotkania z lufami broni, to trzeba przyznać, że trafił mi się niezły tydzień.

- Szeryfie, co jest grane? - spytałem po raz kolejny, kiedy wsiadł i zamknął drzwi. - Nie możesz mnie trzymać w kajdankach bez słowa wyjaśnienia.

Zawrócił auto i ruszył na północ.

- Jedziemy na posterunek - zauważyłem. - Jestem aresztowany?

Milczał.

Usiadłem wygodnie, o ile to możliwe na twardym plastiku. Pozostało mi tylko czekać na rozwój wypadków.

Dwie minuty później Rudiger zajechał na tyły ratusza. Chrząszcząc butami po żwirowym parkingu, obszedł samochód i otworzył drzwi z mojej strony.

- Wyłaż - polecił. Popchnął mnie w stronę budynku. Otworzył i przytrzymał mi drzwi, potem wszedł za mną na posterunek. - Siadaj - warknął.

- Nie, dopóki nie zdejmiesz mi bransoletek - stwierdziłem.

- Jak sobie życzysz - odparł. - Możesz stać. Ja w każdym razie usiądę. - Wyciągnął fotel zza biurka.

- Szeryfie Rudiger, zdrowo przesadziłeś. Zacząć wymieniać przepisy, które złamałeś?

- Pani Zambelli złożyła skargę - oznajmił i rozparł się w fotelu.

- Sprowadziłem cię właśnie na przesłuchanie. Nie zostaniesz rozkuty, bo jesteście sami na posterunku. Poza tym w ciągu naszej krótkiej znajomości dowiodłeś, że odmawiasz współpracy.

- Jaką skargę złożyła? O czym ty mówisz?

- Od kilku dni pani Zambelli ma wrażenie, że ktoś ją śledzi. Dziś jeden z moich zastępców zobaczył, jak czekasz na nią na parkingu, a potem jedziesz aż do jej posiadłości.

- Człowiek, który ją śledził, ma białego cadillaca - wyjaśniłem.

- Podalem ci nawet numer rejestracyjny. Gdybyś go łaskawie sprawdził, przekonałbyś się, że samochód należy do prywatnego detektywa z Detroit. Pana Whitleya.

- Aha, więc śledzi ją dwóch detektywów? Bo chyba nie działacie wspólnie.

- Nie znam człowieka - odparłem. - Zakładam, że pracuje dla Charlesa Harwooda, faceta, który ściga Marię od osiemnastu lat.

- Sporo wiesz o tej sprawie - zauważył. - Jak na kogoś, kto w zasadzie nie ma z nią nic wspólnego.

- Szeryfie, powtarzam: przyjechałem zobaczyć się z Marią, ponieważ szukał jej mój przyjaciel.

- Twój przyjaciel oszust.

- Na to wyszło.

- A dziś ją śledziłeś, bo...

Zawahałem się.

- Czekałeś na panią Zambelli na parkingu przez dwadzieścia minut - powiedział. - I to po tym, jak w obecności policjanta poinformowała cię, że nie pamięta twojego przyjaciela.

- Owszem, ale taka odpowiedź mnie nie usatysfakcjonowała. Chciałem zadać Marii jeszcze kilka pytań.

- Więc czekałeś na parkingu. Dwadzieścia minut.

- Coś koło tego.

- A potem pojechałeś do jej domu.

Byłem w kropce. Nie mogłem wyjawić, że chciała dowiedzieć się o Randym. A przede wszystkim nie mogłem zdradzić, do czego się przyznała.

Czas wyciągnąć asa z rękawa.

- Nic więcej nie powiem - odparłem. - To sprawa między mną a moją klientką.

Patrzył na mnie przez długą chwilę.

- Proszę, proszę - odezwał się w końcu. - Twoją klientką.

- Tak.

- To wygodne, prawda?

- To jej pomysł. Poprosiła mnie o pomoc.

- Coś takiego!

- Zadzwoń i sam zapytaj.

- Kto wie, czy tak nie zrobię - odparł. - Ale później. Na razie zdejmę ci kajdanki. Skoro popełniłem tak okropny błąd.

Wstał i wyjął z kieszeni kluczyk. Odwróciłem się. Rozpiąłem kajdanki, potem rzucił je na biurko. Stałem, rozcierając nadgarstki, a on wrócił do swojego fotela. Jednak tym razem nie usiadł. Położył ręce na oparciu i pochylił się nad biurkiem.

- W co ty grasz, McKnight?

Pokręciłem głową.

- W nic, szeryfie.

- Myślę, że masz równie dużo na sumieniu, jak twój kumpel. Moim zdaniem próbujesz wykorzystać przerażoną kobietę. Jak to nazwać? Nie mieścisz się w skali podłości.

- Jakoś będę musiał żyć mimo twojej kiepskiej opinii na mój temat - odparłem. - Coś jeszcze? Czy już mogę iść?

- Nic nie zrobisz? Po prostu wyjdiesz? Chociaż zaciągnąłem cię tu jak przestępcę?

- Bywało gorzej. Wierz mi, szeryfie.

- Nikogo tu nie ma. No, przywołaj mi, McKnight.

- Jeśli zamierzasz mnie zastrzelić, to będziesz musiał to zrobić z zimną krwią. Nie dam się sprowokować - odparłem.

- Zastrzelić? Człowieku, masz bujną wyobraźnię.

- Jasne - odpowiedziałem. -1 to tylko dlatego stoisz przede mną z wolnymi rękoma.

Nie myślałem tak naprawdę, że do mnie strzeli. Chciałem go tylko wkurzyć. Dzień wcześniej zależało mi, żeby ruszył dupsko i dowiedział się, co stało się Randy'emu. Dziś miałem nadzieję, że cały czas będzie myślał o mnie. Dla dobra sprawy. A może by strzelił, gdyby istniała szansa, że ujdzie mu to na sucho. Albo gdyby rzeczywiście zdołał mnie sprowokować. Albo gdyby po prostu miał jaja.

Cholera, jeszcze kilka minut, a może zdobyłby się na odwagę. Strzeliłby, a potem patrzył, jak umieram na podłodze, a ja snułbym ostatnią myśl, jakie to znajome uczucie patrzeć w sufit i czuć, że cała krew wypływa mi z ciała. Nagle jednak czar

prysnął, bo na posterunku zjawił się jeden z pomagierów Rudigera, Rocky.

Szeryf zaproponował, że odwiezie mnie do furgonetki. Odmówiłem.

- To trzy kilometry - przypomniał.

- Taki ładny dzień, przespaceruję się. Lepiej poznam okolicę.

W końcu mam tu teraz pracować.

Uszedłem niespełna kilometr, kiedy usłyszałem go za plecami.

Obróciłem się i obserwowałem radiowóz. Śmignął obok, a Rudiger nawet na mnie nie spojrział.

Cholera jasna, zapomniałem mu pogratulować domu.



## Rozdział 18

KIEDY WRÓCIŁEM DO MOTELU W WHITEHALL, wystukałem numer do Leona.

- Nic nowego o detektywie Whitley - zakomunikowałem. - Kilka razy dzwoniłem, ale nikt nie odbiera.

- Bo kręci się po Orcus Beach - powiedziałem.

- Dobry detektyw powinien mieć automatyczną sekretarkę - zauważył Leon. - Albo automatyczne przekierowanie rozmów na komórkę.

- Nie wiem, czy Whitley to „dobry” detektyw - stwierdziłem. - Skoro pracuje dla Harwooda, to nie jest przesadnie wybredny, jeśli chodzi o klientów. Prawdopodobnie włamał się też do domu Marii.

- Włamał się? To już przesada, Alex. Ten człowiek szarga dobre imię branży detektywistycznej.

- - O ile sobie przypominam, my zrobiliśmy to samo - przypominałem. - 1 to dwa razy.

- To było co innego - obruszył się. - Działaliśmy ze szlachetnych powodów.

- Jak sobie chcesz.

- Ale dlaczego się do niej włamał? - dopytywał. - Coś zabrał?

- Nie, chyba przejrzał tylko pocztę i wszystko, co znalazł. No wiesz, zbierał informacje.

- Mógł też założyć podsłuch - zauważył Leon.

- To by wyjaśniało parę rzeczy - ożywiłem się. - Ilekroć Maria go widzi i dzwoni na policję, facet znika. Przy okazji sprawdzę jej telefon.

- Nie zdziw się, jeśli niczego nie znajdziesz - ostrzegł. - To zbyt oczywisty sposób. Facet skorzystałby raczej z nadajników UHF. Teraz robią je w kształcie długopisów albo takich wtyczek do

gniazdek. Wystarczy gdziekolwiek umieścić nadajnik i słyszeć wszystko, co dzieje się w pokoju. Cały czas, nie tylko wtedy, gdy ktoś dzwoni.

- Ale to niezgodne z prawem, co? Nie da się udowodnić włamania, ale gdyby złapać gościa, jak siedzi w samochodzie i podsłuchuje?

- Założę się, że na przednim siedzeniu ma ładną metalową walizkę - pouczył mnie Leon. - Z zamkiem. Jeśli tylko ktoś się zacznie zbliżać, wrzuci do niej wszystko. A nie można jej otworzyć bez nakazu rewizji.

- Leon, skąd ty to wszystko wiesz? - zdziwiłem się. - Zresztą, nieważne. Widziałem katalogi, które dostajesz. Rozejrzę się po domu i może coś znajdę.

- Świetnie.

- A tak przy okazji, zostaliśmy oficjalnie wynajęci.

- Natychmiast przyjeżdżam.

- Leon, masz połamane kostki.

- Zona mnie przywiezie.

- Ani się waż ruszyć. Zadzwoń, jeśli będę czegoś potrzebował.

Kiedy się rozłączyłem, wyobraziłem sobie, jak siedzi w łóżku i wali się słuchawką po głowie. Przez najbliższych kilka godzin na pewno będzie doprowadzał żonę do szewskiej pasji.

Potem zadzwoniłem pod numer Whitleya. Odezwał się monotony głos: „Proszę zostawić wiadomość”. Jako telesprzedawca facet nie zarobiłby grosza.

- Tu Alex McKnight - zacząłem mówić po sygnale. - Jestem prywatnym detektywem, pracuję dla Marii Zambelli. Wiemy, że ją śledzisz, Whitley. I wiemy też o paru innych rzeczach. Chciałbym się spotkać i pogadać. Moja klientka jest gotowa złożyć twojemu klientowi hojną ofertę, więc zachowujmy się jak dorośli, co? Bez węszenia po domach jak młodociani przestępcy. Mój wspólnik twierdzi, że psujesz opinię całej branży. - Podaliśmy swój numer i rozłączyłem się.

Niemal od razu rozdzwoniła mi się komórka w kieszeni kurtki.

Wcisnąłem klawisz „Odbierz”.

- Alex... - odezwała się Maria.

- Mario, posłuchaj mnie uważnie. Nic nie mów. Dobrze? Odpowiadaj tylko „tak” lub „nie”. Rozumiesz?

- Tak.

- Świetnie. Obejrzyj bardzo dokładnie swój telefon. Spróbuj rozkręcić słuchawkę, jeśli się da. To znaczy, jeśli masz tradycyjny telefon. To taki model?

- Tak.

- Odkręć pokrywkę i zobacz, czy w środku, obok mikrofonu jest coś jeszcze.

Słyszałem, jak trzeszczy odkręcany plastik. Po chwili znów go przykręciła.

- Nie - odparła.

- W porządku. Mój wspólnik twierdzi, że facet na pewno umieścił w twoim domu bezprzewodowy nadajnik. Możesz gdzieś się schować, na przykład w garderobie?

- Tak.

- Super. W takim razie powiedz cokolwiek, a potem się pożegnaj. I wejdź do garderoby.

- To fantastycznie. Widzimy się jutro. Nie mogę się doczekać. Do widzenia.

Minęło kilkadziesiąt sekund. W końcu znów się odezwała.

- Naprawdę myślisz, że założył tu podsłuch? - wyszeptała.

- Niewykluczone. Inaczej po co by się włamywał?

- Boje się, Alex.

- Spokojnie. Niedługo przyjadę.

- Wpadł tu szeryf Rudiger. Co ty mu zrobiłeś?

- Po prostu pogadaliśmy sobie po przyjacielsku. Nic wielkiego.

- Pytał, czemu cię wynajęłam. Wyjaśniłam, że nie czuję się bezpiecznie i chcę, żebyś odszukał Harwooda. Nie spodobało mu się to. Chyba nie jest już zadowolony, że mieszkam w jego domu.

- To się wyprowadź.

- Skończmy najpierw jedną sprawę, Alex. A potem się stąd

wyniosę.

- Nasz przyjaciel w cadillacu się nie pojawił?

- Nie, ale niedługo zapadnie zmrok. Nie chcę tu siedzieć sama. Wolalabym wyjść i zjeść kolację. Podejrzewam, że nie zamierzasz mi towarzyszyć.

- Idź jak zwykle do Rocky'ego - powiedziałem. - Mnie raczej tam nie przywitają z otwartymi ramionami. Zadzwoń jeszcze w jedno miejsce i pojedę do ciebie do domu. To znaczy, jeśli chcesz, żebym...

- Tak - odparła.

Ta kobieta wiedziała, jak wyszeptać „tak”. Ten głos przeszył mnie na wylot. Próbowałem przypomnieć sobie jej twarz.

Kiepski pomysł, Alex. Akurat to ci teraz najmniej potrzebne.

- Widzimy się w domu. Bądź ostrożna.

Rozłączyłem się i przez dłuższą chwilę siedziałem, a jej głos wciąż wibrował mi w głowie. Zadzwoiłem do szpitala.

- Z doktorem Havlinem, proszę. Dzwonię w sprawie Randy'ego Wilkinsa.

Po kilkuminutowym oczekiwaniu usłyszałem lekarza:

- Panie McKnight - powitał mnie. - Pan Wilkins dochodzi do siebie po operacji.

- Jak to wygląda?

- Usunąłem ten kawałek metalu - wyjaśnił. - Teraz pozostało nam już tylko czekać. Jeśli pacjent odzyska przytomność, powinno to nastąpić w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Podziękowałem doktorowi i rozłączyłem się.

Czterdzieści osiem godzin, Randy. Jeśli nie będę miał nic innego do roboty, pojedę tam i poczekam. Chcę, żebyś mnie pierwszego zobaczył po przebudzeniu.

Kiedy wyjechałem z motelu, było już ciemno. Za późno się zebrałem. Powinienem być już u niej w domu.

Spokojnie. Marii jeszcze tam nie ma. Na pewno siedzi w barze

i je kolację.

Zadzwońna komórka. Odebrałem.

- Alex - usłyszałem jej głos. - Co robisz? - Znów mówiła szeptem.

- Jadę do ciebie.

- On tu jest.

- Gdzie? - zapytałem. - Skąd dzwonisz?

- Z domu. Dziwnie się czułam w barze. Rocky jakoś tak na mnie krzywo patrzył, kiedy się dowiedział, że cię wynajęłam.

- Znów siedzisz w garderobie? - Przycisnąłem pedał gazu. Do Orcus Beach miałem jeszcze dobrych dwadzieścia kilometrów.

- Tak. - Poszłam właśnie na piętro i wyjrzałam przez okno. Tym razem przez lornetkę. Na chwilę włączył światło w samochodzie. Widziałam, że ma na uszach słuchawki.

- Dobrze, spokojnie. Już jadę.

- Alex, on wygląda na wielkiego faceta. I bardzo złego.

- Nigdzie się nie ruszaj. Zaraz będę.

- A jeśli znów tu wejdzie? Jeśli się włamie?

- Nie zrobi tego - zapewniłem. - Wie, że jesteś w domu.

- A może tym razem właśnie chce, żebym była w domu - mówiła. - Alex, boję się.

Zacząłem tracić zasięg. Cholerny szajs.

- Halo, Mario?

- Tak?

- Zadzwon na policję. Z garderoby, wtedy cię nie usłyszy. Może tym razem go złapią.

- Przecież i tak nic mu nie zrobią. Sam mówiłeś.

- Ale trochę pomagują - zauważyłem. - Zresztą, masz rację, nie znajdą na niego haka. Mój współnik jest przekonany, że facet ma w samochodzie walizkę z zamkiem, żeby wszystko ukryć.

- Nawet gdyby im się udało go zamknąć, to wtedy my nie znaleźlibyśmy Harwooda.

- Pewnie nie.

- Chyba że masz jakiś sposób.

- Może i mam - odparłem. - Zamierzam z nim porozmawiać. I

naprawdę uprzejmie go poprosić.

- Wolę nie wiedzieć, co znaczy „naprawdę uprzejmie”.

Zasięg zniknął, pojawiał się i znów zniknął.

- Mario?

- Jestem, jestem.

- W którą stronę stoi ten zaparkowany samochód?

- Przodem... chyba na południe. Alex, nie znam się na kierunkach. Jeśli jechałbyś uliczką do mojego domu, to by cię zobaczył.

- No jasne - odparłem. - W porządku, sprawdź tylko, czy pozamykałaś drzwi. A ja spróbuję tu podziałać.

Zjechałem właśnie z M-31 i pędziłem szosą B-15 wzdłuż brzegu jeziora. Dogoniłem jakieś kombi ciągnące łódź na przyczepce. Kierowca nie spieszył się, więc go wyprzedziłem.

- Wróć do okna i jeszcze mu się przyjrzyj - powiedziała. - Będę mówić, jakby nic się nie działo. A właściwie...

- Co?

- Zajmę go czymś.

- Jak to?

- Dopilnuję, żeby uważnie słuchał.

Skrzypnęły drzwi. Minęło kilka chwil.

- To ty? - odezwała się już normalnym głosem.

- Mario, co robisz?

- Myślałam o tobie - ciągnęła. - Wiem, że znam cię krótko. Ale i tak mnie zadziwiasz.

Nic nie odpowiedziałem. Słuchałem. Trafiłem na ostry zakręt. Dwa koła złapały piaszkowe poboczne. Wdusiłem hamulec, odbiłem w prawo i szybko skontrowałem w lewo.

- Mogę ci coś wyznaczyć? - mówiła dalej. - Myślałam o tobie dzisiaj podczas kąpieli. I przypomniała mi się pewna historia.

Pędziłem sto trzydzieści na godzinę. Dwa pasy jezdnii biegły skrajem świata - po jednej stronie rozciągało się jezioro, po drugiej sosny zlewały się w niewyraźny ciąg.

- Kiedy miałam osiemnaście lat, całą rodziną przyjechaliśmy tu latem. Woda zawsze była lodowata, nawet w środku lipca, ale nocą nie wydawała się aż taka zimna. Więc wieczorami, kiedy

wszyscy poszli już spać, wymykałam się na plażę tylko w szlafroku. Jeśli nikogo nie było w pobliżu, zrzucałam szlafrok i wskakiwałam do wody.

Jechałam dalej.

- Pewnej nocy popływałam sobie chwilę i wybiegłam na brzeg. A tu... nie ma mojego szlafrocka.

Dłuższa cisza.

- Mario?

Cisza.

Spojrzałam na telefon. Brak zasięgu.

- O nie, ty cholerna kupo gówna. - Potrząsnąłem telefonem, jakby to mogło go zmusić do działania. - Nie rób mi tego.

Próbowałem połączyć się z numerem Marii. Nic.

Durny mały wyświetlacz pokazywał wciąż to samo: „Szukam zasięgu”.

- Ja ci dam zasięg - warknąłem. Już miałem rozwalić telefon o deskę rozdzielczą, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem i rzuciłem go na fotel pasażera.

Skupiłem się na drodze, żeby pokonać jajak najszybciej. Zobaczyłem znak witający mnie w Orcus Beach, minąłem lokal Rocky'ego, skręciłem w lewo na światłach i popędziłem dróżką dojazdową przez mały most aż do drogi do domu Marii.

Nie wjechałem tam. Zatrzymałem furgonetkę przy przystani i wysiadłem. Nagła cisza aż dźwięczała w uszach. Słyszałem tylko małe fale bijące o brzeg i szum niedawnej jazdy.

No dobrze, Alex. Teraz pomyśl. Jeśli pójdziesz drogą, facet cię zobaczy. To ślepa uliczka, więc nie podejdziesz od tyłu. Chyba że... plażą.

Zeskoczyłem na piach i kamienie. Szło się niełatwo, zwłaszcza po ciemku. Teren oświetlała jedynie poświata księżyca ukrytego za chmurami i jeszcze słabsze światła z domów ciągnących się wzdłuż brzegu.

Dawna rezydencja szeryfa znajdowała się prawie na samym końcu, kilometr dalej.

Wyobraziłem sobie Marię na plaży. W szlafroku. Potknąłem się

o coś i wyrzniętem jak długi. Pozbierałem się i brnąłem dalej.

Dotarłem do domu Marii. Szeryf chyba by się wściekł, gdyby zobaczył, jak się zakradam od tyłu. Pamiętałem, że płot biegnie aż do samej drogi. Musiałem pójść jeszcze kawałek dalej, żeby Whitley nie zobaczył, jak przełazę przez to cholerstwo. Zakradłem się do ostatniej posesji przy tej drodze. Z trzech stron otoczona była siatką, która kończyła się z metr od brzegu.

Złapałem za siatkę. Co za kretyn i paranoik tak ogradza dom, który stoi nad wodą. Najwyraźniej facet nie pomyślał o możliwości inwazji drogą wodną. Dom tonął w ciemności. Albo nikogo nie ma, albo wszyscy już śpią.

Przypomniałem sobie, że na końcu uliczki siatka jest niższa. Jeśli dostanę się aż tam...

Przeszedłem przez plażę po cudzym terenie, czekając tylko, kiedy czujnik ruchu włączy światła i wypuści psy. Nic się nie stało. Kiedy dotarłem na drugą stronę, zobaczyłem za siatką wąski pasek ziemi. Dalej brzeg opadał stromo do małej zatoki.

Czas zabawić się w linoskoczka. Trzymając się siatki, zacząłem stąpać po ścieżce. W niektórych miejscach woda wyłobila wielkie dziury pod siatką. Musiałem je przeskakiwać. W końcu dowlokłem się do betonowej krawędzi i niskiej siatki za barierką oznaczającą koniec drogi. W oddali dostrzegłem niewyraźną sylwetkę cadillaca.

Przeszedłem przez ogrodzenie, starając się zachować ciszę. Nie udało się. Zaczepiłem spodniami o drut i mało co nie spadłem na głowę. Kolejny popis zręczności w wykonaniu byłego sportowca. Zgra- molilem się na ziemię i przykucnąłem, rozcierając sobie prawy bark.

Przez chwilę obserwowałem samochód. Na oko stał z sześćdziesiąt metrów ode mnie i nie mogłem liczyć na żadną osłonę. Musiałem działać szybko i bezszelestnie.

Wiatr się wzmógł i sypnął mi piaskiem w twarz. Zamknąłem oczy, czekając, aż podmuch się uspokoi. Wtedy ruszyłem.

Szedłem skulony, licząc na to, że nie zobaczy mnie w lusterku wstecznym. Wyobrażałem sobie, że siedzi z zamkniętymi oczami,



ze słuchawkami na uszach. Tak, tak, słuchaj dalej. Wcale się nie oglądaj. Tak ci jest dobrze...

W samochodzie rozbłysło światło.

Padłem na ziemię, ciężko dysząc. Zobaczył mnie?

Podniosłem głowę. Nadal miałem z dziesięć metrów do niego.

Po co zapalił światło?

Czekałem. Drzwi się nie otwierały. Cisza.

W porządku, idź dalej. Powoli. Po cichutku. Po jasną cholere włączył światło?

To mi nawet pomoże. Nie będzie dobrze widział, co się dzieje na zewnątrz. Podszedłem do samochodu od tyłu. No dobra, a teraz z której strony? Drzwiami kierowcy czy pasażera?

Od strony kierowcy mógłbym go wyciągnąć. O ile drzwi nie są zablokowane. I o ile nie zobaczy mnie w lusterku bocznym.

Od strony pasażera wskoczyłbym na fotel obok. Zerknąłem na tę stronę auta. Nie ma lusterka. Wydawało mi się, że w cadillacach zawsze są lusterka po obu stronach. Ale może odpadło. Zresztą, to bez znaczenia. Jak będę się zastanawiał nad takimi głupotami, to mnie tu świt zastanie.

Wiesz co, Alex? Przydałaby ci się broń. Szkoda, że pistolet leży w pudełku na buty na dole szafy, pięć godzin drogi stąd na Półwyspie Górnym.

Nieważne. Do dzieła.

Wychyliłem się zza auta od strony pasażera. Ostrożnie podszedłem do tylnych drzwi i zajrzałem przez szybę. Jeden mężczyzna. Na uszach ma słuchawki. Świetnie, mniejsza szansa, że mnie usłyszy. Patrzył na coś w dół. Może czyta? To też dobrze.

Czy drzwi są otwarte? Tak. To był starszy model z tradycyjnymi blokadami, których metalowe końcówki w środku wystawały pięć centymetrów nad tapicerką. Boże, dzięki ci za stare cadillaki.

Okej, wóz albo przewóz.

Szarpnąłem za drzwi.

Rewolwer. Na fotelu pasażera. Złapałem go, zanim kierowca

zdążył po niego sięgnąć. Przez chwilę wykrzykiwał coś bez ładu i składku, aż w końcu złożył sylaby w słowa:

- O rany, ty sukinsynu. Jezu, jak boli. Na litość boską... Co tu robisz, do cholery? Coś ty za jeden?

- Dobry wieczór - przywitałem się, siadając obok. - Zdaje się, że mam przyjemność z Milesem Whitleyem.

- O ja pierdzielę - zawył, trzymając się kierownicy. - Zaraz skonom.

- Uspokój się - fuknąłem na niego. - Weź się w garść.

- Łatwo ci powiedzieć, sukinsynu. O Chryste.

Przyjrzałem się mu uważnie. Tak jak mówiła Maria, kawał chłopca. Na pewno ponad sto dziesięć kilo żywej wagi. Nawet większy od Leona. Rzadkie włosy zaczesywał do góry, niestety, przegrywał walkę z łysiną. Twarz miał okrągłą i szarą, jak u ludzi, których widuje się z cygarami na wyścigach konnych. Słuchawki zsunęły mu się z uszu na szyję. Spojrzałem w dół i zobaczyłem wielką plamę na spodniach. W lewej ręce trzymał słoik do połowy wypełniony... moczem. Z trudem powstrzymałem się, żeby nie popatrzeć na coś innego.

- Jezu, moje plecy - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Mam zablokowany cały kręgosłup. Niech to jasna cholera.

- Zdaje się, że ci w czymś przeszkodziłem - zauważyłem. - Przepraszam.

- Szlag by trafił, coś ty za jeden? - zapytał.

Znalazł pokrywkę i zakręcił słoik. Potem zaczął machać rękoma, jak ktoś, kto koniecznie potrzebuje papierowego ręcznika.

- Nazywam się Alex McKnight. Nagrałem ci dzisiaj wiadomość.

- I co z tego? - Zaczął wyginać plecy. - Jasna cholera.

- Nie oddzwoniłeś - ciągnąłem. - Zacząłem się o ciebie martwić.

Pierwszy raz spojrzął mi w oczy.

- To jakiś żart?

- Potrafię nimi sypać jak z rękawa - mruknąłem. Spojrzałem

na śmietnik, jaki zgromadził wokół siebie: gazety, papierki po batonach, butelka piwa imbirowego Vernors. Pod jedną z gazet znalazłem odbiornik UHF podpięty do gniazda zapalniczki. Na podłodze leżała metalowa walizka z zamkiem, dokładnie tak jak przewidywał Leon. - Widać, że dostajesz dobre katalogi - zauważyłem. - Nie zafundowałeś sobie specjalnych spodni dla detektywów, z małą rurką do sikania? Takich, jakie mają astronauty w kosmosie?

- Wyjaśnij mi wreszcie, o co chodzi? Jezu, moje plecy.

- Chcę znaleźć Harwooda - wypaliłem prosto z mostu.

- A kto to?

- Człowiek, który płaci ci za to, że siedzisz tu i podsłuchujesz przerażoną kobietę - wyjaśniłem. - I na jego polecenie włamałeś się do niej do domu.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mam pomysł. - Wysunąłem bębenek rewolweru i zobaczyłem sześć kul. - Powinieneś się nauczyć, jak się czyści broń, Miles.

- A ty, jak ją sobie wsadzić w dupę.

- Mam taki pomysł - powtórzyłem. - Kilka dni temu pewien człowiek przystawił mi broń do kolana i zapytał, co by było, gdyby pociągnął za spust. O właśnie tak. - Przyłożyłem lufę rewolweru do prawego kolana Whitleya.

Spojrzał na broń. Nic nie powiedział.

- Oczywiście tamten przystawił mi strzelbę - mówiłem dalej. - Więc wyobrażasz sobie, co mi przeszło przez głowę. Jeden strzał i po kolanie. Tylko miazga na ścianach.

Z trudem przełknął ślinę.

- Ale mały rewolwer - straszylem dalej - chyba nie powinien wyrządzić aż takich szkód. Chociaż... masz tu aż sześć kul.

- Nie strzelisz do mnie - odezwał się.

- Pierwsza kula tuż po rzepką. Myślisz, że przeleciałaby na wylot?

- Nie strzelisz do mnie - powtórzył.

- A skąd wiesz?

- Nie możesz.

- Druga kula pewnie roztrzaskałaby samą rzepekę - zastanawiałem się. - Przynajmniej przestałbyś narzekać na ból w plecach.

- Ja tu tylko pracuję - bronił się. - Dobrze wiesz. Też jesteś prywatnym fiutem. Sam mówiłeś w wiadomości na sekretarce.

- Prywatny fiut? Naprawdę tak do niego się zwracasz?

- Czego chcesz? - zapytał.

- Znaleźć Harwooda, twojego zleceniodawcę - odparłem. - Wiesz, dlaczego od tylu lat szuka tej kobiety?

Spojrzał na lufę.

- Nie muszę wiedzieć.

- Oczywiście, o ile wystarczająco ci płaci.

- Słuchaj, staram się wiązać koniec z końcem. Rozumiesz? To ciężka branża.

- Masz tu komórkę?

- Pod siedzeniem.

- Obym nie wcisnął przypadkiem spustu - powiedziałem, sięgając w dół. - No proszę. - Otworzyłem klapkę. Aparat od razu złapał zasięg. - Masz lepszy telefon niż ja.

- Do kogo dzwonisz?

- Do swojej klientki - wyjaśniłem. - Wiesz, jak to jest. Trzeba od czasu do czasu się odezwać, żeby klient był zadowolony.

Maria odebrała po pierwszym dzwonku.

- To ja - odezwałem się.

- Alex! Boże! Co się stało? Gdzie jesteś?

- Przed domem. Na ulicy. Gadamy sobie z panem Whitleyem.

- Z tym facetem z cadillaca? Alex, ja... tak się bałam, kiedy się rozłączyłeś. Myślałam, że...

- Spokojnie. Wszystko w porządku. Pan Whitley ma lepszą komórkę. Był tak miły i pozwolił mi z niej skorzystać.

Odetchnęła głęboko.

- Dzięki Bogu - wyszeptała.

- Zdaje się, że ominęła mnie niezła opowieść.

- Właśnie - przyznała. - Szkoda.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc nawet nie

próbowałem.

- Co teraz? - zapytała. - Skoro jesteś przed domem, to czemu rozmawiamy przez telefon? Mam wyjść do was?

- Nie, obawiam się, że wprawiłabyś w zakłopotanie pana Whit- leya. - Odsunąłem broń od jego kolana i oparłem się wygodniej w fotelu. Zawadziłem o coś głową. To tkanina z podsufitki zwisała jak baldachim. Smród w samochodzie - zapach potu, moczu i Bóg wie czego jeszcze zaczął mnie irytować.

Trudno, co zrobić? Musiałem siedzieć. Nie miałem pojęcia, ile to potrwa. Pół godziny, całą noc.

- Zostań w domu - poleciłem. - My wybierzemy się na wycieczkę.

- Jak to? Dokąd?

Machnąłem bronią na detektywa.

- Kiedy tylko pan Whitley zapnie rozporek, pojedziemy przywitać się z jego klientem.

## Rozdział 19

WHITLEY MNIE ZASKOCZYŁ. Sądziłem, że pojedzie na wschód, z powrotem do jednej z autostrad międzystanowych. Tymczasem on skierował auto na północ, na M-31, małą dwupasmową drogę przy jeziorze Michigan.

- Dokąd jedziemy? - spytałem w końcu.

- Na północ - odparł.

- A konkretniej?

- Odłóżysz wreszcie tę broń, na litość boską? Po cholere robiś z tego porwanie?

- Nie celuję w ciebie - stwierdziłem. - Wyluzuj. I zwolnij trochę, co? Jeśli myślisz, żeby dać się zatrzymać policji, to pamiętaj, że gliniarza może zainteresować opowieść, co robiłeś pod domem pani Zambelli.

- Wykonywałem tylko swoją pracę, przyjacielu.

- Włamałeś się do jej domu - przypomniałem. - Potem ją podsłuchiwałeś.

- W twoich ustach brzmi to naprawdę ohydnie.

- Dlaczego to robiłeś? - pytałem. - Nie rozumiem. Wiem, że Harwood jej szukał. W porządku, znalazłeś panią Zambelli. Brawo. Ale po co za nią jeździłeś i podsłuchiwałeś rozmowy?

Wypuścił powoli powietrze i potarł twarz.

- Jeśli klient chce, żebyś śledził cel, to śledzisz cel. Jeśli chce, żeby szpiegować, to szpiegujesz. Siedzisz, słuchasz i informujesz o wszystkim klientowi. Teraz rozmawiała z bratem. Potem z dzieckiem. Dla mnie to bez znaczenia. Coś tam mówi i tyle. Ale klientowi to interesuje. A póki on płaci, ja wykonuję polecenia.

Pokręciłem głową.

- Nie mów, że sam nie bierzesz takiej głównianej roboty - odezwał się. - Co najgorszego zrobiłeś jako prywatny detektyw?

- Pytasz niewłaściwego człowieka - mruknąłem.

- Muszę sięgnąć po lekarstwa - oznajmił. - Pochylił się i podniósł z podłogi plastikową buteleczkę. - Masz, otwórz. Rzucił mi fiolkę.

Wyjąłem ze środka notatkę: „Miles Whitley, jedna tabletką cztery razy dziennie, w razie potrzeby”. Czerwona naklejka ostrzegająca, by po tym leku nie prowadzić samochodu ani nie obsługiwać urządzeń mechanicznych.

Wyjąłem jedną tabletkę. Wyglądała znajomo. Vicodin. Po postrzale zażywałem ten lek, kiedy miałem naprawdę złą noc. Przez jakiś czas ciągle miałem złe noce.

- Fatalna praca, jak cię boli kręgosłup. - Wziął ode mnie tabletkę i włożył sobie do ust. - Siedzi człowiek godzinami. A potem nagle ktoś wskakuje mu do samochodu. Posikać się można ze strachu.

Zastanawiałem się, czy też nie zażyć pigułki. Zakręciłem jednak buteleczkę i rzuciłem na tylne siedzenie.

- Jak długo pracujesz jako prywatny detektyw? - zapytał.

- Nie jestem prywatnym detektywem.

- Mówiłeś, że jesteś.

- Tylko udawałem.

- Akurat - prychnął. - Tkwę w tej branży od lat. Aż wstyd się przyznać ile. Rynek się zmienia. Teraz detektywi całymi dniami wpatrują się w komputery. Chryste, nawet kobiety pracują w tym fachu. Takich starszaków jak my niewielu zostało. Kiedyś to było zajęcie dla twardzieli. Nie każdy się nadawał.

- Whitley, na litość boską...

- To jesteś prywatnym detektywem czy nie? - dociekał. - Masz licencję?

- Tak - odparłem. - Ale teraz to przypadek.

- Jak to przypadek, do cholery? Pracujesz dla tej kobiety czy nie?

- Poprosiła mnie o pomoc - wyjaśniłem.

- Detektyw z przypadku - mruknął, wyglądając przez okno na jezioro. - I ma takie klientki. A mnie się trafia...

- Harwood - wpadłem mu w słowo. - Wiem, kto cię wynajął.  
- Nie mogę ujawnić tożsamości swojego klienta.  
- Daj sobie spokój - powiedziałem. - I tak niedługo go spotkamy. A w ogóle, długo będziemy jechać?  
- Trochę ponad godzinę.  
- Tylko tyle? Gdzie on jest?  
- Tam.  
- Gdzie „tam”? Jedziemy do niego do domu?  
- Nie. Nie wiem, gdzie mieszka.  
- To co, stacjonuje w motelu? Zęby być blisko niej?  
- Nie w motelu - odparł.  
- Przestań mnie wkurzać. Dokąd jedziemy?  
- Ma tam kawałek ziemi - wyjaśnił. - Tylko tyle wiem.  
- Ziemia należąca do spółki. To tam koczuje? Od jak dawna?  
- Od niedawna. Od kiedy dowiedział się, gdzie jest ta kobieta.  
- Randy Wilkins. Mówi ci to coś?  
- A kto to taki?  
- Facet, którego śledziłeś - wyjaśniłem. - Spod domu jej brata.  
- Tak się nazywa?  
- Owszem. Pojechałeś za nim i dlatego Harwood teraz wie, gdzie mieszka Maria. - Kiedy zmusza się kogoś do czegoś pod lufą pistoletu, dobrze jest być wkurzonym. Wyobraziłem sobie, jak ten pajac wystaje pod domem w Farmington, a potem jedzie za Randym aż do Orcus Beach i znajduje Marię. To pozwoliło mi zachować stan zdrowego wkurzenia.  
- - Za to mi zapłacił.  
- Jasne. Ty tylko wykonujesz swoją pracę.  
- Słuchaj, ja nie mówiłem, że „przypadkowo” bawię się w prywatnego detektywa. To nie jest moje hobby.  
- Jedź, nie gadaj - burknąłem.  
Pokręcił głową i skupił się na drodze. Jechaliśmy wciąż M-31 aż do przedmieść Sleeping Bear Sand Dunes. Całą tę okolicę zwano Złotym Wybrzeżem albo Riwierą Michigan. Co krok powstawały nowe kurorty, więc ktoś, kto ma tu ziemię, może sporo zarobić.



Albo zginać.

- A co tak w ogóle zamierzasz? - zapytał Whitley. Minęliśmy miasteczko Beulah, po czym droga skręciła na wschód, w serce stanowego lasu.

- Porozmawiać z Harwoodem - wyjaśniłem.

- Trzymając go na muszce.

- No wiesz, ja tylko wykonuję swoją pracę. Zupełnie jak ty.

Las się skończył i ujrzeliśmy flagę golfową pośrodku trawy, a wkrótce potem wyciąg narciarski. Jak na Michigan, stok był długi. Golf latem, zimą narty. Okolica wyglądała pustawo, ale za miesiąc na pewno zapanuje tu tłok.

Kiedy minęliśmy kurort, znów pojawiły się sosny, tak gęste, że czerni nocy stawała się nieprzenikniona. Whitley zwolnił. Nie rozumiałem dlaczego. Jak okiem sięgnąć, same drzewa.

Wjechał w wąską przecinkę. Zobaczyłem ją dopiero w chwili, kiedy padły na nią światła samochodu. Po obu stronach górowały nad nami drzewa.

- To tu? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Tak sobie pomyślałem, że skręcę w jakąś leśną ścieżkę i sprawdzę, dokąd prowadzi.

- Whitley, wcale nie musimy się pozabijać. Więc nie zrób niczego głupiego, dobrze? Nie próbuj mu dawać żadnych znaków. Chcę tylko pogadać i pojedę sobie.

- Ciekawe jak?

- Ty mnie odwieziesz - stwierdziłem. - Przecież to niedaleko.

- No to zostałem szoferem. Awansuję z minuty na minutę.

Ponad kilometr jechał przez las.

Mijałyśmy rzędy gęstych sosen, podwozie szorowało o wybujałe zielsko. W końcu wjechał na jakąś polankę i mocno skręcił w prawo. Reflektory omiotły wielki biały kształt.

Kamper. Ojciec miał taki przez dwa lata, w czasach, gdy co weekend jeździł na Półwysep Górny i budował pierwszą chatę. Dziś nazywa się to pojazdem rekreacyjnym. Są w nich kuchenki, łazienki, kolorowe telewizory i czego tylko dusza zapagnie. Lepsze kosztują dobrze ponad sto tysięcy dolarów. Jedyna

różnica między małym domkiem a pojazdem rekreacyjnym jest taka, że ten drugi zużywa mnóstwo paliwa.

Kiedy wysiadaliśmy, kazałem Whitleyowi zostawić kluczyki w stacyjce.

- Z powrotem ja poprowadzę - stwierdziłem. - Tak będzie sprawiedliwie.

- No nie wiem... Siedzenie jest obsikane.

- Mimo wszystko zostaw kluczyki.

- Jak chcesz. - Wysiadając, pochylił się i wyciągnął drewnianą laskę.

- A to po co?

- Potrzebna mi - odparł. - Ze względu na kręgosłup. - Z każdym krokiem się krzywił i szedł powoli po nierównym gruncie. W pojeździe paliło się światło, a całą polankę rozświetlał pojedynczy silny reflektor. Kazałem Whitleyowi zapukać do drzwi. Zapukał.

Cisza.

- Gdzie on jest? - zapytałem.

- Trochę musi to potrwać - odparł.

- Jak to?

- Już idzie. Daj mu chwilkę.

Zacząłem sobie wyobrażać najgorsze. Harwood zauważył mnie przez okno albo, co gorsza, mieli tajny kod. Dwa stuknięcia - wszystko w porządku, trzy - kłopoty. Czy teraz ładuje broń. Sądząc po tym, co ostatnio mi się przytrafia, pewnie też ma strzelbę.

- Whitley, o co tu, do cholery, chodzi?

W końcu drzwi się otworzyły. Światło ze środka oślepiło mnie. Po chwili zobaczyłem metalowy podest. Usłyszałem dźwięk przypominający szcęk przesuwanego zamka strzelby. Serce aż mi podskoczyło, ale po chwili zrozumiałem, co się dzieje. Odgłos pochodził z włączonego mechanizmu. Metalowy podest powoli wysunął się z drzwi.

Na platformę wjechał człowiek na wózku inwalidzkim - zapewne Harwood. A więc to jest ten demon, przed którym od tak

dawna ucieka Maria.

Na jednej poręczy wózka zamontowano konsolę. Mężczyzna wcisnął guzik i platforma opuściła się z szumem elektrycznego silnika. Kiedy dotknęła ziemi, mężczyzna powoli z niej zjechał. Obrócił wózek przodem do mnie. Miał z sześćdziesiąt lat i oczy w kolorze popiołu. Tors mocno rozbudowany, ramiona jak u drwała – typowa sylwetka kogoś, kto porusza się na wózku od lat.

- Kim jest twój przyjaciel? - zapytał. Patrzył na mnie, ale mówił do Whitleya.

- To pan McKnight. Kolejny prywatny detektyw. W każdym razie ktoś w tym guście. Pracuje dla pani Zambelli.

- Ach tak - stwierdził Harwood. - A ten rewolwer?

- To mój - przyznał Whitley. - W pełni naładowany.

- Co za pech - mruknął Harwood.

- Chcę tylko zadać kilka pytań - odezwałem się. - Nie zamierzam do nikogo strzelać.

- To bardzo krzepiące.

- Po pierwsze, czy znasz Randy'ego Wilkinsa?

Zamyślił się albo udawał, że myśli.

- Randy Wilkins. Czyja wiem? No, coś mi tam dzwoni, ale nie pamiętam, gdzie słyszałem to nazwisko.

- Może lepiej wsłuchasz się w to dzwonienie? Wyłudzał pieniądze na nieruchomości w Kalifornii. I nagle postanowił wrócić do Michigan, żeby odnaleźć Marię. Ty też zajmujesz się nieruchomościami i szukasz Marii. Jak dla mnie trochę za dużo zbiegów okoliczności.

- Przykro mi, nie kojarzę.

- W porządku - stwierdziłem. - A teraz mi powiedz, dlaczego to wszystko robisz?

- Ze niby co?

- Nie pogrywaj ze mną. Zabiłeś swojego współnika i próbowałeś zabić też Marię. Ścigasz ją od osiemnastu lat, prawda?

Harwood siedział bez ruchu. Whitley stał za nim z żalosną

miną. Wiatr się wzmógł i zaczął kołysać konarami drzew, ale ten szum roznosił się tylko w tle. Na polanie w ogóle nie czuło się wiatru. Mieliśmy kwiecień, więc nie było jeszcze komarów. W lipcu dałyby nam popalić.

- Powiesz coś czy nie? - ponagliłem.

- Nie - odparł. - Raczej nie. Proszę bardzo, zabij mnie. Zastrzel też Whitleya, zasłużył na to.

- To wcale nie jest śmieszne - obruszył się Whitley.

- Co cię może powstrzymać? - zapytałem. - Kiedy dasz jej spokój. I całej rodzinie?

- Ciekawe pytanie - uznał. - Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

- A gdyby podpisała ugodę i oddała ci pełną kontrolę nad działką oraz osiemdziesiąt procent zysku, którego tak pożądasz?

- Kazała ci to przekazać?

- Rozmawialiśmy o tym - powiedziałem.

- Przyjechałeś tylko po to, żeby dobić targu?

- Ona chce to zakończyć. To jeden ze sposobów. Co ci się w nim nie podoba?

- McKnight - zaczął. - Pozwól, że cię o coś zapytam? Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak zabawnie teraz wyglądasz?

Nie zareagowałem. Wszystko szło nie tak, bo Harwood miał asa w rękawie. Nie mogłem go zastraszyć fizycznie. Co zrobić? Uderzyć faceta w twarz? Przewrócić wózek? Spuścić powietrze z opon?

- Mężczyźni są niesamowici - stwierdził. - Nie sądzisz, Whitley?

- Jasne - odparł detektyw. - Skoro tak pan mówi.

- Mężczyzna popełni przestępstwo. Nawet kogoś porwie, bo właśnie tego się dopuściłeś, McKnight. A potem będzie wymachiwał innemu bronią przed nosem, a to zdaje się podpada pod groźby karalne. To także przestępstwo. I po co to wszystko? Tylko po to, żeby zaimponować kobiecie. Może nawet zaciągnąć do łóżka. Naprawdę niesamowite. Mam rację, Whitley?

- Niewiarygodne - przyznał Whitley. - Chociaż przyznam, że kiedy zobaczyłem panią Zambelli...

Powiniennem ich zastrzelić, żeby przestali kłapać dziobami.

- Dość tego - warknąłem. - Darujmy sobie te pierdoły. Nie odjadę, póki nie będę miał pewności, że przestaniesz ją nękać.

Harwood spojrział w niebo, potem znów na mnie.

- Co sądzisz o tej działce, McKnight?

Wypuściłem powietrze.

- Harwood, jest ciemno. Widzę tylko drzewa.

- Na pewno zauważyłeś kurort - ciągnął. - Po drugiej stronie wzgórza.

- No, owszem.

- Orientujesz się, jaką wartość mają dzisiaj trzy kilometry kwadratowe lasu? Tu na Złotym Wybrzeżu?

- Maria wspominała coś o dwudziestu milionach.

- Kupiłem tę ziemię w 1976 roku - powiedział. - To znaczy kupiliśmy, ja i Arthur. Już wtedy wiedziałem, że kiedyś będzie to perła w koronie.

- Arthur... wspólnik, którego zabiłeś? - upewniłem się.

Popatrzył na mnie. Światło padało na niego od tyłu, więc nie widziałem dobrze twarzy.

- Whitley, daj mi kawałek kartki.

Detektyw wsadził rękę do kieszeni. Odruchowo wymierzyłem w niego rewolwer.

- Tylko podaję kartkę - obruszył się Whitley. - Prywatny detektyw zawsze ma przy sobie notes, nie? Powiedz przynajmniej, że też nosisz.

- Proszę, pokaż to McKnightowi - odezwał się Harwood. - Myślę, że to rozwiąże nasz problem.

Kiedy Harwood skończył pisać, Whitley wziął notes i pokuśtykał w moją stronę. Jeden siedzi na wózku, drugi ledwo chodzi o lasce. A ja stoję z rewolwerem w dłoni w środku lasu w chłodną kwietniową noc. Chyba nic dziwniejszego w życiu mi się nie przytrafi.

Ale po chwili się przytrafiło. Kiedy zastanawiałem się, co zoba-

czę – może sumę w dolarach, którą chce uzyskać za działkę – dostrzegłem ruch prawej ręki Harwooda. Na poręczy wózka miał małą konsolę z guzikami. Wcisnął jeden z nich.

Zgasły światła, laska Whitleya świsnęła w powietrzu. Ból prawej dłoni, tuż nad kciukiem, pojawił się od razu. Ręka mi zdrętwiała. Rewolwer upadł na ziemię. Kiedy rzuciłem się, by go znaleźć, nocne powietrze przeszył strzał. Kula musiała przelecieć tuż nade mną. Rozbłysk z broni Harwooda rozświetlił scenę tylko na chwilę, ale wystarczyło, żebym zobaczył przed nosem stopę Whitleya. Zdażyłem ją zablokować. Przeturlałem się po ziemi, by nie dostać następną kulą.

Dałeś się zaskoczyć, Alex. Harwood napisał mi wszystko w tym małym notesie. „Kiedy zgaszę światła, uderz go!” Albo coś równie błyskotliwego. Wykiwali cię jak dziecko.

Znów dostałem łaskę, tym razem w prawą łopatkę. Padłem twarzą na ziemię i posmakowałem sosnowych igieł.

To koniec, Alex. Zabiją cię jak psa. I zakopią w lesie.

- Niech pan nie strzela! - zawołał Whitley. - Jest tutaj!

- No to zejdz mi z drogi! - krzyknął Harwood.

- Włącz pan światła!

- Cholerny świat! - zaklął Harwood. - Nie widzę, co robię!

Na czworakach sunąłem przed siebie.

Coś mnie zatrzymało. Noga Whitleya. Zanim zdażył mnie kopnąć, chwyciłem ją i szarpnąłem. Kiedy puściłem się biegiem, usłyszałem, że krzyczy coś o swoim kręgosłupie. Nie zatrzymałem się, by mu pomóc.

Światło rozbłysło w momencie, kiedy omal nie wpadłem na drzewo. Zaczny gest ze strony gospodarza. Ale po chwili w pień trafiła kula, a ja dostałem odłamkami kory w twarz. Tyle jeśli chodzi o zacne gesty.

Popędziłem w stronę samochodu. Dałem sobie spokój z zakosami, choć wszyscy radzą, by tak właśnie biec pod ostrzałem. Po prostu puściłem się naprzód ile sił w nogach-ja, niemal pięćdziesięcioletni były łapacz, który przesadną szybkością nigdy nie grzeszył. Nawet jako dwudziestolatek.

Skuliłem się za cadillakiem. Harwood wypalił jeszcze dwa razy. Tak, tak, wystrzelaj wszystkie kule. Ile mu zostało? Strzelił pięć razy? Sześć? Przypomniało mi się, jak Clint Eastwood pytał jakiegoś łotra, czy ten jest farciarzem. Ze też takie rzeczy przychodzą mi teraz do głowy. Ale coś w tym było. Mogłem się przekonać, czy mam szczęście.

Wskoczyłem do samochodu. Zaszczany, nie zaszczany, zamierzałem przejechać się cadillakiem Whitleya. Przekręciłem kluczyk; zgrzytnął rozrusznik.

Zgrzytał, zgrzytał. W końcu zaskoczył. Włączyłem światła i depnąłem na gaz. Nie miałem wyboru. Nie przejechałbym całej ścieżki na wstecznym. Zawracając, zobaczyłem w świetle reflektorów Whitleya. Wciąż leżał na ziemi na plecach.

Potem dostrzegłem Harwooda na wózku. Celował prosto we mnie.

Odbiłem mocno w lewo. Okno od strony pasażera wybuchło. Koła zabuksowały, wyrzuciły ziemię i w końcu jechałem już we właściwym kierunku. Popłynąłem tą wielką białą łodzią aleją między drzewami i oddychałem powoli. Wdech, wydech. Już ci nic nie grozi. Odpręż się i jedź.

Na głównej drodze skręciłem na zachód, potem na południe, z powrotem w stronę Orcus Beach. I Marii. Do środka wpadało chłodne powietrze, od którego łzawiły mi oczy.

To samo kiedyś przydarzyło mi się w furgonetce. Ktoś do mnie strzelał i zbił szybę od strony pasażera. Jakie jest prawdopodobieństwo, że człowieka spotka coś takiego dwa razy w życiu? Świat jest dziwny i przerażający, myślałem. Cieszyłem się, że przeżyję na nim jeszcze i tę noc.

Gdybym tylko wiedział... Noc się dla mnie wcale nie skończyła. To był dopiero początek.

## Rozdział 20

MOJA PRAWA DŁOŃ NIE NADAWAŁA SIĘ DO NICZEGO. Tylko lekko naciskałem prawym kciukiem na kierownicę, a bolało jak jasna cholera. Wiedziałem, że rośnie mi tam opuchlizna, która rano będzie mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. To samo przytrafiało mi się już wcześniej, co najmniej pięć razy. Łapacz stara się chronić prawą rękę albo trzymając ją za plecami, jak ja, albo wciśniętą pod prawą nogę. Ale wcześniej czy później dostaje nieodbitą piłką. A nawet kijem. Jeśli dopisze mu szczęście, następnego dnia może wyjść na boisko i łapać dalej.

Jechałem przed siebie. Potrzebowałem lodu, bandaża i drinka. I koniecznie musiałem się wydostać z tego brudnego grata, który śmierdział jak bartóg bezdomnego. Wezmę prysznic i wyrzucę ubranie. Potem zabandażuję rękę, walnę lufkę i piwo, łyknę cztery przeciwbólowe i będę jak nowo narodzony.

A tak w ogóle po plecach też niezłe dostałem. Masaż doskonale by mi zrobił. W wykonaniu Marii. Już nie broniłem się przed tymi myślami. Tworzyłem w głowie piękny film, wyobrażając sobie, co będzie dalej. I dalej.

Po powrocie do Orcus Beach zostawiłem cadillaca na przystani. Zabrałem tylko odbiornik UHF i komórkę Whitleya. Kluczyki cisnąłem w piach. I od razu pożałowałem. Nie samego pomysłu, tylko tego, że nie rzuciłem drugą ręką.

Uruchomiłem furgonetkę i pojechałem do domu Marii. Zegar pokazywał kwadrans po jedenastej. Nie do wiary. Tyle się wydarzyło tego wieczoru, a nawet nie minęła północ.

Zapukałem do drzwi. To tu stał Randy, kiedy Maria przypadkowo go postrzeliła, przypomniałem sobie.

- Mario, to ja, Alex! - zawołałem. Nie chciałem, żeby popełniła ten sam błąd. - Wpuść mnie! Wszystko jest w porządku!



Zgrzytnęła zasuwą i drzwi powoli się otworzyły. Maria popatrzyła na mnie. Nie odezwała się słowem.

- Nic ci nie jest? - zapytałem.

- Nie.

- Próbowali mnie zabić.

- Przepraszam, Alex.

- Nie przepraszaj. - Minałem ją i ruszyłem prosto do kuchni, do lodówki. Wysypałem lód na ścierkę do naczyń i owinąłem sobie dłoń. Potem zacząłem się rozglądać. Sprawdziłem telefon, blat. Szukałem długopisu, wtyczki albo jakiegokolwiek rodzaju podsłuchu. Nie musiałem robić tego teraz, ale chciałem być w ruchu. Bałem się przestać.

- Powiedz coś - poleciłem, wkładając słuchawki. Jedną zsunąłem z ucha. - Ten odbiornik działa też na baterii.

- Co się stało? - zapytała.

- Harwood mieszka niedaleko Traverse City. Na waszej działce.

- Tam nic nie ma.

- Przyjechał kamperem - wyjaśniłem.

Na stoliku w korytarzu stał słoiczek z długopisami.

- Wszystkie są twoje? Czy szeryfa? Jeśli tak, to chyba nie zauważysz, który mógł zostać niedawno dołożony, co?

- Jak wyglądał? - zapytała.

- Kto? Harwood? Trudno powiedzieć, nie mam żadnego porównania. Aha, wiesz, że jeździ na wózku?

- Tak.

- Od jak dawna?

- Od kiedy Leopold zrzucił go ze schodów.

Przestałem przeglądać długopisy.

- Twój brat ma do tego jakąś dziwną skłonność.

Podeszła bliżej.

- Nie wyglądał tak, jak się spodziewałem - mówiłem. - A widziałem już niejednego zabójcę.

- Ale próbował cię zastrzelić - wtrąciła się. - Sam mówiłeś.

- Zgadza się.

- Gdzie jest teraz? - zapytała. - Znajdzie mnie tutaj?  
- Wątpię, żeby próbował - stwierdziłem. - Ale nie martw się, nigdzie się nie ruszę, a jutro cię stąd zabierzemy.

- Trafiłbyś tam jeszcze raz?

- Na pewno przestawi wóz - powiedziałem. - A nie pomyślałem, żeby zapisać numer rejestracyjny.

Zamknęła oczy.

- To się nigdy nie skończy.

- Moment - przerwałem jej. - Mam komórkę Whitleya.

- Co nam to da?

Wyciągnąłem telefon.

- Spis połączeń. - Przekręciłem kółeczko z boku. Pojawił się numer. Telefon Marii. - Aha, to ja dzwoniłem. Z samochodu. - Przekręciłem kółeczko jeszcze raz. Kolejny numer. Rozpoznałem go. - To telefon do biura Whitleya - powiedziałem. - Pewnie odsłuchiwał wiadomości.

Jeszcze jeden raz kółeczkiem. Telefon z kierunkowym 313. Detroit.

- To może być to - wyjaśniłem. - Zaraz się przekonamy.

Wcisnąłem klawisz słuchawki. Sygnał poleciał powietrzem do masztu wiele kilometrów dalej. Potem tradycyjnymi łączami do Detroit, gdzie trafił do operatora komórkowego, został przekierowany innymi łączami, do innego masztu, skąd rozpoczęło się szukanie sygnału konkretnej komórki. Gdzieś na północ od nas, w kamperze stojącym w lesie albo jadącym już drogą, ta komórka zadzwoniła pięciokrotnie. W końcu ktoś odebrał.

Cisza.

- Halo? - usłyszałem po chwili.

- To on - szepnąłem, zakrywając mikrofon.

Maria pobladła, jakbym postawił przed nią Harwooda na środku kuchni.

- Halo, kto mówi? - powtórzył głos w słuchawce.

- Chciałem tylko powiedzieć dobranoc - odezwałem się. - Wiesz, bicie człowieka na wózku to świństwo. Ale następnym

razem chyba przestanę mieć skrupuły.

Rozłączył się.

- Może jednak powinniśmy się stąd natychmiast wynieść - stwierdziłem. - Nie czekać do rana.

- Nie. Nie zamierzam więcej uciekać.

Nie protestowałem.

- Zachłapię Rudigerowi cały dywan - zauważyłem i mocniej zacisnąłem łód wokół nadgarstka.

- Co ci się stało w rękę?

- To tylko siniak.

- Akurat. Pokaż.

Odłożyłem ścierkę na stół.

- Musi boleć - powiedziała.

- Trochę.

Spojrzała na moją drugą dłoń. Potem wzięła mnie za prawą.

- Twoja matka też tak robiła - zauważyłem.

- Próbowała przekazać mi tę umiejętność.

Stała bardzo blisko. Włosy delikatnie pachniały jej czymś egzotycznym, zmysłowym, trochę cygańskim. Jeśli teraz tylko na mnie popatrzy, to...

Popatrzyła na mnie.

- A to matka też ci robiła? - zapytała i pocałowała moją dłoń.

- Nie - odparłem. - Tego sobie nie przypominam.

Pocałowała jeszcze raz, dokładnie tam, gdzie najbardziej bolało.

Potem poprowadziła mnie na górę do sypialni, posadziła na łóżku, a sama rozebrała się przede mną. Przez okno wpadała tylko lekka poświata księżycy, ale to wystarczyło, by podziwiać Marię. Zdjęła mi koszulę, położyła mnie na plecach i rozpięła spodnie. Kiedy je ściągała, przekręciłem się nie w tę stronę co trzeba - plecy zabolaly, jęknąłem cicho.

- Pokieraszowany jesteś, co? Mój wielki zraniony niedźwiedź.

Patrzyłem, jak siada na mnie. Położyła rękę na mojej piersi.

- Masz tam coś w środku - szepnęła.

- Kulę - odpowiedziałem.

- Nie o to mi chodzi. Chociaż widzę blizny. - Przesunęła

palcami po szwach na torsie. – Dobry z ciebie człowiek. Może za dobry.

Pocałowała mnie.

– Jesteś za dobry, Alex – powtórzyła.

– Pocałuj jeszcze raz – poprosiłem. – Zobaczymy, jaki jestem dobry.

Całowała, kołysząc się lekko. Jej włosy opadły mi na twarz. Odurzony ich zapachem nie mogłem się już dłużej powstrzymać. Przesuwałem rękoma po jej ciele, a ona wciąż mnie całowała i kusiła tak długo, aż byłem gotów do wejścia.

Nagle przerwała.

– Alex...

– Tak?

– Powiedz mi.

– Co, Mario?

– Ze on mnie nie zabije.

– Nie zabije cię – zapewniłem. Byłem w niej.

– Proszę, powtórz to.

– Nie zabije cię. Nie pozwolę.

Poruszyła się jeszcze raz.

– Jak go powstrzymasz?

– Mario...

– No, Alex...

– Nie pozwolę, żeby cię zabił, obiecuję.

Podnosiła się i opadała, podnosiła i opadała.

– Powiedz mi... – jęknęła – ...że go zabijesz.

– Mario...

Zatrzymała się.

– Powiedz to – powtórzyła.

Spojrzałem jej prosto w oczy.

– Powiedz, że go znajdziesz i zabijesz.

Wciąż na nią patrzyłem. Bez słowa.

Zsunęła się ze mnie i usiadła na krawędzi łóżka. Czekałem dłuższą chwilę, aż się odezwie.

Milczała.

W końcu wstałem i ubrałem się. Wychodząc, jeszcze raz na nią spojrzałem. Ani drgnęła. Siedziała naga i milcząca, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Zszedłem na parter i wziąłem ścierkę. Niemal cały lód roztopił się na stole. Wyciągnąłem z zamrażarki nowe kostki i owinąłem sobie rękę. Przez chwilę patrzyłem przez wielkie okno na jezioro. Potem otworzyłem tylne drzwi. Chłodne powietrze owionęło mi twarz. Dobrze. Potrzebowałem tego.

Powlokłem się na brzeg.

Tej kwietniowej nocy jezioro Michigan było spokojne. Jezioro Górne pewnie wyglądałoby inaczej – bardziej dzikie, rozszalałe. Brzmiałoby też inaczej. Ale to jest inna noc, inny brzeg, kawał drogi od domu.

Stałem nad wodą, póki nie zacząłem dygotać z zimna. Wróciłem do domu i otworzyłem drzwi do kuchni.

Zobaczyłem Marię. Miała na sobie długi czarny szlafrok.

Stała plecami do mnie. Nad głową widziałem dymek z papierosa.

- Jak się teraz czujesz? - zapytała. Ale nie mnie. Przy uchu miała komórkę Whitleya. - Próbowałeś go zabić i ci się nie udało. Znowu. Jak zwykle. A potem od razu przyjechał do mnie. I wiesz, co zrobiłam, Charles? Chcesz usłyszeć? Rozebrałam się i usiadłam na jego ciele, całym, doskonałym twardym ciele. A potem pieprzyłam się z nim tak ostro, że przez dwa dni nie będzie w stanie chodzić prosto.

O przepraszam, Charles. Ty przecież nigdy nie zrobisz już ani kroku. Chcesz usłyszeć, jak cudowne jest pieprzyć się z prawdziwym facetem, nieprzykutym do wózka jak glista? Boże, aż mi sutki stwardniały.

I nogi zmiękły. Ależ miałam orgazm. Nawet kiedy jeszcze byłeś zdrowy, Charles, nawet za swoich najlepszych dni, nie wypieprzyłeś mnie w połowie tak dobrze jak Alex. I co? Jak się teraz czujesz, wiedząc, że nigdy już nie dotkniesz kobiety, Charles? Do końca swojego żalostnego życia zostaniesz ohydną galaretą i nigdy, przenigdy nie zasmakujesz kobiety. Bo nawet

gdybyjakaś cię dotknęła, Charles, nawet gdyby się przemogła, to i tak byś tego nie poczuł. Nie wiem, czemu jeszcze się nie zabiłeś. Nie masz po co żyć. Zupełnie... Chyba że myślisz, że zemsta poprawi ci humor. Próbuje, Charles. Może wyślę do ciebie jeszcze raz Aleksa, żebyś znów go spróbował zabić. A potem, kiedy ci udowodni, że jesteś żalonym starym capem, będę się z nim pieprzyć. Chcesz tego, Charles? Chcesz?... Tak, tak, krzycz. Powiedz, co mi zrobisz. Strasznie się ciebie boję. Pogadaj sobie, Charles. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Może następnym razem sam przyjedziesz? Boisz się stanąć ze mną twarzą w twarz?... Jasne. Potrafisz tylko gadać. I tyle. Rozłączam się, ty żalony dupku. Spij dobrze. Spróbuj o mnie nie śnić.

Odłożyła telefon. Zaciągnęła się papierosem i odwróciła się.

- Co robisz? - zapytałam.

- Rozmawiałam ze starym znajomym.

Patrzyłem na nią osłupiały. Zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Kim jesteś? - odezwała się w końcu.

- Wiesz dobrze.

- Pytam poważnie. Po co tu przyjechałeś? Pomagałeś Wilkinsowi przy jego przekręcie?

- Myślałem, że szuka cię z innych powodów - odparłem.

- Powiedzieć ci coś? Ledwo pamiętam Randy'ego Wilkinsa. Wiesz, ilu facetów wtedy naciągaliśmy?

- Jak to naciągaliście?

- Boże, Alex, naprawdę jesteś taki tępy? Z tego żyliśmy. Cała moja rodzina. Wilkins był miotaczem, tak? Pochodził z bogatej rodziny?

Stałem jak wryty przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad całą sytuacją od początku do końca. Patrzyłem na Marię, a ona na mnie.

- Wszystko, co mi powiedziałaś, od kiedy się spotkaliśmy, to same kłamstwa - stwierdziłem w końcu.

- Widzisz, jakie jest życie - odparła. - Chciałam cię sprawdzić. Przekonać się, co knujesz.

- Niczego nie knułem, Mario.

- Każdy coś knuje. - Machnęła ręką. - A jeśli rzeczywiście miałeś czyste intencje... - zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła dym w sufit - ..to miałam rację. Jesteś za dobry.

## Rozdział 21

OJCIEC MAŁO ZE MNĄ ROZMAWIAŁ O KOBIECIACH. Znal się na baseballu, hokeju i każdym innym sporcie, jaki kiedykolwiek oglądał. Wiedział, jak dbać o samochód, jak naprawiać meble. Ba, potrafił nawet budować chaty z bali. Znal się na tym wszystkim, bo wierzył, że jest wiele złych metod i tylko jedna właściwa. Jeśli chodzi o kobiety, nie ma właściwej metody. Tak mi przynajmniej mówił. „Spróbuj po prostu znaleźć kobietę, która cię nigdy nie okłamie”. To był chyba jedyny raz, kiedy dał mi radę na temat płci przeciwnej. „Kobiety trudno rozgryźć, nawet gdy są z tobą szczerze. Kiedy zaczną kłamać, już po tobie”.

Wtedy jego poglądy wydały mi się zupełnie przedpotopowe. Dziś wcale nie jestem tego taki pewien.

Maria skłamała, że rozpoznała Randy’ego, że pamiętała go po tylu latach. Łgała jak z nut o swojej przeszłości, o rodzinie. Teraz wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Matka Marii zajmowała się wróżeniem. Ale bardziej niż na przyszłości skupiała się na teraźniejszości. To nie takie trudne. Wystarczy stworzyć odpowiednią atmosferę, omotać ofiarę i szukać słabości. Każdy je ma. Kogoś nie rozumieją rodzice, ktoś inny nie może zrealizować swoich marzeń albo czegoś się boi. Jeśli przynęta nie chwyta, szybko rzuca się następną. Kiedy w końcu „wróżka” trafia w czuły punkt, wszystko staje się oczywiste jak wielki świecący neon nad głową biednego naiwniaka. Tak! To jest to! To mój problem! Skąd pani wie?

A potem podpuszcza się frajerów jeszcze bardziej. Jeśli na haczyk trafi miody mężczyzna i trzeba wykorzystać córkę, żeby lepiej zanęcić, czemu nie. Tak to działa.

Sprawa z Harwoodem wciąż jednak wydawała mi się trochę dziwna.



Nie wiem, ile było w tym kłamstwa. Z pewnością się nienawidzili. Ale teraz straciłem orientację, które z nich jest ofiarą i czy w ogóle jest jakaś ofiara. Nagle przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Przynajmniej dla mnie.

Przypomniałem sobie chwilę, kiedy Maria zarzuciła na mnie haczyk, kiedy uznała, że mogę się jej przydać. Stało się to wtedy, gdy wszedłem do baru, usiadłem obok i po raz pierwszy się do niej odezwałem. Cześć, to ja jestem kumplem Randy'ego Wilkinsa. Tak, tego oszusta. Nie, wcześniej nie miałem o tym pojęcia. Poprosił mnie o pomoc, bo chciał się z tobą spotkać po tylu latach. Uwierzyłem Randy'emu.

Wtedy właśnie uznała mnie za króla naiwniaków. Czy miała rację? Może i tak. Choć ostatecznie nie dostała tego, co chciała. Harwood wciąż żyje. A ja odjeżdżam z jej posiadłości.

Na szosie dodałem gazu. Gdybym mógł, ruszyłbym z piskiem opon. Ale udało mi się tylko sypnąć żwirem spod kół. Dobranoc, Mario. Powodzenia.

Niecały kilometr dalej okazało się, że to nie koniec pecha tej nocy. Nad przystanią stał radiowóz Rudigera, a sam szeryf zaglądał przez dziurę po szybie w cadillacu Whitleya. Kiedy zobaczył moją furgonetkę, wylazł na środek asfaltu. Miałem szczerą ochotę go rozjechać. Ale oparłem się pokusie. Stał bez ruchu, póki się przed nim nie zatrzymałem. Wtedy podszedł. Opuściłem szybę.

- Dobry wieczór, McKnight.

- Czym mogę służyć, szeryfie?

- Wiesz coś na temat tego auta? - zapytał.

- Zdaje się, że trzeba mu wstawić nową szybę.

- A orientujesz się może, gdzie znaleźć jego właściciela?

- Nie - odparłem. I, technicznie rzecz biorąc, nie skłamałem.

- Chyba musimy o tym porozmawiać - nie dawał za wygraną.

- Szeryfie, błagam - powiedziałem. - Nie pracuję już dla pani Zambelli. I nie interesuje mnie nic, co kiedykolwiek zdarzyło się w tym miasteczku. Ani to, co się zdarzy. Właśnie opuszczam Orcus Beach. Kiedy tylko mnie puścisz, wyjadę i nigdy tu nie

wrócę. Przenigdy. Myślę, że to cię ucieszy.

- Nie puszcze cię - oznajmił i położył obie ręce na masce furgonetki. - Nie puszcze, póki nie postawię ci drinka.

- Słucham?

- Zapraszam do Rocky'ego.

- Szeryfie, nie obraż się, ale to był długi wieczór...

- Masz wybór - stwierdził. - Albo udamy się na posterunek i porozmawiamy o tym, co się stało z tym samochodem, albo pojedziemy do Rocky'ego i postawię ci drinka. Jaka decyzja, McKnight?

- Prowadź - westchnąłem.

Rudiger wsiadł do samochodu i wrócił do głównej drogi, a potem dojechał do Rocky'ego. Minęła właśnie druga w nocy, ale w barze gości nie brakowało.

- Nie przypuszczałem, że kiedyś będę tu chętnie widziany - powiedziałem.

- Proszę. - Otworzył mi drzwi.

Spodziewałem się najgorszego. To na pewno pułapka. Rocky i Harry już czekają, żeby się na mnie rzucić. Pobiją mnie do nieprzytomności i jeśli będę miał dość szczęścia, nie zatłuką na śmierć, tylko porzucą gdzieś za miastem.

Nikt się na mnie nie rzucił. Nie walnął w głowę. W barze siedzieli ze trzydzieści osób, głównie mężczyzn. Zapewne stała nocna ekipa. Telewizor wyłączono i rodzinna restauracja zmieniła się w lokal dla twardych zawodników. Rudiger poprowadził do baru w kształcie podkowy. Usiedliśmy po stronie Marii, zaledwie kilka stołków od miejsca, gdzie zobaczyłem ją po raz pierwszy. Rocky spojrzął na mnie, potem na Rudigera. Jeśli zdziwił się, widząc nas razem, doskonale to ukrył.

- Czego się napijesz, McKnight? - zapytał Rudiger.

- Piwa - odparłem.

- Dwa piwa - zamówił. - 1 jedną lufkę dla mnie.

Rocky obsłużył nas bez słowa i zajął się swoimi sprawami.

- Wydawało mi się, że w tym stanie po drugiej nie można podawać alkoholu - zauważyłem.

- Chyba masz rację. Wezwijmy policję.

- Nieważne - mruknąłem.

Wypił wódkę i bardzo delikatnie odstawił kieliszek. Nie walnął nim o blat.

- Więc po co mnie tu przyprowadziłeś? - odezwałem się.

- A jak sądzisz?

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Odniosłem wrażenie, że nie bardzo ci zależy na moim towarzystwie. Prawdopodobieństwo, że postawisz mi drinka, oceniałbym na jeden do dziesięciu tysięcy.

- Fakt, niewielkie - przyznał. - A na ile oceniałbyś szansę, że cię przeproszę?

- W życiu bym na to nie postawił - przyznałem.

- Sam kiedyś byłeś gliną. Nigdy nie słyszałeś, żeby szeryf kogoś przeprosił?

- Nie przypominam sobie.

Rudiger uniósł rękę. Rocky nappełnił kieliszek.

- Mogę cię o coś zapytać, McKnight?

- Strzelaj.

- Zakochałeś się kiedyś?

Popiłem piwa.

- Daj spokój, szeryfie.

- Odpowiedz.

- Tak. Zakochałem się.

- A zrobiłeś kiedyś coś głupiego z miłości?

Zastanowiłem się. Nie tyle nad odpowiedzią, ile nad tym, czemu, do cholery, zadaje mi takie pytania.

- Cóż... owszem.

- Jak bardzo głupiego? - dociekał. - Co zrobiłeś najgorszego z powodu miłości?

- Musiałbym pomyśleć.

Pokiwał głową i wychylił drugi kieliszek.

- Wiedziałem, że obserwuje ją ten prywatny detektyw - zaczął.

- Mogłem go powstrzymać w dowolnej chwili.

- Nie miałeś dowodu, że się do niej włamał - zauważyłem. - Za co byś go aresztował?

- Przynajmniej uprzykrzyłbym mu życie.

- Tak jak mnie.

- Otóż to - przyznał. - Czy już cię za to przeprosiłem, czy tylko mówiłem o przeprosinach? Zapomniałem. - Znów podniósł rękę. Kolejna lufka.

- Powiedzmy, że przeprosiłeś - odparłem. - Ale w takim razie, dlaczego dałeś Whitleyowi spokój? To właśnie ta głupota, którą popełniłeś z miłości?

Roześmiał się.

- Co ty, ta nawet nie załapałaby się do pierwszej dwudziestki głupot.

- Od jak dawna się w niej kochasz? - zapytałem.

Rudiger wypił trzecią kolejkę. Jeszcze szybciej niż dwie pierwsze. Znów ostrożnie odstawił kieliszek. Nie odrywał od niego wzroku.

- Od dawna - wyznał w końcu. - Poznałem ją, kiedy służyłem jeszcze w policji stanowej. Boże, kiedy to było? W 1972? Zatrzymałem na autostradzie wielki kabriolet. Facet jechał ponad sto trzydzieści na godzinę. Siedziała w jego samochodzie. Harwooda, tego sukinsyna, który ją ściga od tylu lat. Ale to było dawno temu, jeszcze zanim wyszła za Zambellego.

Znów ręka w górę. Liczyłem na to, że Rocky zachowa się jak przyjaciel i nie przyniesie mu więcej alkoholu, ale nic z tego. Rudiger wychylił czwartą kolejkę i mówił dalej:

- Sprawdziłem jego prawo jazdy. Potem też dane Marii. Wtedy nazywała się Valenescu. Miała wpis w kartotece. Całą rodzinę oskarżono o wielokrotne oszustwa. Matka jako wróżka dowiadywała się, czy klient ma pieniądze. Jeśli tak, zarzucali na niego sieć. Kobięcie, zwłaszcza podatnej na sugestie, wmawiali, że jej dzieci będą miały pecha, jeśli nie zapłaci za poradę. Albo za czary odpędzające złe duchy. Ludzie wierzyli w te głupoty. W przypadku mężczyzny... - Przerwał. Patrzył na pusty kieliszek. - Stosowali inną metodę - dokończył. - Zawsze znajdzie się jakiś sposób, tym bardziej jeśli ma się piękną córkę. Ale wtedy tego nie wiedziałem. Przy nazwisku Marii Valenescu po prostu

pojawiła się informacja, żeby doprowadzić ją na przesłuchanie. Flarwood próbował mnie powstrzymać. W końcu wypisałem mu wszelkie możliwe mandaty, a Marię wsadziłem na tylne siedzenie radiowozu i ruszyłem na posterunek. Po drodze zaczęła płakać. Powiedziała, że rodzina zmuszała ją do udziału w oszustwach i że próbowała od nich uciec. Prosiła, żebym się zatrzymał i pozwolił jej wszystko wyjaśnić. Bała się, co będzie, kiedy trafi na posterunek.

Znów zamilkł.

- Nie dowiozłeś jej tam - zagadywałem.

- Miałem żonę, trójkę dzieci... W życiu nie przypuszczałem, że coś takiego mi się przytrafi. Była zbyt... - Pokręcił tylko głową. - Spotykaliśmy się także później - mówił. - Nawet kiedy wyszła za mąż. Ten Zambelli albo miał klapki na oczach, albo o wszystkim wiedział, tylko nic z tym nie robił. Myślę, że to możliwe. Co jakiś czas dzwoniła do mnie. Mówiła, że rodzina jest w kłopotach i potrzebują pomocy. Dwa razy wyciągałem z więzienia jej brata Leopolda. Nakłaniałem ludzi, żeby nie wnosili zarzutów i w ogóle zapomnieli o sprawie. Raz musiałem przekonać kolegę z policji stanowej, za drugim razem gliiniarza z Oakland County. Tuż po śmierci Zam-bellego Leopold dopadł Harwooda i chyba zrzucił go ze schodów. Nieźle się nawyginałem, żeby zatuszować aferę. Ale potrafię być przekonujący, McKnight.

Nie zaprzeczyłem. Dokończyłem piwo.

- Niedługo potem zniknęła. Zanim urodziło się dziecko. Znów stałem się przykładnym mężem z trójką dzieci. Dwoje już się wyprowadziło z domu, a trzecie szykowało się na studia. Zapomniałem o Marii. Nie sądziłem, że kiedykolwiek się odezwie. Odszedłem z policji stanowej i objąłem stanowisko tutaj. Umarła mi żona. Siedziałem sam jak palec w rodzinnym miasteczku. Uznałem, że po prostu przemieszkam tu ostatnich dwadzieścia lat życia i tyle. Wtedy zjawiła się ona. Znienacka. „Cześć Howard - powiedziała. - Pamiętasz mnie?” Omal nie padłem na zawał. Oczywiście była starsza, ale na Boga, McKnight, gdybyś ją widział. Kobieta ma czterdzieści siedem lat, a wygląda lepiej

niż trzydziestka. Ba, założę się, że nawet po sześćdziesiątce będzie zwalała facetów z nóg. No nie tak?

- Pewnie tak.

- Zresztą, nieważne. W każdym razie przyjeżdża i mówi, że przez ten cały czas o mnie myślała. I że ucieka przed Harwoodem, tym samym, którego zatrzymałem wieki temu. Błagała o pomoc, więc zaproponowałem, żeby zamieszkała u mnie w rezydencji.

A więc i w tej kwestii kłamała. Co za niespodzianka.

- Nie próbowałem wykorzystać sytuacji - zastrzegł. - Chociaż myślałem o tym, jak by to było wstawać co rano i robić Marii śniadanie. Pamiętałem, że zawsze lubiła, jak ktoś robił śniadanie. Ale teraz tak nie chciała. Stwierdziła, że to za dużo zmian naraz. Zaoferowałem więc, żeby została u mnie, a ja znajdę sobie na jakiś czas lokum w miasteczku. To jej się spodobało. Zapewniła jednak, że pewnej nocy zadzwoni. „Zadzwoń i poproszę, żebyś przyszedł”. Tak właśnie powiedziała. Czekałem i czekałem. Kiedy ten prywatny detektyw zaczął ją obserwować, domyśliłem się, że coś się stanie. Może będę miał okazję wystąpić jako rycerz w lśniącej zbroi. - Spojrzał na mnie, jakby zapomniał, że siedzę obok. Z trudem skupiał wzrok. - I rzeczywiście coś się stało - dodał.

- Co takiego? - zapytałem.

Wstał, przytrzymując się stołka, żeby nie upaść.

- Pokażę ci.

- Jak to?

- Chodź - poprosił.

- Szeryfie, robi się późno.

- McKnight, albo ze mną idziesz, albo trafisz na posterunek. Przysięgam na Boga, coś wymyślę i cię aresztuję. Rozmawiamy sobie jak facet z facetem. Nie spieprz tego.

Wyszedłem z nim na dwór. Wsiadł do radiowozu i machnął ręką, żebym wskakiwał z drugiej strony.

- No już - ponaglał mnie.

- Dokąd jedziemy?

- Wsiadaj, nie gadaj - niecierpliwił się.

Usiadłem z przodu. Rudiger odpalił silnik, cofnął i wjechał prosto w lampę.

- Chyba nie powinieneś siadać za kółkiem, szeryfie - stwierdziłem.

- Nie przejmuj się. W końcu kto mnie tu zatrzyma?

- Nie o to się martwię.

- To niedaleko - wyjaśnił. - Dojedziemy w minutę.

Ruszył na północ główną drogą, mijając motelik z obowiązkowym działem na szyldzie.

- Opowiadałem ci już, skąd się wzięło działo?

- Owszem.

- Aha, to dobrze.

Droga wiodła prosto jak pod sznurek, więc Rudiger cały czas jechał po niej przynajmniej dwoma kołami. Cztery lufki wbarze na pewno nie były pierwsze tego wieczoru - przy stopach wałała się pusta butelka.

- Szeryfie, naprawdę nie powinieneś prowadzić.

- Już dojeżdżamy. - Skręcił mocno w prawo w boczną dróżkę. Nie rąbnął czołowo w znak stopu, ale słupek ze zgrzytem przetarł drzwi od strony pasażera. Chwyciłem się mocno deski rozdzielczej.

- Auu - mruknął Rudiger. - Właśnie przepadł cały policyjny budżet.

- Zatrzymaj się - rozkazałem.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił. Zajechał przed mały domek i depnął po hamulcach, kiedy uderzył w skrzynkę.

Wysiadłem z samochodu - zobaczyłem długą rysę na boku radiowozu, a w światłach reflektorów przekoszoną skrzynkę. Poza tym nic się nie stało.

- Zapraszam - powiedział, idąc do drzwi wejściowych.

Sięgnąłem do auta, wyłączyłem światła i wyjąłem kluczyki ze stacyjki. Postanowiłem, że odprowadzę Rudigera do środka, ułożę do snu i sobie pójdę. Do furgonetki wrócę pieszo.

- Jak ci się podoba? - zapytał.

Nie było to powalające mieszkanie, po prostu mały salon z pocerowaną kanapą i stolikiem do kawy. Na metalowym wózku z plastikowymi kółkami, jakby żywcem wyjętym z lat sześćdziesiątych, stał mały telewizor. W jadalni – stół dla dwóch osób i metalowe krzesła pokryte winylem. Też z lat sześćdziesiątych. Rudiger włączył światło i zrzucił górę papierzyśk ze stołu na podłogę.

- Siadaj – zaprosił mnie.

Zawahałem się przez chwilę, ale w końcu usiadłem. Trzeba go udobruchać, jakoś to przetrwać i wynieść się stąd, gdzie pieprz rośnie.

Przyniósł butelkę whisky Wild Turkey i dwie szklanki.

- Polej – poprosił. – A ja pokażę ci dowód numer jeden.

- Myślę, że obaj mamy już dość na dzisiaj – zauważyłem.

- Lej, nie gadaj – upierał się. Wyszedł z pokoju, chyba do sypialni.

Siedziałem w świetle taniej lampy kuchennej, czekając na rewelację szeryfa.

Wrócił ze strzelbą. Tego mi jeszcze brakowało.

- Wiesz, co to jest? – zapytał, siadając naprzeciwko mnie.

Nie odpowiedziałem. Wstrzymałem oddech.

- Na litość boską, McKnight, przecież cię nie zastrzelę. Spokojnie.

Położył broń na stole. Lufą ode mnie. Zaczepiłem powietrza.

- Złożę się, że nie zgadniesz, co to jest – wymamrotał. – No?

Wzruszyłem ramionami.

- To broń, z której Maria strzelała do Wilkinsa.

Tylko patrzyłem.

- Pewnie zastanawiasz się, czemu jest u mnie.

Kiwnąłem głową.

- Kiedy do niego strzeliła, zadzwoniła do mnie. Około dziewiątej wieczorem. Pomyślałem: to jest to. Maria wzywa – wyjaśnił. – Zdaje się, że kazałem ci p olać – przypomniał sobie. – Wziął butelkę i nalał do dwóch szklanek. Jedną postawił przede



mną. Nie dotknąłem jej. – Owszem, chciała, żebym przyjechał – mówił dalej. – Bo właśnie strzeliła do człowieka na werandzie. Popędziłem tam i zobaczyłem, co się stało. Kazałem jej natychmiast jechać do Rocky’ego. Miała się zachowywać, jakby nigdy nic. Zabrałem broń, rozejrzałem się po okolicy, czy nikogo nie ma w pobliżu. Potem wróciłem na posterunek. Zadzwoił telefon. Ktoś zgłaszał strzały. Wysłałem tam Rocky’ego. Pojechałem tuż za nim, ale najpierw wpadłem tutaj ukryć broń. – Wypił potężny łyk i spojrzął na mnie. – Zrobiłeś kiedyś coś równie głupiego? – zapytał.

– Cóż, popełniłeś błąd, szeryfie. Zdarza się. A teraz odstaw szklanke i połóż się spać.

Pokręcił głową.

– To jeszcze nie koniec – ciągnął. – Kiedy już raz walnie się taką głupotą, nie ma odwrotu. Spirala zaczyna się nakręcać, rozumiesz? W końcu człowiek przestaje panować nad sytuacją.

– Co jeszcze zrobiłeś?

– Właściwie nic takiego – odparł. – Poza zacieraniem śladów przestępstwa, ukrywaniem dowodów... – Dopił resztę whisky i pochylił się, żeby sobie znów napęlić szklanke. Trochę rozlał na lufę strzelby. – Aha, i omal cię nie zabiłem – zauważył. – Wtedy, na posterunku.

Zdjąłem ci kajdanki. Myślałem, że cię sprzątnę, a wszystkim powiem, że się na mnie rzuciłeś. Już nie dociekałbyś, co się stało Wilkinso- wi i nie... – Popatrzył wprawo, jakby chciał spojrzeć na drugi koniec miasta. – I nie byłoby cię... z Marią.

– Ale nie zrobiłeś tego. Nie zabiłeś mnie.

– Bo pojawił się Rocky – przypomniał. – Inaczej... naprawdę bym cię kropnął, McKnight. Tak daleko to zaszło. Jedna pomyłka, potem kolejna. Aż w końcu przestajesz sam siebie poznawać.

– Szeryfie...

– I wiesz, co jeszcze? – odezwał się. – Ten twój Wilkins. Oszust. Rozmawiałem z lekarzem. Wyjęli mu kawałek śrutu z głowy. Pewnie lada chwila się obudzi. Myślę sobie, że jeśli

pamięta, co się stało, rozpęta się tu prawdziwe piekło. Może dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby się nie obudził. Spróbuję przekonać tamtego gliniarza, żeby zszedł z wachty przed salą. Powiem, że sam popilnuję chorego. I odłączę respirator. Naprawdę, McKnight. Do tego doszło.

Słuchałem go w milczeniu. Patrzył na strzelbę.

- Harwooda zabiłbym bez wahania - wyznał. - Jestem tego pewien. Powiedziałem nawet o tym Marii, że jeśli chce, to sprzątnę drania. Nie uwierzyła. Stwierdziła, że nigdy się nie odważy.

- Szeryfie...

- Myślisz, że to koniec? - zapytał. - Wcale nie. Zakład, że zastanawiasz się, czemu pozwalam się tak wodzić za fiuta... co? Nie wydaje ci się dziwne, że to wszystko robię?

- Sam nie wiem - odparłem.

- Delilah.

- Co Delilah?

- Pytasz co? Chcesz się dowiedzieć? Maria poinformowała mnie, że to moja córka.

Nie byłem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

- Z mężem podobno próbowali od lat. Nie wyszło. I to ja jestem ojcem Delilah.

- Kiedy ci to powiedziała?

- Kiedy pojawiła się tu, w Orcus Beach. Po osiemnastu latach. Nie do wiary. Myślałem, że wszystko się uspokoi, zamieszkać z Marią, a córka będzie nas odwiedzać.

Wpuściłem powietrze i zerknąłem ukradkiem na zegarek. Dochodziła trzecia. Ręka zaczęła mnie łupać. Potrzebowałem jeszcze trochę lodu.

- Kupiłem to - wyznał. - Jak pierwszy naiwny.

- A myślisz, że to nieprawda?

- Chciałem się upewnić - powiedział. - Wiedziałem, że Delilah urodziła się na Florydzie, po ucieczce Marii. Zadzwoiłem do tamtejszego archiwum urzędu stanu cywilnego i poprosiłem o akt urodzenia Delilah. Znaleźli go w dwie minuty i odczytali

przez telefon. A wiesz, jak trudno wydobyć akt urodzenia w Michigan? Zresztą, nieważne. W akcie jako ojciec wpisany był świętej pamięci Arthur Zam- belli, ale to mnie nie zdziwiło. Kogo innego miała podać? Dziewczynka urodziła się w szpitalu w Tampa. Zadzwoiłem tam i zdobyłem jej dokumentację medyczną. Tym razem musiałem przedstawić się jako policjant, ale nie chcieli nawet, żebym przefaksował im jakiegokolwiek dokumenty. Podali mi wszelkie informacje ot tak.

- I co?

- Mała Delilah miała grupę krwi B, a mamusia Maria grupę 0.

- A ty masz...

- Zero - odparł. - A takie połączenie nie daje grupy B.

- Czyli cię okłamała.

- Wiesz, co jeszcze zrobiłem? Tak z czystej ciekawości?

- Co takiego?

- Zdoylem raport kryminologiczny na temat śmierci Arthura Zambellego. Po tym jak spadł do rowu i złamał kark zrobiono sekcję zwłok. I jaką miał grupę krwi?

- Mów.

- A - powiedział. - Takie połączenie 0 i A też nie daje grupy B.

- No dobra, i co z tego?

- Domyślam się, kto jest prawdziwym ojcem Delilah - wyznał.

- Kto?

Spojrzał na mnie bez słowa.

- Nie, niemożliwe - wymamrotałem.

- Współżyli ze sobą - stwierdził. - Przez cały ten czas, kiedy była żoną Zambellego.

- Chyba żartujesz.

- Zawsze były między nimi jakieś chore emocje - wyjaśnił. - Teraz to rozumiem. Widzę cały...

- Na litość boską - jęknąłem.

- Cały ten chory związek - dokończył. Odstawił szklanekę, podniósł jedną ręką strzelbę, a drugą zaczął grzebać w kieszeniach koszuli. W końcu wyciągnął kartkę złożoną na pół. - Chcesz

wiedzieć, nad czym poważnie się dzisiaj zastanawiałem? – zapytał. – Masz, czytaj.

Rozłożyłem papier – z papeterii Orcus Beach; na górze widniał mały herb z armatą. „Dla Marii i wszystkiego, w co chciałem wierzyć”. Koniec.

Kiedy podniosłem wzrok, szeryf miał już lufę strzelby w ustach. Rzuciłem się do przodu i wytrąciłem mu broń z ręki. Zdążył złapać. Przez jedną przerażającą chwilę lufa była skierowana prosto w moją twarz. Znów ją podbiłem, przewracając stół na Rudigera. Runął do tyłu na krzesło, a zaraz za nim poleciał stół, ja i strzelba – jakimś cudem upadła bez strzału, więc nie rozwalila żadnego z nas. Rudiger leżał na plecach. Podczołgałem się do niego i spojrzałem mu w twarz.

– Musiałeś, McKnight? – odezwał się. – Sprawdzalem tylko, czy sięgnę do spustu. Na wypadek, gdybym kiedyś się na to zdobył.

– Po co mi to robisz, szeryfie? Po cholere mnie tu przyprowadziłeś?

– Jesteś katolikiem?

– Nie – odparłem. – Nie jestem.

– Więc nigdy nie byłeś u spowiedzi.

– Nie.

– Ojcze, przebacz mi, bo zgrzeszyłem – zaczął. – Ostatni raz spowiadałem się czterdzieści pięć lat temu.

– Wychodzę – oznajmiłem. – Musisz się wyspać.

– Myślałem, że mnie zrozumiesz, McKnight. Wydawało mi się, że tylko tobie mogę to opowiedzieć. Tylko tobie. Wszystko.

Wstałem i podniosłem stół. Miałem zostawić strzelbę w kącie, tak jak leżała, ale zmieniłem zdanie. Złamałem ją i wrzuciłem sobie naboje do kieszeni, potem odłożyłem broń na stół. Obok zostawiłem kluczyki do samochodu. I samobójczy list szeryfa.

– McKnight – jęknął. Wciąż leżał na plecach, z zamkniętymi oczami.

– Dobranoc, szeryfie – pożegnałem się.

– Daj mi telefon – poprosił.

– Dobranoc.

- Chcę zadzwonić. Do Marii.
- Nie dzwoń - poradziłem. - Idź do łóżka.
- Sam sobie wezmę - stwierdził, ale nie ruszył się z miejsca. - Obudzę ją i powiem, że wszystko wiem. Ze to nie moja córka.
- Dobranoc, szeryfie.
- Nie idź - zatrzymywał mnie. - Będiesz świadkiem. Ktoś musi tego posłuchać.
- Dobranoc, szeryfie.
- Ani kroku - wybełkotał. - Jesteś aresztowany. Masz tu zostać i być moim świadkiem.
- Dobranoc, szeryfie - powtórzyłem.

Minąłem radiowóz i pochyloną skrzynkę na listy; czułem na twarzy chłodne powietrze. Poszedłem pieszo główną drogą, aż do baru Rocky'ego. Wciąż mieli otwarte, nawet po trzeciej nad ranem.

W końcu co innego można robić w Orcus Beach. Tylko siedzieć, pić i rozmyślać o popełnionych błędach.

Uruchomiłem furgonetkę i wyjechałem stamtąd. Na granicy miasteczka w lusterku wstecznym zobaczyłem napis: „Witamy w Orcus Beach”, a pod nim działo na piasku.

Opuściłem szybę i wyrzuciłem dwa naboje ze strzelby.

## Rozdział 22

OBUDZIŁ MNIE JAKIŚ DŹWIĘK. Świergot ptaka, potem cisza i znów zaczął świergot. Nie, to telefon. Podniosłem głowę. Leżałem w ubraniu w motelowym łóżku w Whitehall. Nawet sobie nie pościeliłem, po prostu wszedłem do pokoju o wpół do piątej nad ranem i runąłem jak kłoda... Prawą rękę nadal miałem opuchniętą, ot taka mała pamiątka na wypadek, gdybym uznał, że miałem tylko zły sen.

Która to godzina? Nie widziałem zegarka, ale pokój był zalany jasnym światłem.

Telefon znów zadzwonił. Podciągnąłem się. Podniosłem słuchawkę. Ciągły sygnał.

Położyłem się z powrotem i popatrzyłem w sufit. Telefon znów zadzwonił. Nie ten motelowy. Komórka. Niemożliwe, przecież leży w furgonetce.

Telefon znów zabrzączał. No tak, to nie moja. Moja inaczej dzwoni. Nie ma aż tak irytującego sygnału.

Komórka Whitleya. Jest w kieszeni kurtki. Wstałem i ją wyjąłem. Zanim zdążyłem odebrać, zadzwoniła jeszcze raz.

- Halo? - mruknąłem.

- To ty, McKnight?

Znałem ten głos.

- O co chodzi, Harwood? Po co dzwonisz?

- Ukradłeś Whitleyowi telefon - powiedział. - Nie mówiąc o samochodzie. Nie jest zadowolony.

- A mnie jakoś nie gryzie sumienie - odparłem. - To wszystko, co masz do powiedzenia?

- Zdaje się, że miałeś niezłą noc. O ile oczywiście Maria nie koloryzowała.

- Do widzenia - uciąłem.

- Dlaczego pytałeś mnie o Randy'ego Wilkinsa?
- Podobno go nie znasz.
- Był miotaczem, prawda? W Tygrysach. Facet, który spieprzył swój jedyny występ. Oglądałem ten mecz.
- No co ty?
- Jego ojciec handlował nieruchomościami w Kalifornii. Mieliśmy zrobić jakiś interes. Chyba dlatego byłem na tym meczu. Stary Wilkins nie mógł, więc powiedziałem, że pójdę. Rany boskie, facet podłożył się totalnie. Ile kolejek odpuścił w pierwszej części? Z osiem, co?
- Harwood, czy to jedyny kontakt, jaki z nim miałeś? Byłeś tylko na tym meczu? - Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Zbyt duży zbieg okoliczności.
- Zdaje się, że spotkałem go ze dwa dni później w restauracji. Podszedłem, żeby pogratulować, to znaczy, złożyć kondolencje... Iwtedy... zaraz, chwila.
- Co się stało?
- Przypominam sobie. To było w Lindell AC, w centrum Detroit. Znasz ten lokal?
- Tak.
- Wypiłem z nim drinka, przynajmniej tyle mogłem zrobić. Nadal próbowałem ubić interes z jego ojcem. Staralem się zachować dobre stosunki z całą rodziną, rozumiesz? Więc siedzi sobie ten biedny chłopak, który zbłądził się przed całym stadionem. I nagle, ni z tego, ni z owego, mówi, że muszę się przejść kawałek dalej do wróżki. Nic nie wspomniał o Marii, tylko o Madame jakiejś tam, cholera wie. Wkrótce okazało się, że interes z ojcem Wilkinsa jednak nie wypalił. Od tamtego czasu pierwszy raz usłyszałem to nazwisko dopiero od ciebie dzisiaj w nocy.
- Więc tak poznałeś Marię? Randy powiedział ci, żebyś poszedł do wróżki?
- No tak. Cholera, wcześniej tego nie skojarzyłem. To Wilkins mnie tam wysłał. Ale numer. Chociaż o ile pamiętam, poszedłem dopiero... rok później? W następnym sezonie. Po

kolejnym meczu. W 1972 roku. Wtedy Tygrysy przegrały z jakąś drugoligową drużyną w play-offach, prawda? Wracałem ze stadionu do samochodu, zobaczyłem jej szyld na Leverette Street i przypomniałem sobie, że miałem do niej iść. Nigdy nie byłem u wróżki. Wstąpiłem ot tak, z ciekawości. I popełniłem swój największy błąd. Człowieku, okręcili mnie wokół palca. Całe życie twojej przyjaciółeczki to jedno wielkie oszustwo. Mam nadzieję, że już się o tym przekonałeś, McKnight. Niezła rodzinka. Załatwili mnie na cacy. Porobili mi zdjęcia w pokoju w hotelu. Szantażowali latami. A potem zagięła parol na mojego współnika, Arthura Zambello. Byli małżeństwem prawie dziesięć lat. Próbowałem go ostrzec. Mówiłem, co mi zrobiła. Nie wierzył. Chociaż... może i wierzył, tyle że miał to gdzieś. Pewnie uważał, że się zmieniła.

- Jaką masz grupę krwi? - zapytałem.

- Po co ci to?

- Powiedz.

- Chodzi o córkę?

- Zambelli nie był jej ojcem.

- A to odkrycie - prychnął. - A jak myślisz, dlaczego go zabiła? Zaniemówiłem.

- O czym ty mówisz?

- Facet był bezpłodny. Za słabe nasienie czy coś takiego. Kiedy zaszła w ciążę, miała trzy wyjścia. Powiedzieć mu i zaryzykować, że rzuciją na dobre, a ona straci poważne pieniądze. Albo pójść na zabieg, na co pewnie zdecydowałyby się większość kobiet. Albo po prostu go zabić. To wyjście dawało Marii nawet dodatkowo zacząć sumkę z ubezpieczenia. Nie było się nad czym zastanawiać.

- Jesteś ojcem Delilah?

- A czyja wiem?

- Więc to możliwe?

- Pewnie tak. Ale co z tego? Jeśli to moja córka, to dorastała, nienawidząc mnie. I co dzień na dobranoc słyszała, jaki jestem zły.



- A więc jednak - powiedziałem. - Byliście razem, nawet wtedy. Jakim cudem? Przecież ta kobieta cię wrobiła i szantażowała, zgadza się?

- Owszem - odparł. - Cały czas. Przez dziesięć lat. Ale stwierdziłem, że skoro i tak już muszę płacić, to czemu rezygnować z przyjemności?

- A dlaczego Maria chciała się w ogóle z tobą zadawać?

- Nie rozumiesz, McKnight? W życiu nie miała lepszego ode mnie. Seks nadal ją kręci jak cholera.

- Dobrze, już, dobrze - przerwałem. - Oszczędź mi szczegółów. Żałuję, że zapytałem.

- Wiesz, co zrobiła po tym, jak zabiła Zambellego?

- Kazała bratu zrzucić cię ze schodów - powiedziałem. - Słyszałem o tym.

- Nie, jeszcze później. Kiedy przeprowadziła się na Florydę, wysłała mojej żonie drobny pożegnalny prezent. Te zdjęcia, które zrobili nam w 1972 roku. Kurwa, nie wystarczyło jej, że zostałem inwalidą. Musiała jeszcze zniszczyć mi małżeństwo.

- Po co to wszystko teraz opowiadasz?

- Powinieneś poznać prawdę-wyjaśnić.

- Czemu nie powiedziałeś mi tego w nocy? - zapytałem. - Aha, jasne, byłeś zajęty strzelaniem do mnie.

Usłyszałem jakieś odgłosy w tle. Szum ruchu ulicznego i czyjeś krzyki.

- Wybacz Whitleyowi - odezwał się po chwili Harwood. - Właśnie przejechałem przez tory kolejowe. A on leży i próbuje rozluźnić kręgosłup. Nieźle mu dałeś popalić.

- Prowadzisz? - zdziwiłem się.

- Tak. Do kierowania wystarczą mi ręce. Poza tym mam pełną automatykę. Dlatego mogę teraz rozmawiać przez telefon.

- Cudownie - mruknąłem. - To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

- Mam nadzieję, że zostało ci trochę oleju w głowie. Zwiewaj, póki możesz.

- Twoja troska jest wprost zadziwiająca - odparłem. - Ale cię

zaskoczę. Już zwiąłem. Olewam, co się teraz stanie. Oboje jesteście siebie warci. Szkoda tylko, że cierpi też Delilah. Nie zasłużyła sobie na takich rodziców.

- Coś czuję, że wkrótce wszystko się zmieni - powiedział Harwood. - Cieszę się, że już cię nie zobaczę. W końcu to nie twój problem.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. W telefonie słyszałem szum, a potem trzaski.

- Trzymaj się z daleka - powiedział. Słowa się rwały. - Trzymaj się z daleka.

W końcu połączenie się zerwało.

Wyłączyłem komórkę. Obiecałem sobie, że wyrzucę ją do pierwszego napotkanego kosza.

Słońce świeciło, kiedy wyjeżdżałem z motelu. To był jeden z tych kwietniowych dni w Michigan, kiedy temperatura rośnie do dwudziestu stopni i ma się wrażenie, że lato jest tuż-tuż. Następnego dnia temperatura znów spada do zera. Ale za każdym razem się na to nabieramy.

Po śniadaniu ruszyłem w drogę z poważnym zamiarem, by wracać do domu. Ale nagle pomyślałem sobie: zaraz, jeśli Randy w ogóle otworzy jeszcze oczy, to właśnie dzisiaj. Tak przynajmniej mówił lekarz. Zamiast więc pojechać prosto na północ na kanadyjskie piwo u Jackie-go, skierowałem się na południowy wschód do szpitala w Grand Rapids. Jeszcze jeden dzień, powiedziałem sobie.

Lekarza znalazłem przy dyżurce pielęgniarek.

- Widać dobre objawy - powiedział. - Reaguje na światło i stymulację fizyczną. Ale nie odzyskał przytomności, więc musimy brać pod uwagę możliwość zmian neurologicznych. Proszę pamiętać, że miał wylew. A po czymś takim zawsze jest loteria.

Podziękowałem i poszedłem do sali Randy'ego. Przed drzwiami siedział ten sam policjant.

- Nie mów tylko, człowieku, że tkwisz tu cały czas - powitałem gliniarza.

Roześmiał się.

- Dopiero co przyszedłem - wyjaśnił. - Mam dzienną wachtę.  
- Za tym najbardziej tęsknię po odejściu z policji - powiedziałem. - Za emocjonującą pracą.  
- Tylko pan go odwiedza. Nie ma żadnej rodziny?  
- Właściwie nie. Już nie. Mogę zajrzeć?  
- Nie widzę problemu. Najwyżej mnie wyrzucą i ktoś inny będzie musiał grzać krzesło przez cały dzień. Podobno na dworze jest ponad dwadzieścia stopni.

Wszedłem do sali i stałem przez chwilę, patrząc na Randy'ego. W zasadzie wyglądał tak samo, jak poprzednim razem. Szyję i barki wciąż miał w bandażach. Urządzenia monitorowały bicie serca i oddychanie. Oczy miał zamknięte.

- To jak będzie? - spytałem na głos. - Obudzisz się dzisiaj czy nie?

Maszyny pikały.

W kącie stało krzesło. Na chwilę usiadłem i przymknąłem oczy. Wstałem i wyrząłem przez okno na piękny dzień, potem znowu usiadłem.

Myślałem o telefonie od Harwooda. Wciąż nie rozumiałem, dlaczego Randy powiedział mu w 1971 roku, żeby poszedł do wróżki. Nie trzymało się to kupy. Musiało być jakieś drugie dno.

Martwiło mnie coś jeszcze. Ton głosu, kiedy mówił, że wkrótce wszystko się zmieni.

Daj sobie spokój, Alex. Nie masz już z tym nic wspólnego.

Wyszedłem z sali i zacząłem chodzić po szpitalu. Szybko mi się to znudziło, więc ruszyłem na dwór na słońce. Zabiłem godzinę, spacerując wokół budynku. Kupiłem gazetę i w końcu wróciłem do sali. Lekarz świecił Randy'emu latarką w oczy.

- Na razie bez zmian - oznajmił. - Niedługo znów sprawdzę.

Przez kolejną godzinę siedziałem przy łóżku Wilkinsa i czytałem gazetę. Tygrysy praktycznie już się nie liczyły w tym sezonie. Red Wings szykowali się na kolejny mecz w Pucharze Stanleya. Pistons mieli szansę na play-offy, ale nikt nie wierzył, że przejdą przez pierwszą kolejkę.

Zaproponowałem policjantowi, że przyniosę mu coś

dojedzenia, i poszedłem do tego samego baru, gdzie byłem za pierwszym razem. Barman rozpoznał mnie od razu. Ale też w lokalu nie panował przesadny tłok. Zamiast kobiety wpatrzonej w serial siedział jakiś facet i oglądał SportsCenter.

- I co, dotarł pan do Orcus Beach? - zapytał barman.

- Tak, wpadłem tam na trochę.

- I co, nie mówiłem? Nudy na pudy.

Nie pamiętałem, żeby to mówił, ale nie zamierzałem go prosto-  
wać. Poprosiłem o dwa rumy Stroh i kanapkę dnia - z pastrami  
i serem. Zamówiłem też drugą na wynos dla policjanta.  
Siedziałem, jadłem i nie przestawałem myśleć o ostatniej  
rozmowie z Harwoodem. Zastanawiałem się, czemu mnie to tak  
męczy. Wciąż wyobrażałem sobie Marię, czy tego chciałem, czy  
nie. Wspominałem, jak wyglądała, kiedy poszliśmy do sypialni.

Zapomnij, Alex. Po prostu zapomnij.

Zaniósłem kanapkę policjantowi. Usiadłem w sali Randy'ego i  
czekałem. Znów się przespacerowałem. Słońce świeciło przez  
całe popołudnie.

Zanim policjant zszedł z dyżuru, przekazał swojemu zmienniko-  
wi, by przepuszczał mnie przez swój superkordon. Wychodząc,  
mrugnął do mnie i jeszcze raz podziękował za kanapkę.  
Pomyślałem, że nowego gliniarza najszybciej obłaskawię,  
oferując mu kolację. Spodobała mu się ta propozycja, więc  
wróciłem do baru. Zostałem tego samego barmana i faceta  
oglądającego telewizję. Takie lokale po prostu trwają, nie  
zmieniają się ani na lepsze, ani na gorsze. Kiedy czekałem  
najedzenie, znów naszły mnie myśli o Marii. Przypomniałem  
sobie jej twarz, ciało, kłamstwa.

Potem przed oczami stanęła mi cała jej rodzina. Matka, brat.  
Córka. Może była też dzieckiem Harwooda. Zdaje się, że  
specjalnie mu na niej nie zależało.

Delilah stojąca w drzwiach w stroju do softballa.

„Wszystko wkrótce się zmieni”, powiedział Harwood.

Całe szczęście, że nie będę musiał tego oglądać.

Harwood w swoim kamperze. W tle ruch uliczny. Duży ruch.

Nagle mnie olśniło. Jechał do jej domu w Farmington. Wiedziałem.

To dlatego do mnie zadzwonił. Żeby sprawdzić, gdzie jestem. Upewnić się, że mnie tam nie będzie. „Trzymaj się z daleka”, rzucił na pożegnanie.

Cholera jasna. Chyba tego nie zrobi. Akurat, nie zrobi.

Poszedłem do automatu telefonicznego. W wąskim korytarzyku nadal stało rozklekotane drewniane krzesło. Skorzystałem z tego samego telefonu, z którego obdzwoniłem żonę Randy'ego i jego trójkę dzieci. Teraz zamierzałem skontaktować się z kimś, kogo myślałem, że już nigdy w życiu nie usłyszę.

Odebrała po trzecim dzwonku.

- Mario - odezwałem się. - Słuchaj bardzo uważnie.

- Alex! Tak się cieszę...

- Co? - Spojrzałem na słuchawkę. - Mario, rano dzwonił do mnie Harwood. Powiedział coś, co dało mi do myślenia. Tylko dlatego...

- Jest u mnie Leopold - oznajmiła. - Każe cię pozdrowić. Wszyscy cię pozdrawiają, Alex.

- Wszyscy?

- Zadzwoniłam do nich w nocy - wyjaśniła. - Kiedy wyjechałeś. Każdy może cię zawieść, ale rodzina zawsze będzie stała przy tobie.

Nie skomentowałem tego.

- No to dobrze - odparłem. - Świetnie.

- Najpierw pojawił się szeryf Rudiger - opowiadała. - Zadzwoniłam do niego i poprosiłam, żeby wpadł. Został u mnie, póki nie przyjechała rodzina.

- Dzwoniłaś do szeryfa?

- Wiem, było późno - odparła. - Ale się zgodził. Taki z niego człowiek.

Tę uwagę też puściłem mimo uszu.

- Jak wyglądał?

- Doskonale. Chociaż... chyba trochę zmęczony. A czemu pytasz?

- Nieważne - mruknąłem. Kolejne kłamstwa, tylko tego mi trzeba. - Przepraszam za ten telefon.

- Nie ma za co. Przykro mi, że tak się wszystko ułożyło. Nie powinnam w ogóle prosić cię o pomoc. Ale teraz jest już dobrze, mam przy sobie całą rodzinę. Zjedliśmy nawet śniadanie na plaży. Był taki piękny poranek. Leopold zrobił naleśniki. A szeryf obiecał, że wszystkim się zajmie.

Leopold zrobił naleśniki. Na jaką chorobę mi ta wiadomość?

- Dobra, rozłączam się - powiedziałem.

- Żegnaj, Alex. Mam nadzieję, że mnie wspomnisz od czasu do czasu.

- Pewnie tak, Mario. Żegnaj.

Wróciłem do baru. Cudowny pomysł z tym telefonem. Ostatnio wpadają mi do głowy same cudowne pomysły.

- Leopold zrobił naleśniki - powiedziałem na głos, a potem do barmana: - Podaj pan jeszcze jedno piwo.

Podsunał mi butelkę.

- A szeryf się wszystkim zajmie - mówiłem dalej. Szeryf, który rzekomo zjawiał się u niej, by poczekać, aż dojedzie rodzina. Ten sam, którego zostawiłem na podłodze z flaszką Wild Turkey na piersi.

Zamarłem z piwem w połowie drogi do ust.

- O nie! - Odstawiłem butelkę. - O mój Boże.

## Rozdział 23

MAM WYMÓWKĘ. Niewielką, ale jednak.

Próbowaliście kiedyś złapać piłkę do baseballa? Poczuliście, jaka jest twarda? Dobry miotacz rzuca ją z szybkością dochodzącą do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czasami pałkarz machnie kijem i ledwo ją muśnie. Wtedy piłka nie zwalnia i nie zmienia kierunku, może co najwyżej o kilkanaście centymetrów. Ale tyle wystarczy, by łapacz nie zdołał jej chwycić. I właśnie dlatego łapacz nosi maskę.

Stare maski są właściwie metalową klatką z miękką wyściółką na krawędziach. Jeśli przepuszczona piłka rąbnie łapacza prosto w twarz, to dzięki tej klatce nie wybije mu połowy zębów i nie połamie nosa. Sęk w tym, że jeśli taka szybka piłka trafi człowieka w środek maski, a potem spadnie na ziemię, to siła tego uderzenia gdzieś musi się podziąć. Otóż w większości pochłania ją głowa zawodnika.

Dziś maski w baseballu przypominają bardziej maski hokeistów. Są tak wyprofilowane, że gdziekolwiek piłka uderzy, zmienia tylko tor lotu. Łapacz nie dostaje już szybką piłką prosto w głowę. Oczywiście kiedy ja grałem, takich masek jeszcze nie było. Ile razy zostałem trafiony w głowę? Dwa tysiące? Trzy? Nie mam bladego pojęcia. Ale pamiętam, co czułem, kiedy w trakcie jednej części meczu ze dwa razy oberwałem taką piłką. Na ławkę wracałem, zataczając się jak bokser po walce.

Więc może przyjąłem za dużo piłek na maskę.

To moja wymówka. A może po prostu tak już mam.

Cóż, czasami robię coś bez większego zastanowienia. I zwykle muszę potem za to zapłacić.

Pojechałem na wschód, przez cały stan, na przedmieścia Detroit. Znałem dobrze tę trasę, bo przemierzyłem ją dwukrotnie

w ciągu ostatnich kilku dni. Nie liczyłem, że mogę coś zmienić. Dochodziła szósta po południu. Cokolwiek się stało, to kilka godzin temu. Teraz kierowała mną już tylko ciekawość. I jakaś dziwna kombinacja przerażenia i niemal fascynacji. Nie mogłem uwierzyć, że się do tego posunęli. I byłem pewien, że to zrobili. Musiałem tylko to zobaczyć na własne oczy.

Przyjazd rodziny, śniadanie na plaży, naleśniki i obietnica szeryfa Rudigera. Opowiedziała mi o tym z jakiegoś powodu. Nie wiedziała, że poprzedniej nocy widziałem się z szeryfem, nie przypuszczała, że przejrzę ten plan.

Rozmyślałem o tym, jadąc najpierw 1-96, a potem 1-275 do Farmington. Znów odszukałem odpowiedni kwartał między Corriedale a Romney Street. Kiedy tylko skręciłem za róg, zobaczyłem dwa samochody na podjeździe.

Radiowóz szeryfa stał bliżej garażu. Od strony pasażera miał świeżą długą rysę na lakierze. Tuż za nim Harwood zaparkował kampera. Poza tym żadnych innych aut, bo - rzecz jasna - wszystkie były teraz w Orcus Beach.

Minąłem dom, zawróciłem i zatrzymałem się na ulicy. Siedziałem i przez chwilę obserwowałem budynek. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Nic się nie działo. Uświadomiłem sobie, że Whitley robił dokładnie to samo, może nawet zajmował ten sam punkt obserwacyjny,

Minęła co najmniej godzina. Ulicą przejechało dwóch chłopców na rowerach. Kilka samochodów. Gdzieś zaszczekał pies. Ot, cichy miły wieczór w podmiejskiej dzielnicy. Obydwa auta nadal stały na podjeździe. Wpatrywałem się w rysę na radiowozie Rudigera zahipnotyzowany jej kształtem. I bez wróżki wiedziałem, że w tym domu stało się coś złego.

Powinienem wtedy odjechać. Ale tego nie zrobiłem.

Wysiadłem z furgonetki i poszedłem do domu.

Piękny kwietniowy dzień miał się ku końcowi, po ciepłym słońcu pozostało już tylko wspomnienie. Żaden z sąsiadów nie widział, jak kroczyłem podjazdem do drzwi. Były uchylone. Popchnąłem je i wszedłem do środka.



Cisza.

Ruszyłem przez salon do jadalni.

Żadnego śladu życia. Nic.

Schody. Dobrze je znałem. Podeszedłem na skraj i spojrzałem w dół.

Jedno koło.

To mi powinno było wystarczyć.

Na nic więcej nie musiałem patrzeć. Ale brnąłem dalej. Zszedłem stopień niżej. Schody zaskrzypiały. Zatrzymałem się. Zrobiłem kolejny krok. Skrzypnięcie. Z każdym krokiem widziałem coraz więcej wózka. Leżał na boku. Pusty.

Stąpałem powoli. Zobaczyłem nogę, drugą. Potem krew.

Dwaj mężczyźni pod ścianą, każdy z jedną ręką w kajdankach. Przełożonych przez metalowe kółko. To samo kółko w ścianie, te same kajdanki. Whitley i Harwood. A raczej to, co z nich zostało. Każdy został rozerwany strzałem ze strzelby. Tak to wyglądało. Wszędzie krew. Smród śmierci i krwi. Widok czystego zła.

Łuski po nabojach na podłodze. We krwi. Ale tu na prawo jest coś jeszcze. Szeryf Rudiger, z którym rozmawiałem zaledwie kilka godzin wcześniej. Z głowy został jedynie strzęp. Reszta rozprysnęła się różowoczerwoną plamą na lustrze za jego plecami. Leży na ławeczce do podnoszenia ciężarów. Opartą o podłogę strzelbę przytrzymuje martwym palcem wciąż zaciśniętym na spuście.

Na podłodze karteczka, w rogu przesiąknięta krwią.

Szeryf chciał zadzwonić do Marii. Tymi słowami mnie pożegnał. Jeśli zdołał się podnieść i wystukać numer, co się stało dalej? Ile czasu potrzebowała, żeby zwietrzyć okazję? Zobaczyć wszystko jak na dłoni? Plan jest stuprocentowo niezawodny. Maria dzwoni do Leopolda. Ten budzi całą rodzinę. Pakują furgonetkę Leopolda, samochody Delilah i Anthony'ego. Wszyscy w środku nocy jadą do Orcus Beach, tak jak powiedziała Maria. Czy szeryf już u niej jest, kiedy przyjeżdża rodzina? Może tak. Maria poprosiła, żeby przyjechał, więc jakoś

zdołał się ogarnąć i dotrzeć do rezydencji. A może Leopold i Anthony musieli go zabrać? W każdym razie ma ze sobą tę kartkę. Napisaną własnoręcznie. I jeszcze strzelba. Nie zapomnijcie o strzelbie. Położyli szeryfa na tylnej kanapie radiowozu i odwieźli do Farmington.

Dwoma samochodami. Anthony jedzie za Leopoldem, który prowadzi radiowóz. Jest piąta nad ranem. Może szósta. Leopold założył kapelusz szeryfa, na wypadek gdyby ktoś go zobaczył w radiowozie. Ale o tak wczesnej porze na drodze panuje pustka. Dojeżdżają do domu w Farmington i czekają. Anthony parkuje kawałek dalej. Na podjeździe musi być widoczny tylko radiowóz. Maria dzwoni do Harwooda. Ma już jego numer. Mówi, żeby przyjechał do Farmington. Czas dobić targu. Skończyć to raz na zawsze.

I tak się właśnie dzieje.

Po wszystkim Leopold i Anthony jadą z powrotem do Orcus Beach. Oczywiście zacznie ich szukać policja. Trzej martwi mężczyźni w ich piwnicy, właściciele domu będą musieli się gęsto tłumaczyć. Na pierwszy rzut oka - podwójne morderstwo, a po nim samobójstwo. Szeryf ma wciąż palec na spuście. Czy kryminolodzy znajdą coś podejrzanego? Czy w ogóle będą się do tego przykładać?

Oczywiście pojedą do Marii. Do całej rodziny. Żeby z nimi porozmawiać.

„O mój Boże”, zawoła Maria. „To niemożliwe. Szeryf był takim dobrym człowiekiem. Powiedział, że mi pomoże, że nie pozwoli, by ten drań mnie skrzywdził. Ale na Boga, panie oficerze, nie miałam o niczym pojęcia”.

Musisz opowiedzieć policji własną wersję, Alex.

Swoją teorię, na którą nie masz żadnego dowodu. A w dodatku nie stawia cię ona w dobrym świetle. Najpierw groziłeś bronią Whiteleyowi i Harwoodowi, a wreszcie skończyłeś z Marią w łóżku. Potem wypiliśmy kilka drinków z szeryfem, w barze i potem u niego w domu, gdzie wytrąciłeś mu z rąk strzelbę. I wyjąłeś naboje. Na pewno wciąż są na niej twoje odciski palców.

Chyba że zdejmiesz strzelbę z piersi szeryfa i wytrzesz do czysta.

Pomyśl, jakie masz szanse, Alex. Tak się to skończy, jeśli spróbujesz zmienić bieg wydarzeń.

Wyszedłem na górę. Nie musiałem czytać karteczki na podłodze. Wiedziałem, co na niej jest. Słowa wypisane odręcznie pod oficjalną pieczęcią z działem na piasku:

„Za Marię i za wszystko, w co chciałem wierzyć”.

## Rozdział 24

ALEX.

Otworzyłem oczy.

- Alex.

Wyprostowałem się na twardym drewnianym krześle. Poczulem nagle ból od szyi w dół.

- Alex - mówił bardzo cicho, niemal szeptem.

Popatrzyłem w drugi kąt sali. Randy miał otwarte oczy.

- Wezwać lekarza? - zapytałem.

Spojrzałem na zegarek. Minęła jedenasta wieczorem. Przyjechałem tu o dziewiątej, zdążyłem jeszcze złapać lekarza, który wypełniał karty choroby przy dyżurce pielęgniarek. Poinformował mnie, że Randy odzyskał przytomność tuż po tym, jak po południu wyjechałem. Nadal miał lekki niedowład lewej strony ciała, ale poza tym był w wyjątkowo dobrej formie. Wyjęto mu rurkę z gardła i podłączono minikroplówkę z morfiną. Wyjaśnili mu, że został postrzelony i że przed drzwiami czuwa policjant. Nie spał przez dwie godziny, ale kiedy wróciłem do szpitala, znowu zasnął. Usiadłem na krześle i też zapadłem w sen. Teraz się przebudził, a ja nie wiedziałem, o co zapytać go najpierw.

- Powiedzieli mi, co się stało. - Nadal był obandażowany, ale bez rurki w gardle wyglądał bardziej jak człowiek.

- Wiem - odparłem. - Rozmawiałem z lekarzem.

Spojrzał w stronę okna.

- Która godzina?

- Kilka minut po jedenastej.

- Siedziałeś tu cały czas?

- Nie, wybrałem się do Orcus Beach.

Popatrzył na mnie i zamknął oczy.

- Ostatnie, co pamiętam, to jak podchodzę do jej drzwi - wymamrotał.

- Córnka zdradziła ci, gdzie mieszka Maria - wpadłem mu w słowo.

Znów otworzył oczy.

- Tak.

- Maria myślała, że to Harwood - ciągnąłem. - Albo ktoś, kogo wysłał.

- Spotkałeś się z nią.

- Tak.

- Co jeszcze mówiła?

- Wiele rzeczy - odparłem. - Oczywiście same kłamstwa.

- Napiłbym się czegoś - poprosił.

- Świetnie potrafi kłamać, co? - stwierdziłem. - Zupełnie jak ty.

- Lekarz kazał mi się oszczędzać. Nie powinienem nadweręzać gardła.

- Możesz mieć trwałe uszkodzenia strun głosowych - zauważyłem. - Będziesz musiał trochę zmienić technikę naciągania.

- Alex...

- Wiem wszystko - przerwałem mu. - O twoich wyczynach w Kalifornii, o nakazie aresztowania. Tylko czekają na twój powrót. Pod drzwiami cały czas siedzi policjant.

- Jedź już do domu - wychrypiał.

- Dzwoniłem do twojej rodziny. Wydawało mi się, że powinni wiedzieć, co się stało.

- Niech zgadnę. Zbyttno się nie przejęli.

- Stosunkowo najbardziej przejął się twój najmłodszy syn - odparłem. - Chyba mu trochę na tobie zależy.

Znów zamknął oczy.

- Może mi wyjaśnisz, po co to wszystko zrobiłeś - powiedziałem. - Zamieniam się w słuch.

- Nie okłamałem cię, Alex.

- Że co proszę?

- Dobrze słyszałeś. Nie okłamałem cię

- Żegnaj - uciałem i odwróciłem się do drzwi. - Idę sobie.

- Alex, zaczekaj.

Stałem.

- Nie kłamałem - jęknął. - Nie do końca. Po prostu nie powiedziałem całej prawdy.

Potarłem czoło.

- O Boże - westchnąłem. - Znowu się zaczyna. Wiesz co, powinienes wziąć się do polityki.

- Wszystko ci wyjaśnię.

Wróciłem. Stałem nad nim z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

- Lepiej się postaraj. Przy pierwszym kłamstwie wychodzę. Tym razem będę wiedział, kiedy łiesz. Wierz mi, przyjacielu.

Wziął głęboki wdech i oparł głowę o poduszkę. Przez chwilę słychać było tylko pikanie kardiomonitora, którego czujniki wciąż miał przypięte do piersi. W końcu zaczął mówić:

- To, co ci o mnie powiedziano, to prawda. To ijeszcze więcej. Nie mam żadnej wymówki, Alex. Nie zamierzam nawet próbować się bronić. Ale przypomnij sobie dawne czasy. Znałeś mnie wtedy. Wiedziałeś, jak uwielbiam grać. Tylko to chciałem robić w życiu. Dostałem wielką szansę. Niestety, spieprzyłem sprawę. Wszystko straciłem w jednym meczu, w jednej części.. Wiedziałem, że to już koniec. Choćjeszcze przez sześć lat objąłem się po drugoligowych drużynach, w głębi duszy czułem, że tylko tracę czas. Tak szansa więcej się nie powtórzy. - Przerwał, żeby złapać oddech. - Pobyt w Detroit to był najlepszy miesiąc mojego życia. Kiedy poznałem Marię, było mi jeszcze lepiej. Uznałem, że z tą dziewczyną chcę spędzić resztę życia. Przez dwadzieścia lat miałem grać w pierwszej lidze, pewnego dnia trafić na listę najslawniejszych zawodników, a Maria będzie podziwiała mnie z pierwszego rzędu. Z trójką naszych dzieci. Zobaczyłem przed sobą całe życie. Naprawdę. Kiedy wypadłem z hukiem z pierwszego meczu, poszedłem do klubu i siedziałem bez słowa. Nie płakałem. Nie chwyciłem kija i nie rozwaliłem telewizora ani nie wszcząłem żadnej burdy. Po prostu siedziałem

i myślałem: takie życie. Marzenia się nie spełniają. Nic się nie dzieje tylko dlatego, że czegoś chcemy. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Dobro nie istnieje. Rozumiesz mnie, Alex?

- Mów dalej - mruknąłem.

- W tamtej chwili przejrzałem na oczy. Ta dziewczyna, z którą spędzałem tyle czasu, ta piękna, cudowna Maria, wcale nie szalała za mną z miłości. Po prostu mnie wrabiała. Wszystko to było jedno wielkie oszustwo.

- I dotarło to do ciebie po siedmiu przegranych kolejkach z rzędu.

- W noc przed meczem powiedziała mi o długu swojego ojca, jeszcze z rodzinnego kraju. Ojciec, człowiek honoru, chciał zabrać całą rodzinę z powrotem do Europy tylko po to, by pracowali u kogoś jako służba i spłacili ten dług. Błagała go, żeby tego nie robił. Obiecałem, że się zajmę tą sprawą. Była taka szczęśliwa. Potem wyleciało mi to z głowy, bo myślałem już tylko o meczu. Później, kiedy siedziałem w szatni i rozmyślałem o tym, że życie jest do dupy, przypomniałem sobie historię ojca Marii. Dług z rodzinnego kraju. Potrzebują pieniędzy. Mój Boże, Alex. Wyobrażasz sobie? Dałem się nabrać. Jak dziecko. Ten wspólnie spędzony czas. Wszystko zaczęło się łączyć w logiczną całość. Po wycisku, jaki dostałem na boisku, w końcu przejrzałem na oczy.

- No dobra, domyśliłeś się, że to oszustka - wtrąciłem się. - I spuściłeś ją na drzewo. To po co teraz wróciłeś? Trochę za późno na zemstę.

- Ja się zemściłem już wcześniej - odparł. - Tak się przynajmniej okazało. W Detroit mieszkał wtedy niejaki Harwood. Próbował ubić interes z moim ojcem. Znienawidziłem faceta, kiedy tylko go poznałem. Spotkałeś kiedyś kogoś takiego?

- Owszem - przyznałem. - Tak się składa, że poprzedniej nocy.

- Co za oszust. Prowadził jakieś głupie gierki. Był najbardziej aroganckim, nadętym dupkiem, jakiego widziałem. Podlizywał mi się, bo chciał coś wydebić od ojca. Aż mi się niedobrze robiło

na jego widok. Przyszedł na mecz. Dwa dni później spotkałem go w Lindell. Piłem. Kolejny dzień. Siedziałem tam, a dwie przecznice dalej Maria i jej cała rodzinka oszustów pewnie już zakładali sidła na kolejnego naiwniaka. I oto wchodzi Harwood, ostatni człowiek, którego miałem ochotę zobaczyć tego wieczoru. Zaczyna mi, gadać jak to mu przykro, że wywalili mnie z meczu, i inne takie pierdoły. A w środku aż kipiał z radości. Gdyby nie to, że wciąż negocjował z ojcem, pewnie śmiałby się ze mnie do rozpuku. Powiedziałem mu więc, że musi koniecznie sprawdzić, co mu wywróży Madame Waleska. Zapewniłem go, że na pewno na tym skorzysta. Miałem nadzieję, że tam pójdzie. Naprawdę bardzo na to liczyłem. Wiedziałem, że natychmiast wezmą go w obroty. To kawał sukinsyna. Dusigrosz, ale mogłem się założyć, że dla Marii straci głowę. A ona będzie musiała spędzać z nim czas. A nawet... zbliżyć się do niego. W końcu więc oboje dostaną to, na co zasłużyli. – Przerwał. Wyjrzał przez okno, za którym panowała ciemność.

– To po to wróciłeś? – zapytałem. – Zęby zobaczyć, co sobie nawzajem zrobili przez te wszystkie lata?

– Nie – zaprotestował. – Nie rozumiesz? Nie miałem o niczym pojęcia. Nie wiedziałem nawet, czy Harwood tam poszedł. Wtedy już od dawna nie było mnie w Detroit. I ani razu nie obejrzałem się za siebie.

– Nie wiedziałeś?

– Pamiętasz, jak odnaleźliśmy dom jej rodziny? – zapytał. – Kiedy powiedzieli nam o Harwoodzie? Po raz pierwszy od trzydziestu lat usłyszałem jego nazwisko. Do tamtej pory w ogóle o nim nie myślałem. Wtedy w Detroit byłem pijany, zareagowałem pod wpływem chwili. Ot, pożegnalny prezencik ode mnie dla obojga. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że rozpęta się takie piekło. To wszystko moja wina, Alex. Ja do tego doprowadziłem. Nie miałem sumienia wciągać cię w to jeszcze bardziej, więc kazałem ci wracać do domu. Chciałem się przekonać, czy mogę... sam nie wiem. Chyba próbowałem to



jakoś naprawić. Pragnąłem jej pomóc.

- Dlaczego? Po tym co ci zrobiła?

- No tak, nie zapomniałem o tym. Pamiętam, co czułem. Wtedy w 1971 roku, kiedy zdałem sobie sprawę, że Maria mnie wrąbia. Te wszystkie jej opowieści, kłamstwa. Wierzyłem w nie, bo chciałem, żeby to była prawda. W końcu rzuciłem baseball na dobre, wróciłem do domu. Pomyślałem: czas wydorosnąć, zachowywać się poważnie. Firma ojca radziła sobie nieźle. Każdy liczył, że kiedyś ją przejmę. Alex, próbowałem żyć po bożemu, ciężko pracować, tak jak ojciec. Ale kiedy rynek nieruchomości się załamał... Bałem się, że wszystko stracę.

Jeszcze raz. To samo uczucie, przekonanie, że życie jest całkiem do dupy. Mieliśmy taką jedną klientkę. Bardzo bogatą. Podobałem się jej. Mogłem ją namówić na cokolwiek. To było takie łatwe.

- No dobrze - przerwałem. - Tak oto narodził się oszust. Resztę potrafię sobie dośpiewać. Ale nadal nie wiem, dlaczego w ogóle wróciłeś. Po tylu latach? Mogłeś załatwić wszystko z własną rodziną. Przynajmniej spróbować. Po co tu przyjechałeś?

- Pomyśl, Alex. - Uśmiechnął się lekko. - Kiedy ostatnio życie wydawało się piękne? Kiedy byłem najlepszy?

- Kiedy, Randy?

- Kiedy rzucałem w drużynie w Toledo, a Alex McKnight był moim łapaczem. To wtedy wszystko się układało. Czułem, że żyję, oddycham pełną piersią. Potem już tylko się staczałem. Jakbym pędził z góry na rolnach. Dlatego musiałem wrócić. Żeby sprawdzić, czy znów mógłbym być sobą z tamtych czasów.

Pokręciłem głową.

- I Maria. Wiem, że to szalone, ale pewnie jestem jedynym człowiekiem, który potrafi ją dziś zrozumieć. Po tym wszystkim, co zrobiłem. Przekonałem się, że można kogoś naprawdę kochać, a jednocześnie go krzywdzić.

- Randy, to najbardziej chora rzecz, jaką w życiu słyszałem.

- Ale taka jest prawda. Tak żyłem. Moja rodzina nigdy mi nie wybaczy, Alex. I wcale ich za to nie winię. Nie wybaczą mi

ludzie, którym wyrządziłem krzywdę, zabrałem pieniądze.

- Maria ledwo cię pamięta - zauważyłem.

- Pamięta mnie.

- Nie.

- Wiem, że tak.

- Naprawdę?

- Uhm.

- A niby skąd?

- Bo oboje jesteśmy tacy sami - odparł. - Zawsze będzie nas coś łączyło.

- To dobre. Naprawdę nieźle - prychnąłem. - A może skoro tak świetnie ją znasz, to domyśliłeś się, że po tylu latach musiała odłożyć niezłą sumkę. Mam rację? - Milczał, więc mówiłem dalej. - Wszędzie spaliłeś za sobą mosty. Pora na ostatni skok, więc myślisz sobie: czemu nie? Wracasz, żeby sprawdzić, czy dasz radę znów ją poderwać. Po tylu latach.

- Nie.

- Nie masz punktu zaczepienia. Ale wiesz, że na pewno coś kręci. Dołączasz do Marii. Albo grozisz, że spłosisz jej cel. Coś na pewno byś wymyślił. Ciepło?

- Nie.

- To twoja ostatnia szansa. Załatwić Marię. Zabrać forszę i w nogi. A tak w ogóle, dokąd zamierzałeś uciec?

- Mylisz się.

- Podaj mi jeden powód, dlaczego powinienem ci uwierzyć.

- Bo ciebie bym nie okłamał.

- Każdego możesz okłamać - stwierdziłem. - Samemu Bogu spojrzalbyś prosto w oczy i wmówił, że niebo jest zielone.

- Ale nie ciebie - upierał się. - Ciebie bym nigdy nie okłamał.

- A czemu, do cholery, nie?

- Bo jesteś moim łapaczem.

- Daruj sobie, Randy. Mam już dość. To było trzydzieści lat temu, do kurwy nędzy.

- Nieważne - odparł. - Mówię prawdę. Nie mam powodu teraz cię okłamywać. Gdzieś w duszy dobrze o tym wiesz. Zaufaj

mi tylko.

Parsknąłem śmiechem.

- Wierzysz mi, prawda?

- Sam już nie wiem...

- Powiedz, że wierzysz. Chcę to usłyszeć.

- Randy...

- Proszę, Alex. Powiedz, że mi wierzysz.

- Muszę się zastanowić - odparłem. - Denerwuję się, kiedy ktoś każe mi coś mówić.

- Naprawdę pod salą siedzi policjant? - zapytał. - Teraz też?

- Dziwne, że jeszcze tu nie wparował.

- Może śpi. Myślisz, że usłyszałby, jak się stąd wymykamy?

- Tak, na pewno by się obudził.

- Moglibyśmy zrobić sznur z pościeli - stwierdził. - 1 wyjść przez okno.

- Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie.

- Nigdy nie mówię poważnie - mruknął. Przez chwilę pocierał bandaż wokół karku. - Nic jej nie grozi? - zapytał w końcu.

- Jest bezpieczna - odparłem. - Harwood nie żyje.

- Zabiłeś go?

- Nie.

Zamyślił się nad tym. Nie pytał o nic więcej.

- Zawołać lekarza? - odezwałem się po chwili.

- Tak. Muszę się napić wody.

- Powinieneś skontaktować się z rodziną.

- A po co? - zachnął się. - Sam wiesz, jak jest.

- Zadzwoń przynajmniej do syna - poprosiłem. - Do Terry'ego, łapacza. On chciał wiedzieć, co z tobą.

- Dobrze - obiecał. - Zadzwonię.

Nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Kiedy w końcu się z nim pożegnałem, miałem mętlik w głowie. Na swój sposób Randy był tym samym człowiekiem, którego znałem w 1971 roku. Dziś, prawie trzydzieści lat później, mimo kłopotów, w jakie mnie wpędził, wciąż nie mogłem się zmusić, żeby go znienawidzić. Choćbym nie wiem jak się starał.

I nadal nie wiedziałem, czy mu wierzę.

Jechałem do domu na północ przez bite cztery i pół godziny w środku nocy. Kiedy przekraczałem most Mackinac, słońce właśnie zaczęło wschodzić. Na Półwyspie Górnym wciąż leżał śnieg. Jak zawsze miałem wrażenie, że przekraczam granicę innego świata. Może w ogóle dlatego tu się wyprowadziłem.

Pojechałem do chaty i spałem przez kilka godzin. Kiedy się obudziłem, odszukałem starą rękawicę łapacza, wsadziłem do pudełka, a to zaadresowałem na nazwisko Terry'ego Wilkinsa z sekcji sportowej Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara. Umyłem się i zawiązałem paczkę na pocztę.

Potem oczywiście podjechałem do Glasgow Inn na obiad. Jackie czekał na mnie z zimnym kanadyjskim piwem. Wypytał o wszystko. Opowiadałem mu przez całe popołudnie.

W porze kolacji do baru wjechał wózek inwalidzki. Przez krótką mrozącą krew w żyłach chwilę myślałem, że to duch Harwooda mnie odnalazł. Ale na wózku siedział Leon z obiema kostkami w gipsie.

Przy wspólnej kolacji musiałem opowiedzieć wszystko raz jeszcze. Po jedzeniu poprosiłem Jackiego, żeby zmieszał mi wódkę z piwem korzennym.

- Sprężynka, już się robi - zawołał.

Smakowało wstrętnie.

Wypiliśmy za przeszłość. Za pieniądze i za kłamstwa. Za młodość. Za szalonych leworęcznych miotaczy.

Piliśmy, póki nie zaszło słońce. Dorzucaliśmy do kominka i siedzieliśmy blisko ognia. Kiedy cały świat cieszy się już z wiosny, w Raju noce wciąż są chłodne.

## **Podziękowania**

*Chcę podziękować tym co zwykle - Billowi Kellerowi i Frankowi Hayesowi, Liz Staples i Taylorowi Brugmanowi, Bobowi Kozakowi i wszystkim z IBM, Bobowi Randisiemu i stowarzyszeniu literackiemu Private Eye Writers of America, Ruth Cavin, Matthew Shearowi, Cristinie Gilbert i innym z St. Martin's Press, Jane Chelius, Jeffowi Allenowi, Lisie Wasoski, Larry'emu Queipo - byłemu szeryfowi z Kingston w stanie NowyJork oraz doktorowi Glennowi Hamiltonowi z Wydziału Ratownictwa Medycznego na Wright State University. Bóg wam zapłać.*

*Na koniec dziękuję za wszystko swojej żonie Julii, która sama nawet nie wie, jak bardzo jest cudowna. I Nickie, która rośnie za szybko. A także Toni, która już zdążyła mnie owinąć wokół swojego małego paluszka.*

## **KRYMINAŁY Z KLASĄ**

To elegancka proza ubrana w wyrefinowaną kryminalną intrygę.

To prestiż i przyjemność czytania.

To powieści uhonorowane wszystkimi najwyższymi światowymi nagrodami gatunku.

To wyjątkowa seria książek, które łączą perfekcyjny kryminał ze znakomitą, a często wybitną literaturą.

To seria, jakiej nie było.

***Ann Cleeves***

CZERNŃ KRUKA

***Chris Ewan***

DOBREGO ZŁODZIEJA PRZEWODNIK PO AMSTERDAMIE DOBREGO  
ZŁODZIEJA PRZEWODNIK PO PARYŻU

***Steve Hamilton***

ZIMNY DZIEŃ W RAJU  
ZIMA PEŁNI KSIEŻYCA

***Laura Lippman***

TO, CO UKRYTE  
WZGÓRZE RZEŹNIKA  
OSTATNIE MIEJSCE

***Peter Lovesey***

DETEKTYW DIAMOND I ŚMIERĆ W JEZIORZE  
POWRÓT DETEKTYWA DIAMONDA  
SAMOTNOŚĆ DETEKTYWA DIAMONDA

***Deon Meyer***

MARTWI ZA ŻYCIA

***Ruth Newman***

BAL ABSOLWENTÓW

***Maj Sjöwall, Per Wahlöö***

ROSEANNA  
MEŻCZYZNA, KTÓRY ROZPŁYNAŁ SIĘ W POWIETRZU